WITOLD KARPYZA

ZIEMIA WOŁKOWYSKA III

Na okładce rysunek Witolda Karpyzy
Dom rodzinny autora w Zancewiczach

Tekst opatrzono grafikami Witolda Karpyzy

..JOT

© Przemysław Mikusiński

Wydano nakładem
Przemysława Mikusińskiego

Do druku przygotowała
Miejska Biblioteka fubliczha# Lęborku

Projekt i druk-
Drukarnia BOXPOL, 76-200 Słupsk, ul. Wiejska 28
tel./fax +48 59 8424371, e-mail: boxpol@ppśtpl

ISBN 978-83-60731-02-7

SPIS TREŚCI

SŁOWO WSTĘPNE 5
MÓJ POWIAT 7
ADOLF DYGASIŃSKI 10
MICHAŁ FEDOROWSKI 15
NATALIA KICKA 19
EWELINA URSKA Z SIEMASZKÓW 26
MARIAN ROSZCZEWSKI 32
WITOLD **WERBEL** **38**
ADAMKÓW 43
ANDRUSZE 47
BIEGIENIE 50
BOGUDZIEŃKI 54
INDURA (anegdoty) 62
JANOPOL 67
KOSIN 72
POBOJEWO 77
PODBŁOCIE 82
SKARBIEC 88
ŚWIĘCICA 94
WIDZIEJKI 98
ŻYDZI WOŁKOWYSCY 102
WOŁKOWYSKIE BÓŻNICE 112
EWANGELICY 116

S

SŁOWO WSTĘPNE

Oddajemy w Państwa ręce trzeci, i według autora ostatni, tom tekstów o Ziemi Wołkowyskiej. Ostatni - bo może Witold Karpyza zmieni zdanie. Jego archiwa, zdeponowane i podarowane Muzeum w Gorzowie są bowiem bardzo obszerne.

Autor, z wykształcenia matematyk, z zamiłowania historyk i rysownik całe swoje życie poświęcił dokumentowaniu historii Ziemi Wołkowyskiej. Wiele jego artykułów ilustrowanych własnoręcznymi szkicami budowli Ziemi Wołkowyskiej, najczęściej już dziś nieistniejących, ukazywało się w prasie krajowej i zagranicznej.

A historia tej Ziemi jest bardzo bogata. Stąd zaczyna się pochód Jagiellonów na tron Polski i trony innych państw Europy. Z tymi stronami związane są też nazwiska rodów magnackich i ziemiańskich jak Czartoryscy, Sapiehowie, Tyszkiewiczowie, Chodkiewicze, Potoccy i inni. Przeglądając i czytając *Ziemię Wołkowyską* można się spotkać z wieloma nazwiskami znanymi z historii i literatury nieraz już zapomnianymi.

Zawartość już trzech tomów *Ziemi Wołkowyskiej* przenosi nas w minioną epokę Kresów Wschodnich, która stanowi część historii polskiej.

Niniejszy tom jest podzielony na trzy główne działy: dalszy ciąg opisów miejscowości powiatu wołkowyskiego, artykuły o samym powiecie i grupach wyznaniowych zamieszkujących powiat oraz teksty o osobach znanych i związanych z powiatem wołkowyskim.

Proponuję więc z uwagą przeczytać kolejny tom i wybrać się w te strony aby odwiedzić szczególnie Wołkowysk, który bardzo się zmienił w ciągu ostatnich lat. Obecnie w mieście mieszka prawie 50 tys. mieszkańców z czego prawie połowa ma polskie korzenie.

Nic dziwnego, leżące tam ziemie przez stulecia należały do Rzeczypospolitej. Kresy to kraina bliska, piękna a tak mało znana, szczególnie przez obecne pokolenie ludzi urodzonych już po II wojnie światowej.

Dlatego zachęcam do odwiedzenia tych pięknych, tak mocno związanych z historią naszego kraju terenów i do zapoznania się z trzema tomami „Ziemi Wołkowyskiej" autorstwa dziś już 95-letniego Witolda Karpyzy.

Witold Karpyza ze swadą i miłością opisuje ziemie swojego dzieciństwa. Znajomość historycznego kontekstu powoduje, że teksty czyta się nie tylko z przyjemnością ale i z zainteresowaniem.

Przemysław Mikusiński

MÓJ POWIAT

Grób Franciszka Karpińskiego

Powiat Wołkowyski dobrze się zasłużył literaturze polskiej. Jedni pisarze tutaj się urodzili, inni byli z nim związani.

Chociażby ksiądz Mateusz Kuligowski, proboszcz w Wołpie i dziekan wołkowyski, żyjący w końcu XVII wieku, pracowity pisarz i tłumacz, ogólnie uważany jako poeta, chociaż niedbały w wierszu, jak i mowie, ale na owe czasy chciwie czytany. Znana jest jego książka o barokowym tytule *Demokryt śmieszny, albo śmiech Demokryta Chrześcijańskiego,* w której ciekawie przedstawia, między innymi, pochodzenie nazwisk książąt Ogińskich i Puzynów.

Także pisarzem był inny pleban wołpiański, Wi^H? T<S<>f K^ąknwslrj, smntnej pamięci późniejszy biskup inflancki, żyjący wiatach 1738-1794. Napisał dwie powieści i parę utworów satyryczno-obyczajowych. W powieści *Ksiądz pleban* i w swoich pamiętnikach wyidealizował i upiększył swój pobyt w Wołpie.

U schyłku życia mieszkał na terenie powiatu wołkowyskiego, w majątku Chorowszczyzna, literat czasów stanisławowskich, „poeta serca" Franciszek Karpiński. Nie wymaga on rekomendacji, chociaż wielu z nas zapomniało, że jest on autorem popularnej pieśni religijnej, śpiewanej na kresach przy rozpoczęciu lekcji *Kiedy ranne wstają zorze,* czy też kolędy *Bóg sie* ***rodzi, moc*** *truchleje*. Zmarł w Chorowszczyźnie i został pochowany w odległej od majątku parafii Łysków. Wystawiono mu skromny pomnik w kształcie dwuspadowego dachu i na jego życzenie umieszczono napis „Oto mój dom ubogi". **Po II wojsk światowej** z inicjatywy ziomka mieszkającego w Warszawie, Stefana Wasiukiewicza, pomnik odnowiono.

Nie wszyscy pamiętają, że **autorem** popularnych patriotycznych piosenek, jak *Patrz Kościuszko na nas z* ***nieba*** *czy Dalej bracia do bułata* jest JanuarySuchjłdolgkj, urodzony w **1804 roku w Rohoźnicy.** Był uczniem słynnego gimnazjum w Świsłoczy, gdzie należał do tajnego koła „Zorzan", za co **dostał** z polecenia Nowosilcowa trzydzieści plag. W powstaniu listopadowym był ranny pod Ostrołęką. Leżąc w szpitalu, na wiadomość, że Warszawa padła zerwał opatrunek i z upływu krwi zmarł.

Uczniem tegoż gimnazjum w Świsłoczy był Józef Ignacy Kraszewski. Tutaj, w 1829 roku zdobył świadectwo dojrzałości, tutaj też kształtował przyszłe zamiłowania literackie pod kierunkiem ulubionego profesora Leopolda Walickiego. Przy ulicy Brzeskiej stał do niedawna domek, w którym mieszkał. Po latach odwiedził Świsłocz, o której wspomniał w *Obrazach z życia i podróży.*

Pewien związek z powiatem wołkowyskim ma też Eliza Orzeszkowa. Odwiedziła dworek w Kwaterach, gdzie mieszkali jej kuzyni, Glindzicze. Napisała też nowelkę pod tytułem *Gedali* o biednym Żydku z Wołpy, który to szedł pieszo do autorki sześć mil, aby podziękować, „że teraz panowie przysyłają po niego resorowe bryczki, paroma, pięknymi końmi założone, malują go, fotografują, ba, jeszcze jakie pościele do spania mu dają, a uhonorowawszy go już różnymi sposobami i znowu go takimi bryczkami, jak kołyski i pojazdowymi końmi do Wołpy odwożą.

- Nu, kiedy ja takimi końmi do Wołpy jechał, to wszyscy wstawali i patrzali, co to takiego z Gedalim się dzieje".

W Pieniudze, majątku leżącym na skraju powiatu, urodziła się Marjajlodziewiczówna. Pieniuga należała do ojca Marii, ale za pomoc, którą udzielił powstańcom w 1863 roku dobra mu skonfiskowano, a jego wywieziono na Syberię. Matka Marii, Amelia z Kurzenieckich, w drodze łaski, została pozostawiona w Pieniudze do czasu odchowania dzieci na dwa miesiące, a następnie miała dołączyć do męża. Dwoje dzieci Rodziewiczów zmarło na wygnaniu, Marię zaś oddano na wychowanie krewnym na Polesiu.

Również i Ksawery Pruszyński, autor książki *Droga wiodła przez Narwik,* czas jakiś mieszk^TwRohoźnicy, gdyż się ożenił z córką właściciela tego majątku, Marią Meysztowicz. Fragmenty z czasów swego tutaj pobytu opisuje w pięknym opowiadaniu *Karabela z Meszhedu.* „Dwór był rzeczywiście dworem - wspomi-

na. - Miał jak się patrzy wysoki, piękny podjazd, oparty na czterech jeszcze większych kolumnach. Na jego froncie świecił dumnie rok 1791".

Brat Marii Pruszyńskiej, Jan Meysztowicz, mieszkający w Warszawie, mówiący o sobie żartobliwie, że „czuję się dinozaurem kresowym", także urodził się i spędził młodość w Rohoźnicy.

: ŁĆiekawa jest książka Chusteckiego z Prudna *Byłem sołtysem w latach okupacji.* Niestety, teraz trudno dostępna, gdyż swego czasu została, ze względów politycznych, z bibliotek wycofana. Jeden egzemplarz znajduje się w Bibliotece Narodowej w Warszawie. *Ł-^*

Natalia z Bispingów Kicką^żona generała Kickiego, poległego pod Ostrołęką, słynna swego czasu piękność, której *Pamiętniki* wydał PAX w 1972 roku, urodziła się i wychowała w majątku ojca, Hołowczycach. *i/~*

Listę literatów związanych z Ziemią Wołkowyską dopełnia jeszcze Anna Branicka Wolska, córka właściciela Rosi, wydając *Listy nie wysłane,* gdzie, między innymi, opisuje dożynki i polowania w tej ordynacji. *u*

Znane mi są jeszcze pamiętniki pozostające w rękopisach, jak: Cecylii z Tołłoczków Ciszewskiej, związanej z Wierdomiczami, znajdujący się w Bibliotece Narodowej w Warszawie, Jana Bispinga z Massalan, który oglądałem w archiwum kościelnym w Strubnicy, pamiętniki Leona Heltmana z Bogudzieńków, ucznia byłego gimnazjum w Świsłoczy, ks. Albina Horby, proboszcza w Werejkach, Świsłoczy i Międzyrzeczu, ks. Jana Mianowskiego z Rohoźnicy, Wiktora Rygorowicza, sekretarza gminnego w Werejkach, Łyskowie, Krzemienicy, Stanisława Grzybińskiego z Leonowicz.

A ile jeszcze jest nieznanych, chowanych wstydliwie lub z obawą w szufladach domowych? Zaklęta jest w nich pamięć rozległych Kresów Wschodnich.

Gazeta Lubuska

a

ADOLF DYGASIŃSKI

Adolf Dygasiński, znany **pisarz polski, pedagog,** wielki przyjaciel zwierząt, autor *Zająca,* pozostawił mocny **ślad na ziemi** grodzieńskiej i wołkowyskiej. Odbiło to się w listach pisanych **przez autora do** córki Zofii. Pisał je z Massalan lub Strubnicy, gdzie trafił tutaj „za chlebem", skąd słał pieniądze na utrzymanie rodziny.

W Massalanach mieszkał w latach 1897-1898, jako nauczyciel Jana Bispinga a częściowo także i Kazimierza, dzieci ordynata Massalańskiego, Józefa.

„Jest mi tu dobrze, - pisał do żony, mieszkającej w Warszawie - o ile w cudzym domu być może. Życie odżywiam obficie i ze względu na jakość uczciwie: herbata, obiad i herbaty, a gdybym miał zachcenie, to oprócz tego mógłbym się jeszcze posilać. Państwo są ludzie dobrzy, mój uczeń, młodzieniec dobry i łatwy, choć jak mniemam, nie odznacza się zdolnościami ani umiejętnościami. O tem zresztą tak prędko sądzić nie mogę. Pan domu jest cierpiący i zimy spędza wraz z żoną na południu. W tym roku, wraz z uczniem pozostanę przez zimę sam

w Massalanach, ale wyobrażam sobie, że najpóźniej 1 października, jeśli nie września, odwiedzę was w Warszawie".

Wspomniani w liście „państwo" to Józef Bisping i jego żona Helena z Wołyńskich, rodzice Jana, Marii, Teresy, Elżbiety i Kazimierza. Oni to na rok przed swoją śmiercią, zaangażowali Dygasińskiego na nauczyciela do dwóch synów, szczególnie Jana, który ze względów zdrowotnych, uczęszczać do szkół nie mógł. W przyszłości Jan, uczeń Dygasińskiego, został oskarżony o zabójstwo księcia Władysława Drucko-Lubeckiego, właściciela dóbr Szczuczyn i Czerlony w guberni grodzieńskiej, prezydenta miasta Grodna, który został zamordowany w 1913 roku w swojej podwarszawskiej rezydencji, Teresinie. Bisping wyrokiem Sądu Okręgowego w Warszawie skazany został na 4 lata aresztu, pod zarzutem zabójstwa. Wkrótce jednak wypuszczono go za kaucję. Po pierwszej wojnie światowej, na prośbę samego Bispinga, doszło do rewizji przed Sądem Apelacyjnym, który go znowu uznał winnym zabójstwa, ale Sąd Najwyższy w 1928 roku go ostatecznie uniewinnił.

W jednym ze swoich listów o pobycie w Massalanach, Dygasiński pisze:

„Żywię się dobrze, o ósmej rano piję herbatę (2 filiżanki), około dwunastej jadam talerz kwaśnego mleka, przed drugą śniadanie: mięso pieczone, zupa, jarzyna, przed siódmą obiad, zwykle obfity, przed dziewiątą herbata. Rano do herbaty podają: masło, chleb, ciasto, wędliny litewskie. Wieczorem herbata z ciastem. Przy śniadaniu i obiedzie pijam kieliszek wina, który sobie wlewam do wody. Urządzenie domu odznacza się wyższym komfortem niż w Młynowie. Głównie znać wszędzie głowę i rękę pani domu. Do stołu zasiadają: oboje państwo, dwie córki, pobierające naukę gdzieś w Austrii, syn starszy a mój uczeń, młodszy Kazimierz, nauczycielka panna Seidlitz, ja i rządca majątku, pan Klimaszewski. Przy stole nie pali się papierosów, przeto po uczcie uciekam do swego pokoju. Rozmowy toczą się zwykle wieczorem przy herbacie w salonie. Jest tu lawn-tenis, ale nie grywam. Sąsiadów nie znam jeszcze, ale o ile wiem, te z którymi się żyje są takie: księstwo Drucko-Lubeccy, Pudłowscy, jedni i drudzy spokrewnieni z moimi chlebodawcami, Niemcewicze, Andrzeykowicze, Stefan Potocki z Rosi".

W niektórych listach do córki serwuje Dygasiński inne ciekawostki: jak 0 wielkiej burzy, która zabiła chłopa na drodze (piorun) i podpaleniu Niemcewiczowi stodoły.

Tutaj w Massalanach, Dygasiński napisał swoją najlepszą powieść pod tytułem *Zając,* zmieniając nazwę majątku na Morzelany. Czasem wraz z rodziną Bispingów *zjeżdżał* pisarz do Strubnicy, drugiego majątku ordynacji, skąd również słał listy o swojej pracy i życiu magnackiej rodziny. Cytuję niektóre fragmenty.

„W środę około godziny trzeciej przyjechaliśmy do Strubnicy i tu pozostajemy trzeci dzień z rzędu. Pani pojechała do Wiednia po dzieci, gdyż od syna był telegram. Ja tu tylko przez pół lekcje odrabiam, przeczytałem więc już drugi raz 1 tom *Trzech muszkieterów* i napisałem brulion XVI rozdziału *Zająca.* Dziś jest bardzo silny mróz, coś około 9 stopni. Od rana siedzę i piszę a w domu okrop-

na krzątanina, ponieważ cała służba z Massalan przyjechała i robi we dworze porządek nadzwyczajny. Jestem zły, bo **tu taki rwetes** nieustanny, to ani pisać, ani lekcji dobrze odrobić nie mogę. Niektórzy z gości pogrzebowych dzisiaj już przybyli, inni podobno w sąsiednich **wsiach znaleźli** pomieszczenia. Napisałem tu wszystkiego dwa rozdziały *Zająca*.

Muszę tu nadmienić, że ów „rwetes" był spowodowany śmiercią Józefa Bispinga, ojca ucznia pisarza, który zmarł w Warszawie i miał być pogrzebiony w Strubniey, gdzie przy kościele były liczne pochówki Bispingów. W dworze tutejszym, niskim, staropolskim, przysadzistym, drewnianym, który pamiętam, była jeszcze w 1939 roku wielka, mroczna, zawieszona portierami sala. Później dobudowano część większą, piętrową, murowaną, która również nie przetrwała drugiej wojny światowej.

„Trzeci dzień już mój uczeń pojechał z matką - cytuję inny list - w interesach majątkowych do Grodna. Na gospodarstwie pozostała księżna Deszczeńska, bardzo dobra i sympatyczna kobieta. Dziś zrobiłem dobry rozdział, który mi się samemu podoba i zrobiłem sobie pomysł do rozszerzenia jednego z charakterów powieści... Czytam trochę **i** w południe karmię wróble".

Tłok i rwetes w Strubniey wiązał się nie tylko z pogrzebem chlebodawcy Dygasińskiego, ale i ze spadkiem, który należało podzielić między dwóch synów: Jana i Kazimierza a także wyposażyć córki. Stąd zjazdy i rozjazdy.

„Coraz nowe interesa rodzinne - wracam do listów - majątkowe mojego ucznia stawiają tak kwestie, że mój odjazd ze Strubniey się odwleka. Dopiero tutaj, gdy się opieka zjechała, postanowiono wyjazd na koniec listopada. Od wtorku siedzę w Strubniey, a że nie mam nic **innego do roboty, piszę** swoje głupstwa tak zapalczywie, że mi papieru zabrakło **i list do** ciebie składa się z jedynej, jaka mi pozostała kartki. Dziś mamy niedzielę a we wtorek będziemy mieli polowanie a we środę lub czwartek **wrócimy do** Massalan. Treścią mojej roboty są czasy szkolne, czasy mojej młodości a nawet dzieciństwa. Zrazu poszło mi to łatwiej, rozmachałem się nawet, później, czy werwa przygasła, czy wybrnąć należy z pewnych trudności, ustałem jak koń w drodze. Ale koniec końców powieść nowa stanie. W Strubniey zażywam prawdziwych wywczasów. Idę koło 12 spać, wstaję o 8 rano, popijam herbatę pisząc do pierwszej. Potem idę na przechadzkę, na którą mnie pani często wyprasza, po obiedzie drzemię z pół godziny, piję herbatę, piszę, znowu herbata aż do kolacji i znowu piszę".

„Wiadomości o sobie nie mam tak ciekawych, aby zasługiwały na zaznaczenie. Żyję wśród zjazdów na narady, nabożeństwa żałobne, wśród układów na prawa dziedziczne, w czym żywego udziału brać nie mogę, dla przyczyn łatwo zrozumiałych. Jako fakty godniejszego zaznaczenia notuję tylko jedno polowanie, jednego winta **i** wizytę złożoną hrabiemu Potockiemu Stefanowi w Rosi i atoli nie wstrząsnęło **to tak daleko duchowością moją.** Powieść do *Gazety Polskiej* pochłania mnie o wiele więcej **i** zacząłem ją pisać raźniej: gra zaczęła się w głowie komplikować, urosły pewne trudności **i** stanąłem".

W tym liście Dygasiński pisze, że ostatecznie rada familijna ustaliła przyznać Massalany wraz z przynależnościami do ordynacji Janowi Bispingowi, zaś Strubnicę z drobnymi folwarkami drugiemu synowi, Kazimierzowi. Obaj na odziedziczonych spuściznach dotrwali do drugiej wojny światowej, ale ich losy były tragiczne.

„Panna Florentyna jest ciągle z domem w Strubnicy i zapytuje się o ciebie a ja kłaniam się i kłaniam od ciebie. Napoznałem dosyć ludzi, niektórzy karykaturalni tak, że ponieważ nie mam czasu śmiać się w dzień, więc śmieję się w nocy pod kołdrą. Jednakże anegdota o szlachcie z Pińszczyzny nie jest tak śmieszna, jak mi się wcześniej zdawało. Wiesz jak ona brzmi? Otóż kiedy w 1857 roku przyszły na Pińszczyznę pierwsze transporty cygar, szlachta jadła je z octem i oliwą".

O nowym ordynacie, Janie Bispingu pisze Dygasiński następująco:

„Co do stosunku z nim nie mam powodu się użalać. Jest dla mnie zawsze dobry. Prawda, że mało korzysta a przynajmniej nie w takim stopniu, w jakim bym sobie życzył, ale może jest tu wina i okoliczności. Przede wszystkiem nie jest zupełnie zdrów, chociaż dziś jest o wiele, wiele lepiej, gdyż następnie po śmierci ojca, został panem, ma dużo koni, które lubi, rwie się do gospodarstwa, które mu smakuje lepiej niż książka. Dalibóg, gdybym był na jego miejscu, zrobiłbym to samo. U mnie nic nowego, spłodziłem w Strubnicy dwie nowele. Jedną dla krakowskiego *Życia,* a drugą na opłacenie kosztów podróży do Warszawy i na kieliszek wódki. Tak mi zbrzydła Strubnica, że dopiero teraz oddycham, cieszę się i używam przechadzki. Byłem na polowaniu, ale nawet psa nie widziałem".

Dygasiński wreszcie powrócił z nielubianej Strubnicy i w liście do córki zanotował:

„Uczeń mój wrócił niespodziewanie ze Strubnicy: biedactwo przemókł od deszczu, gdyż przez 6 mil jechał na swojej wierzchowce. Dziś strzelaliśmy do nurków. Ja dałem dwa strzały, on dziesięć i nic. Pani Antonina ma paradną służącą, dziesięcioletnią Margielkę, która jest im ideałem i może być bohaterką przyszłej powieści. Nie lubią jej, ponieważ długo sypia i jest wszawa. Stawam w jej obronie i daję jej dowody wszelkiej sympatii. Taka mądra jakoby jej było trzydzieści lat - pyszna Margielka. Pytam ją, dlaczego nazywa się Margielka. Ona w śmiech i dopiero po długim namyśle odpowiada:

- Jakże mnie inaczej mogą nazwać, skoro moja matka jest Margiel.

Jakoż istotnie, na rok przed swoją śmiercią Dygasiński opublikował powieść *Margielka i Margiel.* Jeszcze jeden temat z bogatego krajobrazu kresów. Dygasiński zmarł w 1902 roku.

1. A. Dygasiński, Listy. 1972.
2. Pamiętniki Jana Bispinga. Kopia rękopiśmienna w archiwum kościoła w Strubnicy.
3. J. Bisping, Moje wspomnienia spisane w Massalanach. Rękopis, sygn. 13132 w Ossolineum.
4. S. Szenic, Pitawal Warszawski. Warszawa 1975.
5. Listy Józefa Bispinga z Kanady do autora. Obecnie w Muzeum w Gorzowie.
6. N. Kicka, Pamiętniki. Warszawa 1972.

Q
MICHAŁ FEDOROWSKI

Wybitny polski etnograf i folklorysta, niestrudzony badacz kultury duchowej i materialnej Białorusinów zamieszkujących w bezpośrednim sąsiedztwie z Polakami, autor monumentalnego zbioru *Lud białoruski,* Michał Federowski urodził się 1 września 1853 r. w Warszawie w rodzinie o tradycjach szlachecko-ziemiańskich. Około 30 lat mieszkał i pracował na Białorusi.

Ojciec jego, Kaszub z pochodzenia, uczestnik powstania styczniowego, w 1866 r. wyemigrował za granicę i jako żołnierz najemnej armii francuskiej zginął w bitwie pod Orleanem w 1870 r. Przyszły etnograf wychowywał się pod okiem matki i dalszej rodziny. Z powodu słabego zdrowia, przebytej w dzieciństwie gruźlicy płuc oraz ze względów materialnych nie zdobył on formalnego wykształcenia, które uprawniałoby go do wejścia w szeregi uczonych etnografów. Był więc badaczem-samoukiem o rozległej wiedzy i szerokich zainteresowaniach. Jego wykształcenie ograniczało się do ukończenia 4 klas progimnazjum w Warszawie (1870 r.). Ze względów zdrowotnych za namową matki wybrał Federowski „zawód ziemiański", który zdobywał na kursach i podczas praktyk rolniczych w magnackich gospodarstwach rolnych i ogrodniczych w latach 1871-1873. Zapisał się też na studia na wydziale agronomicznym Akademii Pietrowsko-Razumowskiej pod Moskwą w charakterze wolnego słuchacza (1873-1874), które musiał przerwać w związku z pogorszeniem się stanu zdrowia.

Zainteresowania humanistyczne późniejszego etnografa kształtowały się głównie pod wpływem kontaktów towarzyskich. W dzieciństwie i w młodości stykał się Federowski z takimi wybitnymi ludźmi swojej epoki, jak Franciszek Karpiński, Roman Zmorski, Kazimierz Władysław Wójcicki i inni. Zetknięcie z Zygmuntem Glogerem, Oskarem Kolbergiem, a zwłaszcza z Janem Karłowiczem zadecydowało o jego dalszych losach. Jak sam wspominał po latach, lektura *Poradnika dla zbierających rzeczy ludowe* autorstwa Karłowicza, zrobiła na nim tak wielkie wrażenie, że zrezygnował z zamierzonego wyjazdu do egzotycznych

kolonii holenderskich na Sumatrę i Jawę i postanowił poświęcić się badaniom kultury ludowej. Swoją pasję i zapał podbudowywał lekturą prac uczonych polskich i rosyjskich z zakresu etnografii, historii i archeologii. Będąc praktykantem a następnie administratorem majątku Michała Poleskiego w Olkuskim w latach 1875-1877 zajmuje się Federowski zbieraniem materiałów etnograficznych z okolic Siewierza. Robi to pod kierunkiem Glogera. Plonem tej pracy był wydany 12 lat później dwutomowy zbiór *„Lud z okolic Żarek, Siewierza i Pilicy".* Od tej pory łączy Federowski pracę zawodową tj. funkcję dzierżawcy i administratora różnych majątków z zainteresowaniami ludoznawczymi.

W1877 r. przenosi się w okolice Prużany do majątku przyjaciół matki i przez 27 lat pozostaje na „rozłogach białoruskich". U schyłku życia Federowski powrócił do działalności naukowej. Dzięki poparciu ówczesnego kierownika Zakładu Etnologii Stanisława Poniatowskiego został pracownikiem tego zakładu w Instytucie Nauk Antropologicznych. Podjął także współpracę z Towarzystwem Naukowym Warszawskim, gdzie w 1921 r. i na początku 1922 r. wygłosił szereg referatów o charakterze wspomnieniowym.

Od połowy 1922 r. stan zdrowia Federowskiego zaczął się pogarszać. Przeczuwając bliski zgon, w maju 1923 r., etnograf sporządził testament, w którym przekazywał większość zbiorów rękopiśmiennych dotyczących ludu białoruskiego oraz mapy Litwy i Białorusi, wycinki prasowe i dokumenty historyczne Towarzystwu Naukowemu Warszawskiemu, zobowiązując je do opracowania i wydania dalszych tomów *Ludu* ...

l A--. Michał Federowski zmarł 10 czerwca 1923 roku w Warszawie. Wybitny naukowiec został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim.

f Najlepszy okres swego życia Michał Federowski spędził w powiecie wołkowyskim w Kosinie. Dawniej majątek i niewielka wieś leżące 9 km na zachód od Wołkowyska.

Michał Federowski w latach 1884-1894 od Jelskich dzierżawił Kosin, tutaj ' pracował nad monografią *Ludu białoruskiego,* tutaj mieszkał i tutaj się ożenił z siostrą doktora Bitnera ze Swisłoczy.

Zwięzłą, ale dobrą, charakterystykę Federowskiego daje Wacław Bajerczuk, około roku 1929 uczeń białoruskiego gimnazjum w Wilnie. Ojciec Wacława był kowalem w Kosinie u Federowskiego.

/ „Federowski słabego zdrowia - czytamy - i budowy. Dobry, ale zapalał się złością. Oprócz pisania zajmował się leczeniem lekkich chorób ziołami. Przed domem wisiały ich pęki. Za leczenie pieniędzy nie brał. Zioła zbierał sam, lub znosiły mu je baby. Brał natomiast dobrowolne ofiary w naturze. Przyjeżdżano do niego z miejscowości odległych nieraz o 20-30 km. Będąc w Kosinie, jeździł z niektórymi ludźmi nad brzegi rzeki Roś i rozkopywał kurhany. Eksponaty zbierał po wsiach: tkaniny, fajki, gwizdki za wszystko płacił. Fotografował starych ludzi. Chodził w szarym ubraniu wioskowego wyrobu, mówił po polsku i białorusku".

Okres kosiński w twórczości M. Federowskiego był chyba okresem najintensywniejszej pracy. Zebrał on kilka tysięcy pieśni białoruskich, które śpiewa tamtejszy lud, zanotował setki i legend i baśni, wierzeń i przepowiedni, przysłów i wyrazów. Wynikiem i kolosalnej pracy został rękopis 6-tomowej monografii *Lud Białoruski*.

W okresie życia Federowskiego na Białorusi ukazały się trzy drukowane tomy książki: w roku 1897 - pierwszy, poświęcony wierze, wierzeniom i przepowiedniom ludu z okolic Wołkowyska, Słonimia, Lidy i Sokółki; w 1902 - drugi, w którym zebrano baśnie z tych terenów; w 1903 - trzeci, gdzie ukazały się legendy historyczne i miejscowe, anegdoty, opowieści historyczne.

W swoich wspomnieniach Julian Talko-Hryncewicz napisał, że Federowski w Kosinie, koło Wołkowyska, w dzierżawionym przez niego majątku, zgromadził wspaniałe zbiory archeologiczne i etnograficzne, cenną bibliotekę oraz, że z rąk Żydów wykupywał, chroniąc od zniszczenia, stare dokumenty, nadania i przywileje królewskie dla różnych miast. W latach 1877-1892 Federowski około 11 tys. archeologicznych i około 1 tys. etnograficznych materiałów i różnych przedmiotów życia codziennego Białorusinów przesyłał Zygmuntowi Glogerowi do Jeżewa na Białostocczyznę. W zbiorach archeologicznych ostatniego, które znajdują się w Muzeum Archeologicznym w Krakowie, znajduje się informacja o osadach epoki kamienia, wyrobach z krzemienia i siekierach kamiennych znalezionych w dorzeczu rzeki Roś, lewego dopływu Niemna (Wola, Kołłontaje, Krasne Sioło, Mścibowo, Olszymowo, Arancy, Teolin, Jaćwież), bliższych okolicach Kosina. W samym majątku są znane dwie osady z okresu kamienia około Wilczuków i uroczyska Gumbiszki. W czasie życia w Kosinie Michał Federowski samodzielnie i wspólnie z Z. Glogerem prowadził wykopaliska archeologiczne osad i cmentarzysk (kurhanów i grobów w obstawach kamiennych) średniowiecznych w powiecie Wołkowyskim i sąsiednich terenach (majątek Wilejszy koło Świsłoczy, majątek Wiszów pod Słonimem, Germanauski Las koło Wołkowyska, Kosin, uroczysko Piskosz koło Krasnego Sieła).

Wielu znanych ludzi odwiedzało Michała Federowskiego w Kosinie. Jan Karłowicz i Joachim Traczyk zbierali białoruski folklor, Zygmunt Gloger badał prastare siedziby i rozkopywał kurhany, Julian Talko-Hryncewicz (Iłgowski) z polecenia Akademii Umiejętności robił pomiary antropologiczne, Ignacy Wróblewski, artysta, malował typy i pamiątki.

Jedno ze spotkań folklorystycznych w Kosinie z 1891 r. opisuje sam Federowski. „Śpiewaczek było osiem. W przeddzień swego odjazdu Jan Karłowicz gdy one ze wszystkich komórek pamięci zbiór cały wytrzęsły, podał myśl, by im urządzić z muzyką i tańcami coś w rodzaju dożynek... „Szeherezada" (Paulina Kiersnowska ze wsi Rudziewicze powiat Wołkowyski) dostarczyła pierogów, sera, owoców, wszelakich zakąsek, posłaniec przywiózł z Wołkowyska piwa i miodu słynnego z dobroci, grajka sprowadziliśmy ze wsi pobliskiej, parobcy bez uprzedniego wezwania na samą wieść przybiegli sami. Traktament i skrzypce sprowadziły dobry

humor, taniec zaczęto od ulubionej kręciołki, potem, przeplatając polką, tańczono do upadłego: szarlatana, poduszeczki, skakuchę. Karłowicz swym naturalnym braterskim niemal obejściem stworzył nastrój serdeczny, podsycający swobodę, my, idąc za jego przykładem, staraliśmy się ogólną uciechę podzielić. Już pod koniec Traczyk, chwyciwszy skrzypce, urżnął raźnego oberkana, na którego odgłos Karłowicz, przytupnąwszy w takt, z okrzykiem: „Jest to rzecz oczywista, głupi, kto nie skorzysta", podskoczył ku najstarszej śpiewaczce i ochoczo razy kilka wykręcił z nią wkoło, my, nie czekając, za inne i nuż w najlepsze wywijać. Nareszcie koło północy dziarski mazur zakończył zabawę: śpiewaczki hojnie obdarowane, a wszyscy bez wyjątku uraczeni co się zowie, rozeszli się do domu".

Nie możemy nie skorzystać z okazji, aby nie zaznaczyć, że jednym z informatorów i towarzyszy wypraw Federowskiego był mąż siostry pradziadka po matce autora -Witolda Karpyzy, Tadeusz Maćwiejczyk v. Maciejeuski, „b. starszyna" - jak go określił sam autor *Ludu białoruskiego*.

Wśród licznych legend i baśni zanotowanych przez Federowskiego są dwie *o,* samym Kosinie. „I w naszym dworze strachy się pokazują. Więc widuję często jakiegoś czarnego psa na łańcuchu, to buhaja, to kota czarnego, to kozła, co nieboszczkę naszą panią w nocy uduszył, tak że musieli opuścić mieszkanie. Ksiądz później wyświęcił mieszkanie i na czas jakiś się uspokoiło". Druga z legend mówi, że obok wsi na pagórku stała unicka cerkiew, ale zapadła się w ziemię. Okazało się jednak, że naprawdę istniała, gdyż inwentarz Kosina z 1756 roku wymienia ją następująco - „Z drugiej strony dworu cerkiew niedawno budowana, a w niej ołtarz snycerskiej roboty". Przyjrzyjmy się więc dziejom tej miejscowości.

Z historii miast i wiosek

Źródła:

1. Biełaruskaja krynica, 1929, t. 6.
2. Wisła. TUL 1989. ś. 277.
3. J. Talko-Hryncewicz, Z przeżytych dni (1850-1908). Warszawa, 1930, s. 201-202.
4. List M.Federowskiego do W. Szukiewicza z 13 lipca 1902 r. Biblioteka Narodowa w Warszawie III. sygn. 2942. k. 1-4;
5. L. D. Pobol, Drewnosti Biełarusii w muziejach Polszczy. Mn, 1979
6. M. Federowski, Z nad Niemna. W: Życie i prace Jana Karłowicza. Warszawa 1904, s. 70.
7. M.ł Federowski, Lud białoruski. Warszawa, 1969.
8. W. Karpyza, Materiały do dziejów szkolnictwa i oświaty w północno-zachodniej części byłego powiatu Wołkowyskiego, Slavica Wratislaviensia. T.XXIX. Wrocław 1984, s. 100.

NATALIA KICKA

Natalia z Bispingów Hr. Kicka

Dwadzieścia dziewięć kilometrów na południowy wschód od Wołkowyska, nad Zelwianką leży wieś i dawne dobra, Hołowczyce. Według Słownika Geograficznego należały dawniej do gminy Zelwa. Wieś miała 789 dziesięcin ziemi, zaś dobra z folwarkiem Natalin 1095 dziesięcin i należały do księcia Oboleńskiego. Wcześniej, bo w 1690 roku trzymał je Mikołaj Sieheń, miecznik wołkowyski. W XVIII wieku były jedną z licznych własności rodziny Bispingów. Do rodziny tej należały jeszcze: Jeziernica, Konna, Wiszniówka, Janowszczyzna, Sedelniki, Monciaki, Strubnica i Werejki a także Massalany.

Bispingowie są pochodzenia niemieckiego z Westfalii, a do Polski przybyli za czasów króla Batorego. Władysław IV nadał im w 1635 roku wielkie posiadłości w województwie smoleńskim z obowiązkiem bronienia własnym kosztem twierdzy Staroduba. W obronie tego zamku poległ Tomasz Bisping. Po odpadnięciu tych dóbr od Rzeczypospolitej, Bispingowie osiedlili się na Litwie piastując często różne symboliczne godności starodubowskie. Główną siedzibą Bispingów zostały Hołowczyce.

„W jednym z pokoi matki mojej - wspomina Natalia Kicka z Bispingów - wisiały dwa stare obrazy. Z ram pierwszego wyziera wizerunek Bolesława Bispinga z ogoloną jak kolano głową, sumiastym wąsem. Nosił się w kontuszu i żupanie. Trzymał laskę marszałkowską w ręku. Obok Bolesława oczy spoczywały na uśmiechniętej twarzy kobiecej. Miała włosy podpięte różyczką, koronkami podszyty robron, a płaszcz aksamitny gronostajami podszyty, z ramion jej spływał. Była to żona Bolesława, wcale do niego niepodobna, ani z kroju, ani ze stroju".

Po śmierci Jana Bispinga, syna Bolesława, znaczna część dóbr Bispingów poszła na spłatę długów. Pozostały im zaledwie Hołowczyce i Strubnica. Jeden z synów Jana, Adam, osiadł na Strubnicy a drugi, Piotr, na Hołowczycach.

Piotrem Bispingiem i jego rodziną zajmę się bliżej. Zachowała się jego metryka. „Lat miał dwanaście, zdrowie dobre, pilność mierna, obyczaje stateczne, postępy w łacinie, arytmetyce, nauce moralności, kaligrafii, nadmierne". Był synem Jana, marszałka starodubowskiego. Piotr Bisping zaś w latach 1820-1825 był marszałkiem wołkowyskim. Wspomina o nim dość uszczypliwie, Stanisław Morawski:

„Na nieszczęście, bodajże sobie połamali koła, przybyła do Wilna familia Bispingów i siostra samej, sławnej z piękności, Teresy Bisping. Nudząc się i oglądając Wilno, diabeł im szepnął starać się o wejście do gabinetu mojego Jurewicza. Sam Bisping, człowiek światowy, a zatem pozornie grzeczny, podjął się negocjacji biletu i osobiście karetą do Jurewicza zajechał. Bilet otrzymał, na oznaczoną godzinę z całą swoją czeredą się stawił. Jurewicz, chcąc grzeczność grzecznością odpłacić, sam przyszedł do niezbędnych objaśnień. Było tam kilka córek Bispinga, panien oswojonych ze światem a śmiałych i ładnych. Nadmieniłem, że kiedy Jurewicz mówił, mówiła wiolonczela. A mówić miał o czym, więc oczarował Bispingów. Stąd znajomość, zaproszenie do domu i miłość, w której nasz uczony cały, jak miętusiowa wątróbka, się roztopił. Panna także na wodzy nie mogła utrzymać swego serduszka. Bispingowie nie domyślając się niczego, na wyjezdnym na wieś, szanując, poważając i ciesząc się uczonym, dowcipnym Jurewiczem zabrali go gwałtem na wakacje, do siebie. Wszystko mu szło, jak z płatka. Na wsi rozłechtali go jeszcze bardziej. Nie znał on świata, to prawda, ale więcej miał on od wszystkich przeszłych Bispingów rozumu. Musieli więc go już nadto rozkarasować, kiedy po rozważeniu pozycji swojej, wróciwszy na publiczną służbę, za radą nawet samej panny, w zupełnej ufności przyszłego szczęścia, napisał list oświadczający się do jej ojca z prośbą o rękę córki.

Bisping bogaty, a jeszcze bardziej zarozumiały i niedelikatny a bardziej jeszcze głupi, zamiast odmówić z dobrocią, w odpowiedzi swojej wręcz od tego zaczął: „Nie mogę wyjść z zadziwiania, jak waćpan, ubogi szlachcic, urzędniczek Uniwersytetu, mogłeś kiedykolwiek, tak krzywdzące dom mój, robić nadzieje". Było tam coś dalej jeszcze, ale już Jurewicz nie doczytał więcej, porwał się jak wściekły i w tym momencie zwariował.

Stępiły się na nim na próżno wszelkie sztuki lekarskiej nauki. W całym znaczeniu wyrazu był wściekły. Trwało to sześć miesięcy. Kiedy już nic pomóc nie mogło, sprowadzono Srockiego sąsiada mojego, sławnego z leczenia fiksatów. Ten go podkurzył, podmuchał, przeczytał nad nim kilka rozdziałów Koranu i pochuchał. Jurewicz wrócił do głowy, została mu pamięć wszystkiego, ludzi, nauki, ale i pamięć serca. Pochodziwszy czas jakiś po Wilnie z miną nieśmiałą nie mając nikogo, z kim by mógł smutkiem swoim się podzielić, ja wtedy byłem na kilka miesięcy do Petersburga wyjechał, zbrzydził samego siebie, wcisnął się pod lód Wilenki i takim sposobem, warte lepszego losu, życie zakończył".

Która z tych czterech Bispinżanek wpadła Jurewiczowi w oko, tajemnicy dla nas uchyla Gabryela Puzynina: „Przypisywano śmierć jego pannie Natalii Bisping, pięknej Litwince, która z mamką i babką Kicką zimowały w Wilnie a codziennym ich gościem był Jurewicz, nie obojętny na piękność, trochę posagowej, poważnej, panny Natalii".

Na innym miejscu taż pamiętnikarka dorzuca trochę szczegółów o domu Bispingów:

„Dom Kickich i Bispingów - czytamy - był dla nas bardzo miłą przystanią. Panna Teresa Kicka, niegdyś bardzo piękna, cel uwielbień jednego z książąt Czartoryskich, posłużyła Niemcewiczowi za wzór do jego „Panny Juzdralskiej". Ona i młodsza jej siostra Piotrowa Bisping z córkami, Natalią i Różą, odwiedziły Litwę w 1826 roku, a po zimie spędzonej w Wilnie, latem objechały okoliczne dwory. Piękna Natalia w 1833 roku była już wdową po rodzonym wuju, generale Kickim, który ożeniwszy się z nią przed samą wojną, poległ śmiercią walecznych na polach Ostrołęki. Córeczka, urodzona po śmierci ojca, była jedyną pociechą tej młodej wdowy, zawsze pięknej, jak anioł".

Natalię Bisping za wyjątkową piękność uważał także Edward Odyniec a Leon Potocki pisał w 1818 roku, że podczas spotkania towarzyskiego na jarmarku w Świsłoczy trzy królowały piękności: Melania Andrzeykowiczówna, Natalia Bisping i Karolina Sieheniówna, a były to wszystko wołkowyszczanki.

Natalia Kicka dzieciństwo spędziła w Hołowczycach. Miała trzy siostry a każda miała inne usposobienie. Rzadcy goście zjeżdżali do Hołowczyc, panny rosły, otoczone nauczycielkami pod nadzorem bony Polki, pod kierunkiem wysoko wykształconej nauczycielki francuskiej i opieką matki. Braci panny nie miały.

Sąsiedzi nie byli liczni. W pobliżu mieszkał poeta, Franciszek Karpiński. Złamany wiekiem cierpiał na melancholie. Siedział samotnie całymi tygodniami

nie widząc nikogo. W bawialnej izbie miał dwie szafy. Na jednej umieścił napis „Dla ciała" i napełniał konfiturami. Na drugiej zaś, wypełnionej książkami, wisiał napis „Dla duszy".

Natalii, gdy matka zaprowadziła ją do niego, wydawał się straszny. Patrzyła na niego dziecinnymi oczyma. Głowę miał nieuczesaną, okrytą ogromną czupryną, posiwiałą, ubiór zaniedbany z szarego płótna. Mówił jeszcze wzdychając o Justynie, bogdance lat młodych.

Snuły się po Hołowczycach rozmaite postacie oryginalne. Przyjeżdżała, o jednym koniu na przykład, stara pani Bielawska odkrytą dryndulką. Dumną kobietą była, jako córka rodu, z którego pochodziła, niegdyś dopisującego tytuł kniaziów do nazwiska Bułharynów, a uboga jak mysz kościelna. W połatanej sukni pokazywać się nie krępowała. Kiedy po dobrym obiedzie czuła się w obowiązku bawić gości, opowiadała, że raz w Wilnie na balu, cesarz Paweł przetańczywszy z nią poloneza, w rękę ją pocałował i przez długi czas potem namyślała się, czy ma tę rękę umyć, Rozmaitych datków wymagała, przyjmując je jako dar należny jej rozumowi. Wycyganiła kiedyś od Bispingów konia a objechawszy nim Wołyń i Litwę, zawsze w swojej dryndulce, odesłała go do Hołowczyc z dopiskiem: „Ponieważ koń w mojej służbie został arystokratą, nie chce jeść siana i muszę żywić kaszą, więc go odsyłam i proszę o drugiego, demokratę, któryby miał zdrowe zęby".

Odwiedzał Hołowczyce biedny, wędrowny dziadek, którego legend rycerskich Natalia słuchać lubiła. Nazywał się Mieleszko. Twierdzono, że stary Mieleszko jest ostatnim potomkiem magnackiej ongiś rodziny na Litwie. Oparty na kiju wlókł się powoli, mając obute w łapcie nogi. Duże sakwy nosił na plecach a na twarzy, zoranej bruzdami, słodki uśmiech. Nie żebrał za przytułek chwilowy, za datki drobne, które mu z ochotą wciskano, ale odśpiewywał, jako zapłatę, rycerskie pieśni lub też ofiarował matce Natalii małą tabakierkę z kory brzozowej. Przyjmowała ją z wdzięcznością. „To jest pan z panów - mówiła - i jest igraszką złego losu, jaki każdemu z nas może się zdarzyć".

Kapelanem hołowczyckim był ksiądz Kołdyk, który uczył panny katechizmu, paryżanka Ciarek - literatury i mowy francuskiej. Stary Laffin - angielskiego, Czech Bystry - muzyki, koniuszy Nagrodzki - rachunków i historii polskiej a stara bona, jak tytułować ludzi.

Piotr Bisping, ojciec Natalii, za czasów, gdy Akademią Wileńską zarządzał książę Adam Czartoryski, miał honorową posadę, czyli obowiązek nadzorowania szkół łyskowskich, jedne utrzymywane przez księży misjonarzy, drugie przez bazylianów. Gdy książę, z woli cara Aleksandra I, został usunięty i Nowosilcow objął nieograniczoną władzę nad Akademią Wileńską i zabłądził, objeżdżając szkoły powiatu wołkowyskiego w towarzystwie Pelikana i innych urzędników, zawitał do Hołowczyc. Gościł godzin kilka. Mówił wiele, dowodząc potrzeby odmiennego wychowania Polaków, o nieużyteczności Akademii Wileńskiej. Powtarzał cięgle „Nauka nikomu jeść nie da! Poezja zawróciła głowy akademikom

i nie ma, między nimi ani jednego zdolnego ufarbować łokieć sukna. W Słonimie będą wyrabiać zielone dla wojska, żółte dla Chin. Znajduję, że w tym jest sens". Nowosilcowi rozumu nie brakowało, tylko zły z tego robił użytek.

W 1850 roku, po śmierci matki, Natalia Kicka przyjechała z Warszawy do Hołowczyc, by podzielić się spadkiem po rodzicach. Zastała tam pustki i ślady gorącego przywiązania rodziców do niej, które gorącymi łzami skropliła. Ojciec, co prawda, pozostawił dokładne majątkowe zapiski, lecz nie mające wagi formalnego testamentu. Ostatecznie Natalia otrzymała z podziału Hołowczyce, które jeszcze przed powstaniem styczniowym sprzedała swojemu krewnemu, Edwardowi Twardowskiemu. Ten jednak został przez Murawiewa zesłany na Sybir i tam zmarł. Hołowczyce zostały skonfiskowane, a jak do tego doszło, pisze Natalia:

„Ludność wiejska, zamieszkała po wsiach hołowczyckich była unicka i należała do parafii zelwiańskiej. Paroch tej nieszczęśliwej gromadki chrześcijan, jako jeden z pierwszych przeszedł na schizmę, dopuszczał się rozmaitych nadużyć krzyczących w pełni zaufania opieki władz rosyjskich, rozciągnionych nad nimi. Kazał darmo obrabiać grunta należące do plebanii. Ci, którzy odmawiali pracować darmo, musieli w cerkwi wybijać pokłony, czołem o ziemię uderzać, dopóki nie padli zemdleni. Twardowski, ujmując się za poddanymi, podał na popa skargę do asesora, najniższej władzy policyjnej w powiecie wołkowyskim. Pop zelwiański, niejaki Torosiewicz, mszcząc się ze swej strony, podał skargę na Twardowskiego, jako prześladującego schizmę, do archimandryty Siemaszki. Siemaszko wręczył ją Murawiewowi, któremu po objęciu władzy nad nieszczęśliwą Litwą pilno było wynaleźć buntownika w osobie szanowanego obywatela. Nadaremnie tłumaczył się Twardowski, daremnie świadkowie udowadniali fałsz zarzutów przez popa zelwiańskiego czynionych. Murawiew i komisja śledcza wileńska osądziła pana Twardowskiego, jako buntownika na mieszkanie całe życie w głębi rosyjskich prowincji, na Syberii. Zwykle skazani na wygnanie Polacy zostawali dni kilka w Petersburgu. Od lat kilku przyjaźnił się Twardowski z księciem Suworowem, którego poznał w Paryżu. Książę wysoką zajmował pozycję przy boku cesarza. Wezwany przez Twardowskiego, odwiedził go natychmiast i zdziwił się znajdując przyjaciela uwięzionego w koszarach przeznaczonych buntownikom polskim w Petersburgu. Kazał sobie wytłumaczyć przyczynę uwięzienia. Ufny we własny wpływ na cara, oburzony niesprawiedliwością Murawiewa, radził podanie prośby na jego ręce". „Wybiorę chwilę sposobną podania skargi - mówił Suworow - do Twardowskiego. Poprę swoją powagą i objaśnieniem a tymczasem siedź spokojnie w Petersburgu i czekaj". Suworow dotrzymał wiernie słowa danego przyjacielowi, lecz te wszystkie zachody na nic się nie przydały. Wręczył skargę cesarzowi a ten natychmiast przesłał ją Murawiewowi. Nie długo czekał Twardowski na odpowiedź. Niebawem nadszedł do Petersburga nowy wyrok, wydany przez komisję wileńską, przez Murawiewa potwierdzony, na Twardowskiego. W tym wyroku tłumaczył się „Wieszatiel" następująco: „Przejrzałem akta śledcze buntownika. Ponieważ nie tylko nie ocenił mojej łaskawości, kiedym go za wielką

zbrodnię ukarał lekko, odsyłając na mieszkanie w głąb Rosji, ponieważ odważył się spotwarzyć moje usługi przed najjaśniejszym panem, niechże będzie ukarany sprawiedliwie, na pozbawienie praw stanu odesłany na całe życie na Sybir do Tobolska a cały jego majątek do zbrodniarza należący, jego żonie i dzieciom, skonfiskowany na rzecz skarbu".

Hołowczyce przeszły do książąt Oboleńskich.

Natalia, mieszkając później w Warszawie w wieku starczym, była częstym gościem salonu Teresy Kickiej, gdzie spotykała się z uwielbieniami takich ludzi, jak Słowacki, Chopin, Odyniec, Niemcewicz i inni. Również Mickiewicz znał i cenił wykształcenie panny a nawet wpisał się do jej albumiku.

W czasopiśmie *Kłosy,* z dnia 14 kwietnia 1888 roku ukazał się nekrolog Natalii Kickiej, autorstwa Adama Pługa oraz jej portret w starszym wieku, rytowany przez Edwarda Nicza, w nekrologu czytamy:

„Zmarła w dniu 4 kwietnia 1888 roku. Urodziła się w 1801 roku. Miała trzy młodsze siostry: Walerię - zmarłą w latach panieńskich, Rozalię, zaślubioną Kazimierzowi Wesłowi, zmarłą w Dreźnie w 1866 roku i żyjącą wówczas, wdowę po Teodorze Mycielskim. Natalia do czternastego roku żyda wychowy wała się przy rodzicach, w Hołowczycach. Prowadziła później w Warszawie znany salon literacki. Wyszła za mąż za wuja, generała Onufrego Kickiego, mając lat trzydzieści. W parę miesięcy po ślubie została wdową. Córeczka, która przyszła na świat po śmierci męża, dożyła zaledwie lat 22. Najbardziej zawsze podobała przebywać w towarzystwie ludzi inteligentnych, artystów i literatów, gromadziła starannie rzadkie i cenne numizmaty, ryciny najsłynniejszych sztycharzy polskich, dokumenty historyczne i autografy mężów znakomitych, spisywała swoje wspomnienia, a w roku 1882 umieściła w Pamiętniku Archeologicznym i w *Żurawiu* o grobach megalitycznych, władając zaś pędzlem i ołówkiem niepospolicie, z wielkim upodobaniem uprawiała malarstwo. Do kościoła w Chocieszewiczach, w Księstwie Poznańskim odmalowała piękny obraz olejny. Wykonała też kolorową mapę Skandynawii na pergaminie, przeznaczoną dla Nordenskiołda".

Magazyn Polski

Źródła:

1. N. Kicka, Pamiętniki. Warszawa 1972.
2. A. Boniecki, Herbarz polski. Warszawa 1985.
3. Z przeszłości powiatu wolkowyskiego - opowiadał Wołyniak. Kraków 1905.
4. Ateneum Wileńskie. Szczuka. Marszałkowie szlachty Gubernii Grodzieńskiej,
5. S. Morawski, Kilka lat młodości mojej w Wilnie. Warszawa 1959.
6. G. Puzynina, W Wilnie i w dworach litewskich.
7. A.E. Odyniec, Listy z podróży.
8. L. Potocki, O Swisłoczy, Dereczynie i Różanie.
9. Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego. Warszawa 1880-1902.

EWELINA URSKA Z SIEMASZKÓW

Parafrazując Tuwima, należałoby zacząć: „Rzecz błaha na pozór, nie warta aż poematu...", ale dotyczy Świsłoczy, a raczej „sławnych szkół świsłockich", w których sznureczku znalazło się i Seminarium Nauczycielskie imienia Romualda Traugutta, którego uczennicą była Ewelina z Siemaszków Uruska.

Urodziła się w 1907 roku w Moskwie, jako córka głównego księgowego w fabryce i lekarki. Matka pracowała w miejskim szpitalu. Dzieciństwo upłynęło w dostatku i spokoju. Wuj namówił do przeniesienia się ojca na Ural, do Niżniego Tagilu, jednego z najstarszych ośrodków hutnictwa na Uralu, liczącego 359 tysięcy mieszkańców. Nie odczuwano tam wówczas skutków wojny. Polaków tam było dużo. Zajmowali we wszystkich fabrykach i przedsiębiorstwach naczelne

stanowiska. Uczyła się w domu, później zdawała do pierwszej gimnazjalnej, ale z powodu złego akcentu została przyjęta dopiero po roku. Nauka przychodziła jej łatwo. Przechodziła z klasy do klasy.

W Moskwie zapanował głód. Na Uralu żywności było pod dostatkiem. Brakło tylko cukru, więc rodzice wysyłali całe skrzynie żywności krewnym i znajomym, ale z biegiem czasu i tutaj zaczęły zachodzić zmiany, szczególnie od 1919 roku. Bolszewicy zarekwirowali chłopom zboże, zmagazynowali i zgnoili. „Przez dwa miesiące żywiliśmy się samymi burkami. Śniadanie: herbata z suszonych buraków, obiad: barszcz z buraków i osolonej wody, kolacja: to samo, co na śniadanie. Kiedy skończyły się buraki, zdejmowaliśmy ze strychu worki po mące i wytrząsaliśmy je nad gotującą się wodą. I ta woda, a właściwie pomyje, była przez całe trzy tygodnie pożywieniem. Zapanował tyfus. Ludzie chorowali całymi rodzinami. Miasto przechodziło z rąk do rąk. Naturalnie ze strzelaniną z armat. Kiedy miasto zdobyli „czerwoni", zatrzymywali wszystkich „białych" i im sprzyjających. Biali robili podobnie. Stare szyby były wypełnione trupami. Z tej anarchii korzystali bandyci. Rabowali i zabijali.

- „Straszne wtedy były wieczory i noce" - wspomina Ewelina."

„W 1921 roku umarł ojciec z głodu - pisze - a my wyjechaliśmy do Polski. Przyjechaliśmy nadzy, bosi, zagłodzeni. Rodzina się nami zajęła. Ciotka Spasowska zabrała nas do Warszawy. Z powodu dużych braków z języka polskiego zdałam tylko do trzeciej klasy z dwójką z religii. Po skończeniu czwartej klasy zdałam do seminarium prywatnego, ale matka zaczęła często chorować i tym samym straciła praktykę prywatną i nie mogła płacić 60 złotych za internat i 50 za szkołę miesięcznie. Dowiedziałam się o seminarium w Świsłoczy. Pojechałam tam z wujenką na egzamin na pierwszy kurs. Tam okazało się, że pierwsza klasa będzie tylko męska, więc dyrektor Bolesław Borys, zezwolił zdawać na kurs drugi, który był koedukacyjny. Zdałam ze wszystkich przedmiotów a szczególnie z języka francuskiego. Pani Borysowa powiedziała: „To będzie moja jedyna pociecha - uczyła bowiem języka francuskiego".

Mile wspomina nauczyciela fizyki, Zygmunta Karpińskiego, który tutaj uczył po Józefie Dabkiewiczu w latach 1924-1929.

„Na moje szczęście przyszedł pan Karpiński, który na pierwszej swojej lekcji zrobił klasówkę. Wykonałem zadanie bardzo szybko i zaczęłam pisać ściągawki – wspomina pamiętnikarka. – Zauważył to, zabrał kartkę, postawił piątkę i wyrzucił za drzwi. Takie było moje zapoznanie się z profesorem, dla którego nie mam słów uznania. Tłumaczył wspaniale i tylko głąb by go nie zrozumiał. Można było z nim żyć na stopie koleżeńskiej i nie nazywał mnie inaczej jak koleżanką".

Posiadający ten pamiętnik, był również uczniem Seminarium w Świsłoczy, ale parę lat później po Ewelinie wiele jeszcze o Karpińskim słyszał od starszych kolegów.

Zygmunt Karpiński studiował na politechnice w Grenoble. Zorganizował w seminarium pracownię fizyczno-chemiczną. Był nerwowy, ale matematyki

starał się nauczyć na lekcjach, kładąc wielką uwagę na dedukcję i przy pytaniach często powtarzał: I co dalej?.. I co dalej? Fizyki uczył wyłącznie na doświadczeniach. O swój wygląd zewnętrzny nie dbał. Lubił kawały i na kawałach się znał. Na lekcjach był dla uczniów bożyszczem, ale po lekcjach niemal kolegą. Kiedyś na korytarzu dostał „koca", przeznaczonego zresztą dla kogoś innego. Nie obraził się. Był lubiany i ceniony. Później pracował w radiofonii polskiej oraz wojskach balonowych. On też pierwszy w historii szkoły uruchomił aparat radiowy. Aparat 6 lampowy, sprowadził z Paryża za 6000 złotych. Odbiór początkowo był słaby. Po wymienieniu lamp i remoncie dokonanym przez Karpińskiego, odbierał dobrze. Aparat był nowością dla całego powiatu, łącznie z Wołkowyskiem. Zakup aparatu się opłacił, gdyż urządzano pokazowe wieczorki dla możnych tego świata. Karpiński nauczył uczniów montować 1-2 lampowe aparaty radiowe. Karpiński przed wybuchem wojny w 1939 roku pracował w jakimś zakładzie, prawdopodobnie w Legionowie, skąd wyjechał znowu do Grenoble. W wolnym czasie pomagał seminarzystom w nauce języka francuskiego. Lubił z uczniami grać w siatkówkę.

„Uwielbiałam też pana Pawła Białka, - cytuję pamiętnik Eweliny - który pozwalał rozwijać się w rożnych kierunkach sztuki. Miałam zdolności portretyczne, więc na wszystkich jego lekcjach rysowałam ołówkiem, węglem portrety koleżanek, kolegów i profesorów. Wszyscy dobrze o nim mówią i wspominają. Tylko nikt nie wspomina o tym, ile on znosił przykrości od naszych czołowych artystek (Ludka, Lilka, Julka), które nie zawsze były zadowolone. Rzucały role, obrażały się za uwagi i kaprysiły. Ja na scenie nie grałam, zawsze chciałam być blisko pana Białka. Spełniałam rolę fryzjera, pomagałam przy charakteryzacji, przy kompletowaniu ubiorów. Wszystko mu się udawało. Przedstawienia były wspaniałe. Sala była zawsze pełna. Tylko po przedstawieniu *Żyda w beczce,* miejscowi Żydzi obrazili się i przestali przychodzić, ale po upływie roku, wprawdzie nie tak licznie, ale zaczęli uczęszczać. Na wszystkie akademie ja i Wiesiek Krzewski rysowaliśmy portrety. Ja węglem narysowałam Stefana Żeromskiego i Langiewicza. Z gliny ulepiłam medalion Adama Mickiewicza, który został wypalony u garncarza. Mam go do dnia dzisiejszego".

Białek uczył rysunków i robót ręcznych w latach 1923-1928 wspominają inni. Niezwykle utalentowany i pracowity pedagog. Na lekcjach prowadzonych przez niego, problem dyscypliny nie istniał. Zarażał swoich wychowanków talentem, pracowitością i taktem. Nosił prawdopodobnie perukę. Był nieodłączną częścią kształtującego się oblicza kulturalnego ówczesnej Świsłoczy. Autor licznych obrazów, dekoracji, kostiumów, pomnika Romualda Traugutta w Świsłoczy, inicjator i reżyser sztuk teatralnych, wystawianych przez uczniów seminarium. Białek to czarodziej wychowania plastycznego i technicznego. Posiadał dar artystycznego promieniowania. Wystarczy wspomnieć wystawy szkolne organizowane każdego roku, na których były pokazywane prace uczniów od kartonowej szyfonierki do inkrustowanej zakopiańskiej laski, od bibułkowego klosza-abażuru lampy nafto-

wej do pomnika Romualda Traugutta, od kurtyny teatralnej, wzorowanej nieco na Siemiradzkim, do wspaniałych dekoracji teatralnych, od rysunku rodzimej sowy, symbolu mądrości, do witraży w miejscowym kościele, które projektował.

Białek zdawał się być człowiekiem niezastąpionym, a jednak w 1928 roku musiał odejść. Nie miał pełnych kwalifikacji do nauczania w szkole średniej. Społeczeństwo żegnało go z żalem. Poświęcił też mu parę ciepłych słów ukazujący się wówczas *Tygodnik Wołkowyski*. Pracował później w szkolnictwie powszechnym. Zmarł w 1957 roku.

„Pan Gralewski - wspomina pamiętnikarka - też był moim bożyszczem. Pamiętam nasz marsz, 16 kilometrów do Jałówki, do Preparandy. Tam zaprosiła nas Sabcia Gogolewska na obiad do brata, kierownika Preparandy. Była też wódka. Nie chciałyśmy przy nim wypić, ale on krzyknął:

- Baczność! Za kieliszek chwyć! Pij!

Trudno było nie usłuchać takiego rozkazu. On naturalnie wypił więcej, ale przy wyjściu zagroził, że z nami się policzy, jeśli reszta uczniów dowie się, że pił. Korespondowałem z nim chyba przez dwa lata, ale z czasem przestał odpowiadać".

Marian Gralewski był w latach 1924-1929 nauczycielem wychowania fizycznego w seminarium. Miał stopień wojskowy majora, lubił więc trzymać młodzież w rygorze wojskowym. Pod jego kierunkiem uczeń Giedgowd pobił rekord Polski w skoku wzwyż. Za jego też czasów reprezentacja szkoły świsłockiej biła w zawodach lekkoatletycznych reprezentacje szkół grodzieńskich i wołkowyskich. On też rozpoczął z uczniami karczowanie terenów przy szkole, by na plantach założyć boisko szkolne. Wychowywał młodzież przez prace społeczne. Jego osobisty przykład stał się szkołą gospodarowania. Cechowała go miłość do młodzieży, obowiązkowość, szczerość, brak zakłamania, bezprzykładna pracowitość. W walce z okupantem zaciągnął się do Wojska Polskiego. Przemierzył szlak bojowy od Lwowa do Warszawy. Jako dowódca był lubiany i nazywano go ojcem.

Przyszkolny zwierzyniec ilustrował faunę pobliskiej Puszczy Białowieskiej. Szczególnie dużo było w pobliżu ptactwa i drobnej zwierzyny jak: lisy, sarny a nawet wyjątkowo dzikie wilczysko, dniem niebezpieczne dla dozorców a nocą wyjące ze szczególnym nieukontentowaniem księdza proboszcza i aptekarza, Strzałkowskiego. Zwierzyniec stał się też powodem odejścia dyrektora Wojtulewicza. Sprawa wyglądała następująco: w zwierzyńcu znajdowały się dwa młode wilczki, które na noc, po zamknięciu bram, puszczano wolno po parku. W późnych godzinach nocnych do mieszkania w internacie wracał ze stacji Gralewski. Nie mogąc się dowołać woźnego, aby mu otworzył, przeskoczył ogrodzenie i znalazł się oko w oko z wilczkami, które go pogryzły w rękę. Nazajutrz Gralewski przyszedł do szkoły z ręką na temblaku. Dyrektor powitał go żartem, że taki sportowiec a dał się pogryźć wilczkom. Gralewski podobno, w odpowiedzi wymierzył dyrektorowi policzek. Sprawa nabrała biegu urzędowego. Obu ze szkoły usunięto.

„Pan Stanisław Wiłkoszewski - znów cytuję Ewelinę - wspaniały wykładowca, ale równocześnie surowy, nie lubił flirtów wśród młodzieży, to też nic dziwnego, że nie cieszyłam się jego sympatią. A jak pięknie grał na skrzypcach! Do dnia dzisiejszego łzy wzruszenia płyną na wspomnienia sobotnich koncertów w sali jadalnej. Po kolacji, panowie: Katkiewicz i Wiłkoszewski oraz uczniowie: Ciżyński i Monsiel grali *Dolinę Andory,* czy też Angory, dobrze nie pamiętam. Ryczałam jak bóbr!"

Tutaj znowu muszę sięgnąć do uzupełnień zebranych wśród kolegów. Wiłkoszewski pracował w Świsłoczy w latach 1925-1927, ucząc przedmiotów pedagogicznych, szczególnie psychologii. Wszechstronnie wykształcony, z zawodu prawnik i pedagog, a z zamiłowania matematyk, szachista i muzyk. Początkowo studiował we Lwowie prawo, ale ostatecznie ukończył studia pedagogiczne, będąc słuchaczem znanych wówczas naukowców jak: Joteyko, Kotarbiński i Falski. Wiłkoszewski pracował też swego czasu w Tucholi i Tłumaczu. W tych ostatnich dwu miejscowościach był dyrektorem seminarium. W Nowogródku i Oszmianie był inspektorem szkolnym. W czasie okupacji niemieckiej zajmował się tajnym nauczaniem. Po wyzwoleniu osiadł w Jeleniej Górze, gdzie pracował w Liceum Pedagogicznym. Zmarł nagle w Sobieszowie w roku 1966. Pozostał do śmierci w stanie bezżennym.

„Przed panem Henrykiem Katkiewiczem - znowu cytuję Ewelinę - uczył nas śpiewu pan Szwaja. Miałam z nim drakę. Śpiewaliśmy na chórze, w kościele. Weszła pani Borysowa w przedpotopowym ubraniu. Chwyciłam za papier i ołówek, i w parę minut karykatura była gotowa a na chórze rozległy się chichoty. Zobaczył karykaturę pan Szwaja. Powiedział o tym księdzu Wolskiemu i ten mordował mnie: „Pokaż i pokaż". Powiedziałam, że mam w klasie. Poszedł ksiądz do Ciżyńskiego, wziął klucz od sali i kazał mi iść ze sobą. Wyjęłam karykaturę i podarłam w strzępy i podałam księdzu. Wściekł się i nie puścił za karę do Lutki do Kropiwnicy na Zielone Świątki. Nie dałam później żyć panu Szwaji. W internacie mieszkałyśmy w pokoju trzyosobowym. Miałyśmy na drzwiach wizytówkę: „Linka, Ludka, Lidka"

Kiedy do Świsłoczy przyjeżdżał jakiś teatr albo cyrk, wykradałyśmy się z pokoju przez lufcik. Razu pewnego ugrzęzła nam w lufciku Wera Naumówna. Weszła na to wychowawczyni. Nie pamiętam jej nazwiska. Oczywiście napadła na Werę, ale wytłumaczyłyśmy, że było jej słabo i tak do powietrza się wystawiła. Ledwośmy ją potem wyciągnęły. Przez tenże lufcik kupowałyśmy placki, które przynosiła pewna pani. A w ogóle zawsze byłyśmy głodne, tylko dlatego, że nie wszystko, co nam dawano, jadłyśmy. Ja, na przykład, nie jadłam śniadań bo nie znosiłam zapachów z kotła. Kazano mi dawać herbatę, ale kucharki robiły wszystko, aby jej nie dawać. Wtedy pani Borysowa kazała przychodzić do niej na herbatę. Nie poszłam ani razu. Nie jadłyśmy drugich śniadań, zupek z rozmiękłymi skwarkami. Miałam zajęte szczyty płuc i taka głodówka zdrowiu nie sprzyjała. Doktor Rancewicz przychodził na lekcje higieny i wstydliwie wtykał

mi butelki z syropem Famela i inne lekarstwa. Lubił młodzież i zawsze był obecny na naszych imprezach. Podobno żył źle z żoną, czy też ona z nim? Miał dwóch przystojnych synów. Przed maturą, dyrektor Wojtulewicz wezwał mnie do siebie i kazał na dwa tygodnie jechać do domu i przyjechać na samą maturę. Ważyłam wtedy 48 kilogramów i byłam zielona na twarzy.

?- Jedź - mówił - bo nam kipniesz przed maturą.

Zresztą, nic nie jadłam. Koledzy gwałtem wlewali mi pół szklanki mleka. Do domu nie pojechałam. Maturę zdałam. Nie zwolnili nas jednak do domu aż do odsłonięcia pomnika Romualda Traugutta w Świsłoczy. Na ten pomnik kwestowaliśmy w miasteczku i okolicy. Ja chodziłam z Wieśkiem Krzewskim. Żydzi dawali po 5,10 i 20 groszy. Byliśmy zmartwieni.

Spotkał nas na rynku akcyznik Jezierski. Nie jestem pewna jego nazwiska. Pytał, jak nam idzie? Kiedy dowiedział się jak, powiedział: Chodźcie, ja wam pomogę i żądał od swoich rodaków 50,30,20 złotych. Targowali się, ale połowę dać musieli. Wszyscy się dziwili, jak mogliśmy uzbierać taką sumę?"

Na tym kończę komentować dzieje Eweliny Uruskiej. Później pracowała na Polesiu, a po wojnie osiedliła się na ziemiach zachodnich. Pracowała dobrze, a wsi, w której się osiedliła, chciano nadać nazwę Ewelinów. Nie zgodziła się.

Magazyn Polski

«§9

MARIAN ROSZCZEWSKI

Zieniowce - mała, katolicka wioseczka w parafii szydłowickiej, byłym powiecie wołkowyskim, uciekła od wygodnych traktów i gościńców i zapadła w bujne białoruskie lasy. Wiosną las omiatał wieś zapachem poziomek, latem aromatem rozgrzanej na słońcu żywicy, jesienią wonią butwiejących liści i grzybów, zimą... no, zimą, z gąszczy czasem wychylały się wilki, nerwowo obiegały obejścia, węszyły w szparach niedomkniętych drzwi obór i chlewów. Wówczas wrota chat otwierały się z trzaskiem, wypadali z nich chłopcy z widłami i prządki z koczergami. Niesamowity wrzask odbijał się echem od bliskich ścian borów, wilki odskakiwały na bezpieczną odległość a później zrezygnowane gnały dalej. Prządki wracały do kądzieli i kołorwotki warczały żywiej. Teraz opowiadano niesamowite bajdy o wilkołakach.

Na skraju wsi, gdzie stała leśniczówka i krzyż drewniany z Chrystusem czepiającym się drzewa tylko jedną ręką, gdyż drugą przestrzelili bolszewicy w 1920 roku, wybiegały w cztery strony świata, cztery trawiaste dróżki w zielono-żółte pasy. Te żółte pasy - to odwieczne koleiny po jednokonnych wozach. Nigdy parokonny furgon nie skaził tych pięknych szlaków. Wszystkie te dróżki, po dwustu, trzystu metrach, wsiąkały w las. Wśród falujących łanów, obejmujących wieś łukiem od północy, kryły się dwa niewielkie, podniszczone już, kurhany. Od południa podpełzały ku wsi niewielkie, ale bujne łąki, przecięte strugą o czerwonej wodzie, zwaną Olszanką. Za nią czerwieniły się dachy folwarku Hermanowszczyzna. I jakże tu jeszcze nie wspomnieć, że nad tem wszystkiem, wiosną i latem sypał swe trele skowronek - radosna sygnaturka Pana Boga.

Właśnie w tej wsi, w schłopiałej szlacheckiej rodzinie, 23 grudnia 1923 roku, urodził się Marian Roszczewski, o którym będzie mowa. Dziadek, Bronisław, był ekonomem w Kwasówce w powiecie grodzieńskim, dobrze znanej Elizie Orzeszkowej, która napisała o tym dworze nowelkę pod tytułem *„Śmierć domu"*. Rodzice Marysia nie wnieśli w jego życie ciepła domowego. Ojciec Jan, przywiózł z Rosji (Brańsk) młodą żonę, maturzystkę - Rosjankę, która chlubiła się swoim wykształceniem, ale początkowo mówić po polsku nie umiała. Ojciec przystojny, towarzyski, zdolny, ale charakter miał trudny, nie mógł nawiązać porozumienia z żoną. Już w dzieciństwie wykazywał upór i samodzielność. Nie chciał się uczyć w szkole carskiej, więc z niej uciekł. Gdy bezradna matka Michalina, chcąc go do tego zmusić, udała się do właściciela majątku - Oznabiszyna, po radę, ten kazał go za karę związać, ale Janio się wyswobodził i uciekł boso po śniegu do stodoły. W 1905 r. ucząc się już w szkole zawodowej w Grodnie został wysłany przez kolegów do Wilna, aby u gubernatora wyjednać naukę języka polskiego w szkole. Policja dała mu kilka kijów i zawiesiła w nauce.

Jego syn Maryś był pięknym, inteligentnym i posłusznym dzieckiem. Kędzierzawe, ciemno-blond włosy, nadawały mu wygląd aniołka ze świętych obrazków. W zasadzie nigdy nie płakał, a jeśli czuł się skrzywdzony łzy lał po cichu, dla siebie. Matka nie umiała nauczyć go mowy polskiej, a ponieważ w domu rozmawiano wyłącznie po polsku, więc lgnął raczej do ojca, bo i stosunki między rodzicami nie tylko się oziębiły, ale się i zaogniły. Wobec tego długie dziecięce wieczory chłopak spędzał z ojcem na kanapie, przekomarzali się i próbowali śpiewać.

- No, to może do? - intonował ojciec.
- Może do. - podchwytywał Maryś
- To może re?
- To może mi?
- Może mi.

Była to swoista nauka, ni to mowy, ni to śpiewu, ni to wyrazu wzajemnej miłości rodzinnej.

Gdy dochodził już swoich dwóch latek, najczęściej siadywał na progu domu i chłonął widok nowego, nieznanego mu świata. Od progu, wśród jaśminów i bzów, uciekała krótka alejka, otwierająca widok na ulicę i tajemnicze podwórko, zamknięte między oborą, stodołą i wychylającym się z sadu swoimi kolumienkami, świronkiem. Ponad dachy stodoły wypinała się potężna grusza z groźnym gniazdem szerszeni. Maryś nigdy tam się nie zapuszczał, gdyż tu królował wojowniczy kogut, a ulicą przeciągał równie **bojowy baran,** tłukący swym łbem we wszystko co się ruszało.

Pamiętam niewiele szczegółów **z pierwszych** feśtdzieciństwa Marysia, które spędziliśmy razem w Zieniowcaćh. **Nasze** dtegr-i&frdiseszły. Mnie zabrano do szkoły w Rosi, a ojciec Marysia dostał posadę sekretarza gminy w Szydłowicach, skąd rozpoczął systematyczną wyprzedaż rodzinnego gniazda. Nie ostał się ani świron, ani dom, ani trzy wspaniałe dęby rosnące na dokupionej ziemi w Hermanowszczyźnie. Wszystko przeszło w ręce kuzyna Ignala Roszczewskiego.

Po powrocie ze szkoły w Rosi Roszczewskich w Szydłowicach nie zastałem. Wujek Janio został przeniesiony na równorzędne stanowisko do Swisłoczy, a ja ukończyłem szkołę powszechną i zdałem egzamin do Seminarium Nauczycielskiego w Swisłoczy. Zamieszkaliśmy więc znowu z Marysiem. On uczył się w szkole ćwiczeń, razem zabawialiśmy się wydawaniem pisemka pod tytułem *Świsłocz.* Ja pisałem atykuły, a Maryś jednym palcem przepisywał je na gminnej maszynie. Pracownicy nie przeszkadzali - „Ot smarkacz zabawia się i uczy się pisać". Pisemko miało objętość 8 stron i ukazało się tylko 2 razy.

Później znowu nasze drogi się rozeszły. Roszczewscy wyjechali najpierw do Porozowa, a później do gminy Tartak, na Suwalszczyźnie, skąd pisał:

„Kochany Wiciu! Przepraszam, że długo nie pisałem, gdyż mieszkam w Suwałkach a rodzice w Hucie Tartak. Zamieszkać tutaj musiałem, gdyż w szkole na wsi jest tylko pięć klas, a szóstej nie ma. Mieszkam u państwa Dorywalskich i płacę 50 złotych. Szkoła jest trzypiętrowa **i długa,** jak jeden budynek waszego seminarium. Przy szkole jest harcerstwo. Ja do niego należę i wkrótce będę zastępowym i pojadę na zlot do Spały. Harcerstwo tutaj nie takie, jak w Swisłoczy, czy nawet w Wołkowysku. Jest o wiele lepsze. Latem będę jeździł na kajaku, nie po takiej małej rzece jak Roś, **ale po jeziorze** Wigry, które ma 24 km^2 powierzchni. Jest wielki las, w którym Norma mało co się nie zadusiła, gdyż wpadła w pułapkę na zające i to nie po raz pierwszy. Nie było też wielkich wydarzeń. Tylko w Suwałkach na balu pobili się strasznie. Już pochowano trzy trupy, a siedmiu rannych leży w szpitalu. Na wielkim półwyspie stoi ładny kościół. Niedaleko jest stacja hydrobiologiczna i schronisko turystyczne. Tam jest też wylęgarnia ryb - największa na terenach wschodnich. Niezadługo pojadę na obóz i będę zdawał na wywiadowcę".

Przytoczyłem fragmenty listu, gdyż dobrze charakteryzują Marysia w tym wieku. List nie posiada daty, ale sądząc po wymienionych wydarzeniach był pisany w 1934 r.

W moich zbiorach zachował się jeszcze jeden list pisany z Nowosiółek, gdzie przebywał z rodzeństwem w gościnie u wuja Werbela. List datowany jest 22 sierpnia 1938 r. Przytaczam urywki, które mówią o zainteresowaniach Marysia i jego dowcipie.

„Dziękuję za list. W zamian posyłam ci całą plikę kartek od rodzeństwa, abyś jeprzeczytał i poprawił błędy, w mojej też. Skarżysz się na żołądek i że po kleiku wszystko ci się pokleiło. Najlepiej potrzymać nad parą, a wkrótce się „odetkasz". Widziałem u Wandzi twoją fotografię w kapeluszu i futrzanym kołnierzu. Słyszałem, że jesteś świetnym graczem w siatkówkę. Ja też, więc przyjeżdżaj! W Nowosiółkach my nic nie porabiamy. Czytamy książki. Mira, Renia, Zocha i ja bawimy się w „Chińczyka" i chowanego. Ja pomagałem wujkowi przy zwożeniu żyta. Pracowaliśmy od rana do wieczora. Pod wieczór spadł deszcz. Józef, spiesząc się, wywrócił całą furę zboża przed domem, ale zwieźliśmy przed deszczem połowę zboża. Niedawno przyjeżdżał do Rosi wojewoda i wujek Werbel spotykał go z medalami wojskowymi i medalem wójta na szyi, a Zocha z kwiatami. Wojewoda był obecny przy poświęceniu rzeźni i kamienia węgielnego pod budowę szkoły. Ciekaw jestem, czy nauczysz się w Wiśniowcu po ukraińsku? W cementowni byłem na teatrze ukraińskim, ale nic nie rozumiałem... Przepraszam, że tak nabazgrałem. Jeśli napiszę kaligraficznie, to pomyślisz, żem dzieciak, przepisujący ćwiczenia ortograficzne. Posyłam ci list z Ligi Morskiej i Kolonialnej. Ciekawą i w ładnej oprawie otrzymałeś nagrodę książkową".

Roszczewscy przenoszą się do Szczuczyna, gdzie ojciec zajmuje podobne stanowisko, jak w Hucie Tartak. Ale jest to już rok 1938, czyli rok przed wojną. Maryś kończy gimnazjum w Suwałkach i ma już 18 lat. Wyjeżdża do Wilna, aby się uczyć się w Liceum Technicznym. Zastaje go tam pamiętna data 17 września 1939 rok. Wyrusza pieszo do Suwałk i po paru tygodniach włóczęgi i skrywaniu się, wynędzniały i obdarty, dostaje się do Szczuczyna. Ojciec ucieka do pracy w gorzelni, a matka znająca dobrze język rosyjski, dostaje pracę w służbie meteorologicznej na lotnisku i korzystając z tego, że granicy między Suwałkami a Rosją już nie ma, wyjeżdża w 1941 roku w odwiedziny do Brańska. Inwazja niemiecka odcina ją od dzieci.

Po paru miesiącach przychodzi do nas niespodziewany list od Marysia. Jest wywieziony na przymusowe roboty do Rzeszy. Podaje adres: Taucha bei Leipzig. Betriebslager der Mitteldeutschen MotorienwerkeGmbh.

„Cały tydzień pracuję - pisze w jednym z listów, których osiem zachowało się u mnie - od godziny 6 do 18. Pół godziny drogi do „werku", trochę się zje i tak schodzi do godziny 19. O godzinie 21 trzeba iść spać, aby się wyspać do godziny 5. Pozostaje więc dwie godziny wolnego czasu. U nas w „sztubie" są dwie klasy ludzi. Jedni, to ci, którzy otrzymują coś z domu. Ci weseli, zadowoleni. Drudzy - to ci, co dostają tylko od władzy. Najgorsi są ci, co grają w „oko". Oni są beznadziejni i nic absolutnie nie mają, prócz podartego „Anzugu" do roboty. Jednemu przyśniły się Żydówki. Wyjaśnili mu, że przyśnić Żydówki - to murowane pie-

niądze. Ten temu uwierzył i przegrał ostatni garnitur i pieniądze. Czasem, gdy się temu przypatruję, to takie to jest zabawne, jak to ci szulerzy oszukują głupców".

„Zrobiłem niechcący 20 braków i muszę pokutować cały tydzień, pracować dodatkowo po dwie godziny dziennie przy zamiataniu hali, czyli 12 godzin plus 2 godziny „sztrafu", czyli czternaście godzin pracy dziennie. Głupstwo. Przetrzymam".

„Przerwałem niespodziewanie korespondencje ze wszystkimi. Posadzili mnie znowu do obozu karnego. Przestępcą wielkim jestem, bandytą, że tak mnie męczą. Ledwie odpocząłem po tamtym więzieniu i znowu wpadłem. Tym razem sam nie wiem, za co siedziałem. Szedłem ulicą a tu policja mnie za frak i do komisariatu. Nie dali się tłumaczyć i posłali do obozu karnego. Przesiedziałem tam trzy miesiące. Ciężki to był obóz. Głód, zimno, bardzo ciężka praca, brak snu, bicie itp. Wróciłem wycieńczony. Szczęściem, zdrowia nie straciłem. Ale to już minęło. Wrócę do starej normy, zwłaszcza, że mam niezły apetyt i pochłaniam kilogramy chleba. W łagrze nabyłem jednej wady - nauczyłem się palić. Nie mogłem inaczej, gdyż palenie uspokajało moje naprężone nerwy i częściowo zaspokajało jedzenie".

„Wiem już, za co mnie przygoda spotkała - pisał w jednym z dalszych listów. - O wrażeniach mógłbym opowiadać, gdy kiedyś zasiądziemy przy kominku. Są to wrażenia, które po sobie pozostawiają znaki na całe życie. Wróciłem i czuję się dobrze. Nie powiedziałbym, że zupełnie, gdyż przejdzie rok a będę jeszcze odczuwał skutki i na całe życie pozostanie jakiś ślad. Ale ręce i nogi mam na swoim miejscu".

Korespondencja się bezpowrotnie urwała. Niemcy odeszli, nasze tereny rodzinne zajęły wojska radzieckie.

W samodziałowym ubraniu wychudzony, z kromką chleba owiniętą w toaletowy papier, stanął przed gankiem naszego domu w Rosi - Maryś. Była jesień 1944 roku. Opowiadał, że z przymusowych robót w Niemczech uciekł przy pomocy dalszej rodziny. Teraz szukał schronienia, gdyż dom jego już nie istniał. Ojciec znowu się gdzieś schował, zupełnie o rodzinę nie dbając. Matka siedziała jeszcze w Brańsku, siostra, osiemnastoletnia Renia była w partyzantce, czternastoletni Rysiek wstąpił jako syn pułku do Wojska Polskiego i później na czołgu wjechał do Berlina. Wobec czego i Maryś wstąpił do nowogródzkiej partyzantki, którą Sowieci rozbroili i wywieźli na wschód. To właśnie on z kromką chleba w ręku uciekł z transportu na wschód. Zaprowadziłem go do kuzynów w Hermanowszczyźnie. Tu Maryś przetrwał resztę lata i zimę, ukrywając się przed branką do sowieckiego wojska. Ukrywał się cały czas w chlewie, zakopany po uszy w słomie.

Późną wiosną 1945 roku do Hermanowszczyzny niespodziewanie wkroczyła polska partyzantka. Powstała w lutym 1945 roku na terenach północno-wschodniej części powiatu wołkowyskiego, ale po kilku sukcesach została rozbita przez NKWD. Odrodziła się po paru miesiącach, zmieniając kryptonim „Żagiew"

na „Redutę". W maju 1945 roku oddział „Reduta" liczący 47 osób, rozpoczął działalność zbrojną w gminach Krzemieńca i Piaski. To ona zjawiła się w Hermanowszczyźnie. Maryś nie miał wyboru i do niej dołączył. Przybrał pseudonim „Tur".

Pod Świecką Wielką udało się partyzantce wyrwać z okrążenia, ale już a&* stępnego dnia, to jest 2 lipca 1945 roku, oddział znowu został wykryty przez NKWD pod Porozowem przy osadzie Przybłudzicze.

W wyniku walki oddział został rozproszony. Zginęli dowódca oddziału »Oc~ don", szef sztabu „Ultar", a także kilku partyzantów. Paru żołnierzy AK zostało schwytanych przez NKWD. Reszta przeszła przez linię Curzona lub wróciła do miejsca swego zamieszkania.

W parę dni później zjawił się w Hermanowszczyźnie Sawko, kolega Marysia, któremu udało się wyjść z okrążenia po to, aby kryjąc się przez parę miesięcy znaleźć śmierć w lasach Zubowskich, koło Werejek. Znaleziono go zamarzniętego pod sosną. On to spędził z Marysiem ostatnie chwile pod Przybłudziczami.

„Cofaliśmy się z Marysiem z okrążenia. - opowiadał - Czołgaliśmy się niewysokim o tej porze zbożem, ubezpieczając się wzajemnie i odskakując co 50 metrów. Nagle wybuch granatu i wszystko ucichło. Podczołgałem się do przodu. W kałuży krwi leżał nieprzytomny Maryś. Granat rozpruł mu brzuch, a wnętrzności wypływały mu prawym bokiem. Odzyskał na chwilę przytomność, poznał mnie i chwycił za moją rękę.

- Jadziunia! - jęknął i była to ostatnia jego tajemnica.

Ręka trafiła na leżący obok rewolwer. Strzał. Dobił się".

Było po wszyskiem. Nad bitewne pole nadleciał niepotrzebnie skowronek i zaćwierkał. Na drodze, tuż przy zbożu rozległ się tupot nóg maszerujących zwycięzców i ich śpiew.

„Ja drugoj takoj strany nie znaju,
Gdzie tak wolno dyszet czełowiek".

Goniec Kresowy nr 34/2001

23

WITOLD WERBEL

Kaplic Su Sitfaiftr^ na cmentarzu IftM/C-kim*

Rodzinę Werbelów uważano za szlachtę. Siedzieli w zaścianku przycupniętym przy lasku zwanym Niewiarówka, rozdzielającym wsie Zieniowce, Piczyce i folwark Hermanowszczyznę, leżące w parafii Szydłowice, byłym powiecie wołkowyskim. O lesie tym inwentarz z 1621 roku, znajdujący się w Archiwum Akt Głównych w Warszawie, pisze następująco:

„Od tego sioła Ignatowskiego, w odległości ćwierć mili, gaik Niewiarówka, grabem zasiemiony, około którego gaju kopce ograniczone, z którego gaju drzewo na młyn, obręcze i inne potrzeby do dworu brali".

Pierwszą wzmiankę o Niewiarówce, jako osadzie, odnalazłem pod rokiem 1709, gdzie wspomniano, że~do pilnowania lasu o tejże nazwie, osadzony został : preez Sapiehę, ówczesnego właściciela Rosi, przy tymże lesie na jednej włóce ziemi, Walenty Werbel. Jako wynagrodzenie za pilnowanie lasu zwolniony został od pańszczyzny, ale opłacał pewien czynsz i tak na przykład, w 1712 roku obowiązany był dawać do dworu w Rosi, rocznie: 20 złotych, beczkę żyta, beczkę owsa, jednego kapłona, jedną gęś, kur dwoje i jajec dwadzieścia. W kilka lat później o potomku tegoż Werbela, zdenerwowany rządca dóbr reskich, pisał do swego pana w Boćkach - „Za tego hultaja, Werbela, musiałem swoich założyć 8 złotych 20 groszy".

Widzimy więc, że Werbelowie ze szlachty nie pochodzili, chociaż mieszkali w zaścianku, mieli dworek kryty gontem z gankiem na 2 słupach, który w czasach międzywojennych krył się w przetrzebionym i zamierającym sadzie i mówili w domu po polsku.

Już przed pierwszą wojną światową w zaścianku robiło się ciasno. Paru Werbelów wyfrunęło w świat. Jeden z nich, Michał, osiadł w majątku Roś, gdzie pracował jako felczer u hr. Stefana Potockiego. Tutaj się ożenił z Heleną Kreczko i mieli trójkę dzieci. Wśród nich był Witold, o którym chcę właśnie pisać.

Urodził się w tymże miasteczku 22 października 1899 roku. Tutaj rósł, uczył się i oczywiście dostał od nauczyciela, Litwinowicza, linijką „w łapę", bo jakże mogło być inaczej w carskiej szkole za niezbyt dobrze opanowany język rosyjski.

- Pasmatry, Wicia, kałakolili w cerkow? (Zobacz, Wiciu, czy już dzwonili do cerkwi?)

Dumny z tak ważnej funkcji, uradowany Witold zameldował:

- Nie aszcze. (Jeszcze nie.)

- Ach! Tak ty uż naczał gawarić pa sławianski? - i linijka poszła w ruch.

Trafiały się jednak Witoldowi i figle. Żył jeszcze w Rosi i jej właściciel, 80-letni hr. Stefan Potocki, człowiek mądry i gospodarny, ale dziwak, który miał zwyczaj „do poduszki" czytać książki. Do tego brał chłopaków, płacąc im od ilości przeczytanych stron. Gdy zasypiał, czytać przestawali, ale gdy się budził, byli na posterunku i udawali czytanie, przesuwając ilość kartek stosownie do długości snu. Hrabia płacił.

Witold Werbel szkołę początkową ukończył w Wołkowysku. W 1910 roku wstąpił do Odeskiej Szkoły Morskiej, którą ukończył z dyplomem mechanika okrętowego. Od maja 1913 roku pracował w fabryce w Odessie przy budowie i remoncie maszyn jako mechanik praktykant.

W 1914 roku powołany został do armii rosyjskiej i odkomenderowany do wileńskiej Szkoły Wojskowej, którą ukończył w stopniu chorążego następnie odkomenderowano go do Irkucka. Pełnił tam funkcje dowódcze, od dowódcy

plutonu do dowódcy batalionu. W 1916 roku awansowany na podporucznika a w 1917 na podkapitana. Należał do Związku Wojskowych Polaków. 13 listopada tegoż roku został aresztowany przez bolszewików i osadzony w więzieniu w Łucku, staraniem Związku Wojskowego Polaków został zwolniony i wcielony do formacji polskich w Równem, a później przeniesiony do Korpusu gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego w Bobrujsku, w której to kompanii walczył do rozwiązania tego Korpusu. Tenże generał opiniował go jako oficera bardzo dobrego, pilnego i chętnego do pracy.

W 1919 roku przedostał się do Warszawy, gdzie w marcu został przyjęty do Wojska Polskiego. Tu, po weryfikacji, otrzymał stopień porucznika i wysłano go na kilkumiesięczny kurs wojsk kolejowych w Krakowie. W styczniu 1920 roku udał się na front. We wniosku na odznaczenie Krzyżem Walecznych czytamy: „Porucznik Witold Werbel dowódca 8 kompanii wojsk kolejowych, w połowie lipca 1920 r., kiedy nieprzyjaciel zbliżał się do stacji kolejowej Baranowicze, pełnił z kompanią służbę ruchu na kolejce wąskotorowej Leśna-Ostrów-Krzywoszyn, obsługując operującą na tym terenie 14 DP. W dniu 16.7.1920 roku, na stacji Myszanka (linia kolejowa Baranowicze-Brześć) został przerwany przez olbrzymią katastrofę ruch kolejowy. Porucznik Werbel śpieszy z połową kompanii z pomocą, usuwa zniszczone przez katastrofę wagony, oczyszcza oba tory i dzięki jego silnej woli i energii, katastrofa w ciągu kilku godzin została usunięta, co przyczyniło się do ewakuacji mienia państwowego ze stacji Baranowicze.

Dnia 19.7.1920 roku porucznik Werbel bierze udział z całą swoją kompanią przy oczyszczaniu toru kolejowego pod Domanowem a w końcu lipca 1920 roku wywiązuje się chlubnie z ewakuacji Tewle i Żabinka".

Przełożeni dostrzegli i inne dodatnie jego cechy: „oficer o charakterze wyrobionym, zrównoważonym. Dba o żołnierza i wnika w jego całodzienne życie. W stosunku do swoich przełożonych zdyscyplinowany, wobec kolegów taktowny i szczery. Ogólnie lubiany. Na trudy wytrzymały. Postawa żołnierska dobra. Orientuje się dobrze w każdej sytuacji. Zdolności organizacyjne wykazał w dużym stopniu na stanowisku dowódcy kompanii. Posiada spore doświadczenie po przejściu kursu. Odpowiada wszelkim wymogom oficera wojsk kolejowych. Nadaje się na dowódcę kompanii w stopniu dobrym".

W 1922 roku został zwolniony do rezerwy. W następnym roku mianowany kapitanem.

Wrócił do Rosi i zamieszkał przy matce. Dostał działkę wojskową o obszarze 12 ha z rozparcelowanego folwarku Nowosiółki, o dwa kilometry od Rosi. Przydzielona ziemia leżała na skłonie pagórka, z widokiem na las Barszczewo, na tym samym pagórku, skąd w 1920 roku brawurowym atakiem wyrwała się z okrążenia Dywizja Litewsko-Białoruska.

Początki były trudne, gdyż działkę przydzielono pod warunkiem, że ją się zabuduje w przeciągu trzech lat, ale obiecujące. Ożenił się z Zofią z Roszczewskich, urodzoną w Zieniowcach, wsi odległej o 2 km od Niewiarówki, ale już

stałej mieszkanki Warszawy, gdzie pracowała jako położna, ciesząc się wzięciem u magnatów, którzy ją wzajemnie polecali i dobrze wynagradzali. Była więc w stanie pomagać finansowo mężowi a nawet dokupić 15 ha ziemi z parcelowanego folwarku Anetpol, leżącego w pobliżu Nowosiółek.

W gminie Roś przeważali prawosławni, czyli Białorusini, ale wójtem w 1924 r. wybrali Werbela. Siedziba gminy była pięknym miasteczkiem: kościół, cerkiew, synagoga, fabryka cementu, kopalnia kredy, rujnujący się pałac Potockich, stacja kolejowa, siedziba Ordynacji Roskiej, tartak i... historia. Dawna własność Chodkiewiczów, Rakowskich, Hlebowiczów, Ogińskich, Sapiehów, Branickich i Potockich, a cudowna figura Pana Jezusa ściągała w dni odpustowe tłumy wiernych, którzy z braku pomieszczeń nocowali w okolicznych lasach.

Witold Werbel na stanowisku wójta pracował przez kilka kadencji. Szczególnie dbał o oświatę, drogi, rolnictwo i estetykę miasteczka. Wybudował dwie szkoły, w Dziąciołowiczach i Rosi, magazyn zbożowy, w większości wsi wybrukował ulice, zainicjował budowę mleczarni w Rosi, która w okresie międzywojennym rozwijała się świetnie. Na połowie olbrzymiego rynku założył park, kandydował na senatora Rzeczpospolitej, ale przegrał z Kazimierzem Bispingiem, właścicielem majątku Strubnica. Był zrównoważony i tolerancyjny. O partiach politycznych mówił z przekąsem „heta tają samaja świta, tolko inaczej uszyta". Sekretarz gminy, Wiktor Rygorowicz, charakteryzował go następująco:

„Po przyjeździe moim do Rosi, pan Werbel odniósł się do mnie życzliwie i w pierwszej rozmowie ustaliliśmy, że nie będziemy się mieszać wzajemnie do należących do nas obowiązków, to jest, co należało do zadań wójta, wykona on, a co do zadań sekretarza, wykonam ja. Tak też i było w rzeczywistości. Pan Werbel na stanowisku wójta pracował już kilka kadencji z dobrym wynikiem. Okazał się dobrym gospodarzem gminy. Pod bokiem była cementownia, która dawała gminie znaczne dochody z podatków i mogliśmy brać na rachunek cement. Pan Werbel tego nie czynił i w rozmowie z nami twierdził, że chodników na razie w Rosi nie zbuduje, gdyż potrzebuje pilnie budować szkoły. Pełną parą brukowano ulice we wsiach gminy i dużo w tej dziedzinie zrobiono, a w Rosi budowano szkołę. Na ogół charakter p. Werbela był spokojny i zrównoważony. Nigdy się też nie unosił nerwowo".

W liście do mnie Rygorowicz pisał. „Pan pamięta, że gabinet wójta mieścił się w ciasnym pokoiku, w którym stało małe biurko i kasa ogniotrwała. Pokoik miał jedno okno. Otóż podobno za rządów cara była tu tak zwana „sowieszczatielnaja". Odbywały się tam gminne sądy i w tym pokoiku sędzia i ławnicy naradzali się z sobą, jaki wydać wyrok w sprawie. Rozpatrywano drobne sprawy, różne kłótnie i zatargi. W tym czasie chlali wódkę. W pokoju tym, podczas sądu było otwarte okno, przez które po kryjomu podawano wódkę ławnikom. Po prostu, chyłkiem na czworakach, przy ścianie, ta czy inna strona czołgała się do tego okienka i podawała ławnikom wódkę, bez żadnych próśb i błagań o łagodny wyrok".

W sierpniu 1939 roku Witold Werbel został zmobilizowany i skierowany do Grodna, gdzie podobno kierował budową wałów. Żona z córką dwukrotnie go tam odwiedziły. Później skierowano go do Brześcia i po drodze zanocował w Nowosiółkach. W Brześciu dostał się do niewoli sowieckiej i słuch o nim zaginął.

Żona z dwoma pomocnikami i służącą została na osadzie i przejęła kierowanie gospodarką a 12-letnią córkę oddała cioci Skowronowej, do Cementowni, gdzie zaczęła uczęszczać do 5 klasy szkoły powszechnej. Wszyscy osadnicy, oprócz tych, którzy byli zdolni do noszenia broni pozostali na miejscu. Patronował im dębowy, sękaty krzyż ustawiony na brzegu gościńca, na wzgórku w dziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości i tuż przy wjeździe do byłego folwarku Nowosiółki kurhan z głazem i trudno czytelnym napisem, prawdopodobnie pamiątka z wojen napoleońskich. Trzeba zaznaczyć, że wszyscy osadnicy w sile wieku należeli do formacji wojskowej „Krakus", podległej 3 Pułkowi Strzelców Konnych w Wołkowysku. W każdą niedzielę mieli ćwiczenia wojskowe w pełnym umundurowaniu, uzbrojeniu i na koniachs^tsM

17 września 1939 roku zgasił marzenia o szybkim zakończeniu wojny, ale osadnicy trwali. Nie przetrwali jednak 10 lutego 1940 r. Nastąpił wywóz na „nieludzką ziemię". Nie ominęło to i Werbelowej. Córki w domu nie było i była okazja, by Zocha pozostała w cementowni, ale serce matczyne nie mogło się rozstać z jedynaczką i obie znalazły się pod Archangielskiem, w rejonie Plesieck, 24 kwartał, Małe Izby, oczywiście w lesie. Temat nie pozwala tutaj opisywać ich losów. Podobne są do losu innych zesłańców, ale o paru faktach nie sposób przemilczeć.

Na mocy umowy Sikorski - Stalin opuściły Małe Izby i wyruszyły do Kazachstanu. Podróż była straszna, o czym świadczy choćby tragedia rodziny Karpyzów z Andruszów, jadących w tym samym kierunku i tym samym transportem. Z ośmioosobowej rodziny Stanisława Karpyzy nie dojechało sześć osób i ciała wyrzucano na poszczególnych stacjach. Ocalała tylko żona Stanisława, Zofia, która później wstąpiła do Pomocniczej Służby Kobiet a najstarszy syn, Józef, dostał się do wojska koło Buchary.

Werbelowa z córką ocalały. Podtrzymywał je na duchu list ojca, który dostały jeszcze przy wyjeździe z Nowosiółek, że ojciec żyje i jest w Kozielsku i kiedyś się o nich upomni. Ale jeszcze jeden uderzył grom. Matka nie chciała podpisać dokumentu, że jest Białorusinką i przyjąć obywatelstwa radzieckiego, została skazana na dwa lata więzienia. Córka, nie mająca jeszcze 16 lat, pozostała sama. Po powrocie z więzienia, przeżyły jeszcze parę lat goryczy, wróciły do Polski i osiedliły się na Ziemiach Zachodnich w Witnicy koło Gorzowa Wielkopolskiego.

Tutaj się dowiedziały, że kapitan Witold Werbel zginął w Katyniu.

ADAMKÓW

Adamków, majątek Bychowców, leżący w dawnym powiecie wołkowyskim, półtora kilometra na południowy wschód od Łyskowa, a czterdzieści kilometrów na południowy wschód od Wołkowyska. Dziś wchłonięty przez kołchozowe pola i zachowany tylko w pamięci „dinozaurów" kresowych.

To tutaj do 1939 roku przechowywany był rękopis *„Spis podymnego powiatu wołkowyskiego"* w 1960 roku opracowany i wydany przez Stefana Krakowskiego z Uniwersytetu Wileńskiego.

Pod rokiem 1840 majątek ten występuje pod nazwą Adamków, a jego właścicielem był Adam Bychowiec.

Późniejsze trochę czasy wspomina Cecylia Ciszewska.

„W Mogilowcach często bywał Adam Bychowiec z Adamkowa, krewny Dziekońskich, prawnik, był pieczeniarzem, praktykę odbywał w Grodnie. Siedział zawsze albo w Mogilowcach albo w Wierdomiczach. Był inteligentny i zabawny, ale beznadziejnie opuszczony, zawsze wisiało coś niedopiętego. Był synem Zdzisława i zdaje się Oraczewskiej. Pan Zdzisław rodził się z Jelskiej. Miał brata Leona i dwie siostry. Ich majątek rodowy nazywał się Pierdzielsk. Gdy panny zaczęły dorastać, przemianowano go na Przedzielsk. Znalazł się więc jakiś oficer rosyjski i z Bychowcówną się ożenił, ale na tym nie koniec. Przemianowano więc majątek na Joalin. Chłopi jednak nowej nazwy nie uznali. Drugi majątek, odległy o 10 kilometrów od Mogilowic (Adamków) dostał Leon Bychowiec, najnudniejszy pod słońcem człowiek. Miał oryginalny sposób jąkania się. Ostatnie słowo w zdaniu powtarzał dwa razy, a tego ostatniego słowa w zdaniu znowu dwa razy, na przykład „Panno Cesiu, Cesiu, Siu". Starszy pan Zdzisław zawsze miał w ustach niedopalony kawałek cygara. Nie wiadomo kto palił początek. Pan Leon prawie każdego dnia był na kolacji w Mogilowcach, a że nudny, więc gospodyni - „Postukaj sobie w bilard" albo „Już dziewiąta, czas zakładać konie, pora już spać".

Ostatnimi właścicielami Adamkowa byli Anna i inżynier Leon Bychowcowie, herbu Mogiła. Za siedzibę służył im parterowy, neoklasycystyczny dwór o planie prostokąta, pochodzący z XIX wieku, z portykiem o 4 masywnych kolumnach. Prawdopodobnie nie zachowało się w nim cenniejszych przedmiotów, gdyż jak widać na fotografii już podczas pierwszej wojny światowej stacjonowali tam Niemcy.

„Jeśli chodzi o nazwisko - pisze do mnie pan Katarkiewicz - to nie jest mi obce nazwisko Bychowca, gdyż jego grunta graniczyły z gruntami miasteczka Nowy Dwór, do których zresztą rościł pretensje a nawet procesował się. Chodziło o obszary błot, których właścicielem było miasteczko. Podczas sianokosów chętni z innych miejscowości mogli wynająć różnych wielkości działki, gdzie kosili siano, robili stogi, a siano zabierali dopiero zimą, kiedy błota zamarzały.

Ale Bychowiec nie był źle wspominany, a raczej z sympatią, chociażby dlatego, że po błotach chodził w łozowych czyli lipowych łapciach i z ludnością biegle rozmawiał po białorusku".

Nauczycielstwo gminy Łysków bardzo pięknie współpracowało z ziemiaństwem. Rej wodziła pani Anna Bychowcowa, żona Leona. Mąż jej, nie miał żyłki społecznej. Ciągle procesował się o „miedzę", o to, że koń czy krowa wpadła w posiadłości Bychowca i narobiły szkody. Gdy przyszli i objęli władzę Sowieci, aresztowali go, wywieźli do więzienia w Wołkowysku, a następnie wywieźli do Rosji, gdzie zginął bez wieści".

s Wiadomość tę potwierdzają inne źródła. Lista strat ziemiaństwa podaje: „Bychowiec Leon, urodzony w 1876 roku, syn Zdzisława, inżynier, ziemianin, z gminy Łysków, powiatu wołkowyskiego, województwa białostockiego.

Aresztowany przez NKWD we wrześniu 1939 roku. Prawdopodobnie przebywał w więzieniu w Wołkowysku do marca 1940 roku. Później prawdopodobnie wywieziony na Syberię. Zaginął bez wieści".

Trochę wieści o Bychowcach z Adamkowa jest w liście do mnie Waleriana Wysockiego, mieszkającego dawniej w Chwałowie, niedalekim sąsiedztwie Adamkowa. A oto fragment tego listu:

„O Adamkowie wiem niewiele. Ostatnim właścicielem tego majątku był Leon Bychowiec. Zdaje się, że był to człowiek bezdzietny. Jego prawą ręką w zarządzaniu majątkiem był jakiś krewny, Donat Bychowiec, którego znałem dobrze, gdyż byliśmy razem na dalekiej północy. Był następnie w armii generała Andersa. Wspomniany wyżej Leon Bychowiec procesował się kilkanaście lat o zwrot majątków Zelzin i Józefpol, które zostały skonfiskowane przez władze carskie i następnie za bezcen sprzedane Rosjaninowi, Wiktorowi Iwanowowi. Były to duże majątki ziemskie".

W innym liście otrzymałem uzupełnienie.

„Dziękuję również za dodatkowe, zawarte w liście wzmianki o majątku Adamków i rodzinie Bychowców. Leon Bychowiec i jego żona Anna o ile mi wiadomo byli bezdzietni. Mieszkał z nimi i pomagał w prowadzeniu majątku Donat Bychowiec, wysoki, szczupły, przystojny blondyn, rocznik około 1910. Widywałem go kilkakrotnie jeżdżącego na białym, pięknym wierzchowcu, na którym przyjeżdżał również do Józefpola. Po 10 lutego 1940 roku, tenże Donat Bychowiec tak jak i ja oraz moi rodzice i rodzeństwo przebywaliśmy w Somoziero w Archangielskiej obłasti. Tam go często spotykałem. Wtedy był już żonaty z Janiną z Wilkowskich. Mieli córeczkę malutką. Razem z nimi były: siostra Janiny, Irena (starsza panna) i ich matka. Wilkowscy byli wywiezieni chyba z okolic Izabelina. Donat był bardzo zaprzyjaźniony z moim starszym bratem Antonim. Później obaj byli w Korpusie generała Władysława Andersa. Obaj mieli stopnie oficerskie. O Donacie Bychowcu pamiętam jako o bardzo przyzwoitym, dobrym człowieku i patriocie. Niestety, nie wiem jakim był krewnym Leona Bychowca. Miał wspaniały głos (tenor), który zaprezentował na zebraniu w baraku, we wrześniu lub w końcu sierpnia 1941r., zwołanym przez komendanta miejscowego posterunku NKWD, z udziałem przedstawiciela przybyłego z Archangielska. Przedmiotem zebrania Polaków było poinformowanie nas o treści umowy Sikorski-Majski z dnia 30 lipca 1941 r., zawartej w Londynie. Po ogłoszeniu tej wiadomości, wszyscy spontanicznie zaśpiewali „Rotę" Marii Konopnickiej. Śpiew Donata wybijał się ponad wszystkie głosy. Było to wzruszające".

Anna Bychowiec, żona Leona, przetrwała drugą wojnę światową. W odróżnieniu od męża, zapalona działaczka społeczna na terenie Łyskowa. W czasie okupacji niemieckiej zahaczyła się w Rosi, zatrudniając się w mleczarni, gdzie prowadziła sklepik ze sprzedażą chudego mleka (odtłuszczonego w mleczarni) i takiegoż twarogu. Pracę miała ciężką i niewdzięczną, przynoszącą deficyt, ale znosiła to z pogodą ducha, bo chodziło o przetrwanie. Zawsze była pogodna,

uczynna i kulturalna. Miała w Wołkowysku zaprzyjaźnioną rodzinę, u której przechowywała część swojej biblioteki. I ja często korzystałem z tego księgozbioru. Tam po raz pierwszy zetknąłem się ze wspomnianym wyżej opracowaniem *Spisem podymnego powiatu wołkowyskiego z 1690 roku* oraz z herbarzem Bonieckiego.

W 1944 roku Anna Bychowiec wyjechała na Zachód. Po latach okazało się, jak pisał do mnie Pajkowski, przeżyła wojnę. Spotkano ją we Wrocławiu. Ponieważ ukończyła studia rosyjskie wstąpiła w szeregi nauczycielskie i była bardzo dobrą nauczycielką języka rosyjskiego.

,jV | *;•»*»

Goniec Kresowy

-, H^KJNI n '

Źródła:

1. S. Krakowski, Wykaz podatku podymnego powiatu wołkowyskiego 1960. Wilno 1939.
2. Archiwum Państwowe w Grodnie, fond 96, dzieło 1285. Inwentarz.
3. C. Ciszewska, Gawęda o tym co było. Maszynopis w Bibliotece Narodowej w Warszawie, sygn.HI. 105617.
4. R. Aftanazy, Dzieje rezydencji, na dawnych kresach Rzeczypospolitej. Tom 2, s. 183.
5. List Jana Katarkiewicza z dnia 18.10.1983, w zbiorach autora.
6. List Pajkowskiego w zbiorach autora.
7. K. Jasiewicz, Lista strat ziemiaństwa polskiego 1939-1956. Tom 1, s. **136.**
8. List W. Wysockiego z dnia 2IV 1997 r. w zbiorach autora.
9. List W. Wysockiego z dnia 22IX 1997 r. w zbiorach autora.

-; •• s.s

ANDRUSZE

Andrusze, to malutka wioseczka i użyję zwrotu Tuwima, nie warta jest poematu, natomiast w konsekwencji zdarzeń stała się główną przyczyną dramatu. Lecz o tym później.

Wieś katolicka, mała, o 104 hektarach ziemi nadziałowej tyleż zakupionej z sąsiedniego, parcelowanego majątku, Olchowo. W połowie XVI wieku siedzieli tutaj „Jurya a Wieczłowa Andruszewicze" i być może nazwa tej wsi stąd się wywodzi. Później nieco, ale jeszcze w XVI wieku, stanowiła jedną z bojarskich enklaw, które niczym dziury sera holenderskiego pstrzyły rozległą, ruską posiadłość Chodkiewiczów, nadaną przez Wielkiego Księcia Litewskiego, Aleksandra Jagiellończyka. Siedzieli tu wówczas bojarzy Iwaszkiewiczowie. W 1690 roku Andrusze należały jeszcze do Iwaszkiewiczów do Jerzego, by w XVIII wieku znaleźć się w rękach Józefa Kalenkiewicza, właściciela Zancewicz, Słowików i Krasnego Grudu, który dnia 8 sierpnia 1762 roku, zebrawszy poddanych z Zancewicz, Słowików, Krasnego Gradu i Andruszów zorganizował zajazd na majątek Gzowskich-Tereszki, wypędzając z niego właścicieli i okupując majątek przez trzy lata. Nie wspominałbym o tym, gdyby nie fakt, że w zajeździe tym brał udział niejaki Karpyza, co dla autora noszącego takie samo nazwisko i poszukującego swoich korzeni, stanowi gratkę. Nie udało mi się ustalić, czy ów Karpyza, pochodził z Zancewicz czy też z Andruszów.

Dalsze poszukiwania ustaliły, że w 1845 roku Andrusze posiadały 8 uczątków ziemi, na których siedziało 7 rodzin Bołdaków i jedna rodzina Karpyzów.

Oliwy do ognia dolała p. Miłosława Rewińska pisząc do mnie w liście:

„We wsi Andrusze wszyscy nosili nazwisko Bołdaki, z wyjątkiem dwu rodzin o nazwisku Karpyza. Byli to dwaj bracia: Stanisław i Kazimierz. Jeśli chodzi o pochodzenie tej rodziny, to słyszałam od dziadka Bołdaka, który miał 100 lat już wtedy, gdy w 1936 roku organizowałam szkołę w Bobłowie, a Andrusze wchodziły w rejon tej szkoły, że pradziad Karpyzów, za czasów

pańszczyzny, został wymieniony na psa. Nie podał kto go wymienił, ani też dokładniejszej daty. Musiało się to odbyć przed 1845 rokiem, gdyż według inwentarza Andruszów, rodzina Karpyzów już tam mieszkała". Rewińska zastrzega się, że nie wie ile jest w tym prawdy, chociaż mieszkańcy innych wiosek opowiadali to samo.

„Pierwszy brat - cytuje Rewińska - mieszkał pod lasem, zwanym Bobłowską Dąbrową i miał chyba pięcioro, czy też sześcioro dzieci, ale jeszcze żadne z nich do szkoły nie chodziło. Była to rodzina, w odróżnieniu od Kazimierza, biedna, co jest zgodne z porzekadłem: Kiedy **chłopa** ciśnie bieda, rodzi mu się dziecko".

„Dzieci latem i zimą biegały boso w koszulkach podpasanych krajkami. Drugi z braci mieszkał również na tak zwanej kolonii **lub,** mówiąc dzisiejszym językiem, na wybudowaniu. Ten nie miał dzieci. Ziemię na budowę otrzymał jako osadnik wojskowy. Mieszkał w pobliżu wsi Andrusze. Kiedy w 1940 roku, w lutym, nocą zabierano wyznaczonych do wywózki, zabrano rodzinę z tymi drobnymi dziećmi. Ubranie dla nich zebrano w Bobłowie. O dalszych losach tej rodziny słyszałam taką wersję. Kiedy transport odszedł i był daleko, władze doszły do wniosku, że wywieźli, zamiast osadnika wojskowego, jego brata, ale już tak musiało zostać. Nikt nie chciał przyznać się do pomyłki. Jeśli chodzi o tych wywiezionych, to na wiosnę 1941 roku słyszałam, że piszą listy z głębi Rosji. Proszą o przysłanie cebuli i czosnku. Mieszkają z rodziną w tajdze, gdzie pracują przy wyrębie lasu. Brat Kazimierz mieszkał spokojnie w Andruszach do 1944 roku a o dalszych jego losach nie mam wiadomości, gdyż wyjechałam do Polski".

Jeszcze jedna wiadomość dotarła do mnie od pana Pożarskiego, osadnika z Zytorodzi, który na nieludzkiej ziemi, w rejonie Plesieck za Archangielskiem, 24 kwartał, Małe Izby (w lesie) do 1942 roku mieszkał wraz z Karpyzami w jednym baraku. Ich rodzina składała się wówczas z ośmiu osób: Zofii i Stanisława Karpyzów zamieszkałych do 1940 roku w Andruszach oraz sześciorga dzieci: Najstarsza Stanisława, synowie Józef i Kazimierz, a imion pozostałej trójki nie pamiętał. Na początku 1942 roku, w związku z organizacją armii generała Sikorskiego na terenie Kazachstanu, zezwolono Polakom wyjechać w kierunku Taszkientu, Samarkandy i Buchary.

W pierwszym okresie podróżowali w jednym wagonie z Karpyzami.

Podróż była długa i straszna (głód, tyfus, dyzenteria, szkorbut i inne choroby). Na trasie Swierdłowsk-Karaganda zmarł Stanisław Karpyza. Zwłoki z wagonu zabrała służba kolejowa a reszta pojechała dalej. W kilka tygodni później zmarła córka, Stanisława, syn Kazimierz oraz pozostała trójka dzieci. Najstarszy z synów, Józef dostał się do wojska polskiego, koło Buchary a pani Zofia Karpyza, po stracie rodziny, wstąpiła również do Pomocniczej Służby Kobiet. Z Uzbekistanu przewieziono ich, razem z Pożarskimi, do Persji, gdzie ich drogi rozłączyły się na zawsze.

Nie ustaliłem pokrewieństwa z nimi, ale prawdopodobnie pochodzili ze wspólnego pnia w Zancewiczach, choć niedobrowolnie przeflancowano ich na grunt andraszowski.

Postacie z Kresów

Źródła:

1. Piscowaja kniga grodzieńskioj **ekonomii, s. 579.**
2. Inwentarz Rosi z 1571 r, Archierograficzeskij zbornik..., tom I, s. 141.
3. S. Krakowski, Powiat wołkowyski w końcu XVII wieku.
4. Zbiór druków procesowych z XVIII i XIX wieku. T. II, dokument 19. Biblioteka Jagiellońska, sygn. 15036 III.
5. Mirosław Rewiński z domu Sołowiej, nauczycielka szkoły w Bobłowie, do której uczęszczały dzieci z Andruszów. Listy z dnia 6.02.1987 w zbiorach autora.
6. M. Pożarski, **osadnik** z Żytorodzi. List z 29.04.1986 w zbiorach autora.

23

BIEGIENIE

Rzadko się zdarza, by dwie wsie i dwa majątki o tej samej nazwie leżały ściśle wokół siebie i zbiegały się prawie u źródeł rzeczki, Naunki, w zachodniej części powiatu wołkowyskiego. Często zmieniały swoich właścicieli i nie zawsze udało się ustalić, który majątek i do kogo należał, bo w aktach pisano krótko - Biegienie. Przewinęło się więc wiele nazwisk posiadaczy, jak: Tołłoczko (1690), Nowiccy (1690), Wolbekowie (1783), Przetoccy (1830), Chodakowscy (1830-1900), Nestorowiczowie (1847), Despot-Zenowiczowie (1847), Heburowiczowie (1928), Ostrouchowie i inni.

Posiadłości nie były wielkie. W końcu XIX wieku Nestorowiczowie mieli tutaj 377 dziesięcin, zaś Chodakowscy 215 dziesięcin, zaś ostatni właściciele Biegień z 1928 roku: Wacław Ostrouch - 179 dziesięcin, a Stefan Herubowicz - 191 dziesięcin.

Po Nestorowiczach i Despot-Zenowiczach pozostał na cmentarzu parafialnym w Szydłowicach okazały, żeliwny pomnik z napisem:

„Tu spoczywają Jan Despot-Zenowicz, przeżywszy lat 85, matka jego lat 71, syn Jan Julian Despot-Zenowicz major wojsk rosyjskich przeżywszy lat 72 - stroskana żona Julianna prosi przechodniów o „Pozdrowienie Anielskie" - a nieco wyżej - „Najdroższym ojcu i stryjowi Nestorowiczom zmarłym dnia 6 stycznia 1847 roku, lubej siostrze Pelagii oraz bratu Edwardowi tę pamiątkę poświęcają Anna z Nestorowiczów Zenowiczowa, polecając cienie zmarłych pobożnym przechodniom".

Trzeba zaznaczyć, że Despot-Zenowiczowie wywodzą się od udzielnych książąt panujących w Serbii, Despotów. Dom ten wydał 5 wojewodów i 4 kasztelanów w Wielkim Księstwie Litewskim i był spokrewniony z Radziwiłłami, Chodkiewiczami, Sapiehami i Hlebowiczami, ale zubożał i podupadł.

Na tymże cmentarzu, być może po Chodakowskich, pozostawała do pierwszej wojny światowej grobowa, drewniana, kryta gontem kaplica, którą w 1864 roku zamknął naczelnik wojenny i jeszcze w 1874 roku nikomu nie była udostępniona. W końcu XIX wieku oglądał ją jeszcze dzierżawca pobliskiego Kosina, Michał Fedorowski, znany autor *Ludu Białoruskiego* i widział tam, w podziemiach ciała zasuszonych nieboszczyków. Ja zaś w czasach międzywojennych widziałem tylko zapadlisko. Pozostała tylko legenda.

„Faktycznie - wspomina Władysław Klimczuk z Biegień - pamiętam, że opowiadał ojcu sąsiad Surowiec, który był już za mego dzieciństwa starym człowiekiem, a była to chodząca encyklopedia, że była taka kaplica z podziemiami i szczątkami jakichś ludzi. Siedziałem obok ojca i słuchałem. Otóż pod podłogą w tej jamie, czy też piwnicy były jakieś trumny, ale już zniszczone przez czas. Jedna tylko jakaś się trzymała. Była jakaś drewniana, czy ołowiana, ale nie w całości, gdyż w górze było szklane okienko, które zostało rozbite i pozostawał otwór i tam gnieździły się kuny. Otóż jeden z właścicieli majątku Biegienie je tam wyśledził i zaczął pilnować. Udało mu się jedną zastrzelić, ale chciał i drugą. I gdy zaczaił się gdzieś w kącie piwnicy ze strzelbą gotową do strzału poczuł, że coś go z tyłu mocno przygniata tak, że musiał upaść i ten ciężar zwalił się na niego, bał się poruszyć ze strachu. Stracił przytomność i przeleżał tam całą dobę. Szukano go wszędzie, ale bez skutku. Po upływie doby odzyskał przytomność i już go ten ciężar nie przytłaczał. Wyszedł, doszedł do ludzi w Szydłowicach i prosił, aby dali znać do Biegień i przyjechali po niego. Bardzo długo chorował, ale się wykaraskał. Więcej tam nie poszedł, bo ludzie zaczęli mówić, że to nie były kuny, ale dusze pokutujące. Nazwiska tego polownika na kuny nie pamiętam, chociaż go Surowiec wymieniał, ale mnie małego wtedy to nie interesowało".

Zajmijmy się jednak Biegieniami Ostrouchów. W końcu XIX wieku posiadał je Alfons Ostrouch, który zmarł wcześnie pozostawiając żonę, Marię, z domu Michałowską z dwojgiem nieletnich dzieci: Ireną i Wacławem. Wdowa zajęła się wychowaniem dzieci, majątek oddała w dzierżawy, a sama mieszkała w Biegie-

niach, w opuszczonym, ale obszernym, staropolskim dworze, pochodzącym zapewne z połowy XIX wieku. Był to dwór prawdziwy, drewniany, kryty gontem, z drewnianą attyką i tarasem, z 16 pomieszczeniami, 19 oknami, prawdopodobnie dziedzictwo po kimś znacznym, może po Despot-Zenowiczach?

Syn Wacław, dorastał, ukończył szkołę rolniczą, chociaż zainteresowania miał inne. Ostatecznie skusiła go wojenka, więc znalazł się w Legionach i jako adiutant generała Żeligowskiego zdobywał Wilno, skąd przy okazji przywiózł sobie żonę, Krystynę Kozłowską. Młoda para osiadła w majątku rodzinnym Ostrouchów, czyli w Biegieniach i wzięła się do odbudowy zdewastowanego wojną majątku.

Gmina szydłowiecka zaproponowała mu stanowisko wójta. Nie przyjął, gdyż Biegienie wymagały solidnej pracy i dozoru. Po paru latach jednak się ugiął i w 1928 roku po wójcie Janie Październierskim, stanowisko przyjął.

Gmina w 1928 roku liczyła 5127 mieszkańców, w tym 308 prawosławnych, 2 Żydów i 3 innych wyznań i obejmowała następujące miejscowości: Bierdziki, Hermanowszczyzna, Niewiarówka, Biegienie, Dziaki, Janowicze, Kukiełki, Kosin, Menczele, Subacze, Czarnopołosę, Obuchowszczyznę, Miełowce, Mosznie, Ostrowczyce, Orany, Wilczuki, Piaczyce, Zieniowce, Snopki, Szydłowiec Talkowce, Ozieraki Małe i Wielkie, Wiszniewicze, Gumbiszki, Bancerowszczyznę, Krasowszczyznę i Sielechy.

Po zaborach carskich i wojnie gmina nie odziedziczyła wiele dobrego. Ksiądz Albin Horba, który w 1920 roku obejmował wikariat w kościele szydłowieckim wspominał:

„W parafii ciemnota, chociaż szkoła była. Wspólnie z nauczycielką, Emilią Sarosiekówną zorganizowaliśmy dokształcanie dorosłych. Młodzież licznie i chętnie uczęszczała. Kultura niska, jeszcze na terenie parafii spotykałem kurne chaty. Podłoga była tylko w nielicznych domach. Na terenie parafii grasowały liczne epidemie: tyfus i ospa. Śmiertelność wielka, a na terenie parafii był tylko jeden felczer, Konstanty Skrobot. 26 lipca 1920 roku przyszli bolszewicy. Wszystka młodzież poszła do lasu".

Porucznik Wacław Ostrouch, objąwszy funkcję wójta, zdał sprawy swego majątku w ręce rządcy, Seweryna Michajłyszyna, człowieka zdolnego, uczciwego i dobrego fachowca. Nie zawiódł się. Dodam, że Michajłyszyn później, po repatriacji, osiadł w pobliżu Ełku, gdzie gospodarował na niewielkim kawałku roli. Gdy nastąpiła kolektywizacja, to został przewodniczącym spółdzielni produkcyjnej w Mrozach. Była to spółdzielnia przodująca i wzorowa.

Wójtował do 1939 roku, gdy nadszedł złowieszczy wrzesień. Matka Ostroucha ustawicznie namawiała go, by rzucił wszystko i uciekał do Wilna. On jednak odpowiadał stale, że jest rezerwistą, musi dyżurować przy telefonie, czekać na dalsze rozkazy i gminę przekazać w porządku. Porządki przyszli robić dwaj mieszkańcy z sąsiedniej gminy, bo we własnej Ostrouch nieprzyjaciół nie miał. Polegały one na tym, że reformatorzy zdjęli wójtowi buty, prawdopodobnie za-

brali zegarek, ale go puścili wolno. Nie omieszkali jednak szepnąć przejeżdżającym właśnie „czerkiesom", że to jest „pomieszczyk". Tego wystarczyło. Dogonili go i pod Bobylami, o 2 km od Biegień, zatłukli i wrzucili do rowu. Nieszczęśliwego odnalazł gospodarz z Bobyl i powiadomił rodzinę. Żył jeszcze. Tejże nocy, na prośbę rodziny, odwiózł go gospodarz, oczywiście ze strachem, do odległego o 16 km Wołkowyska i tam, nie odzyskawszy przytomności Ostrouch zmarł w szpitalu. Ukradkiem też pochowano go w Wołkowysku. Osierocił żonę i dwie córki: Danutę lat 16, uczennicę Gimnazjum w Świsłoczy i Halinę lat 12, uczennicę szkoły powszechnej w Szydłowicach.

Zrozpaczona żona próbowała z córkami przejść tymczasową granicę i udać się do Warszawy. Nie udało się. Matkę zatrzymano, a córki cofnięto. Po pewnym czasie matkę zwolniono. Zamieszkały w Wołkowysku u siostry Ostroucha, Ireny Czernickiej.

Po II wojnie światowej Halina z Ostrouchów Sierakowska (matka i siostra Danuta już zmarły), korzystając ze zjazdu byłych żołnierzy 3 pułku strzelców konnych w Wołkowysku, Biegienie odwiedziła. Oto co w liście do mnie napisała.

„Pojechałam i ja, aby odwiedzić swoje rodzinne strony, jakże wszystko wydało się inne, obce, ak **tylko** w pierwszej chwili, gdy nagle wszystko odżyło w pamięci. Te pola, drogi, zakamarki, po których się nachodziłam, począwszy od bryczki, aż po wóz drabiniasty, konno lub na rowerze. Jednak największym szokiem dla mnie było, gdy zobaczyłam puste pola tam, gdzie były zabudowania gospodarskie, młyn, czworaki. Ostały się tylko takie stare modrzewie, które rosły po obu stronach gazonu, kiedyś tak okazałe i dostojne, teraz ze smętnie zwisającymi resztkami gałęzi oraz **olbrzymi** wiąz, rosnący od wejścia kuchennego, a wyglądający też jakoś żałośnie. Miejsce, gdzie stał dom, było porośnięte jakimiś zmierzwionymi krzakami, sięgającymi po pas i chwastami, wśród których znalazłam nadkruszone, porośnięte mchem, trzy schodki, prowadzące kiedyś na taras. W resztkach alei klonowej ostał się też duży kamień służący za ławkę i w tym momencie zapragnęłam uciec stamtąd jak najszybciej".

A jednak. Tam na wzgórku, na skraju wsi Biegienie, stała obielona, zadbana i świeżo ogrodzona, z wmurowaną tablicą „Na pamiątkę scalenia 1936 roku". To pamiątka po Ostrouchu.

Goniec Kresowy

O

BOGUDZIEŃKI

Pseudouczeni a właściwie lizusi, chcąc się przypodobać Napoleonowi, prześcigali się w opracowaniu jego rodowodu, sięgając do Karola Wielkiego, czy też wręcz do czasów bajecznych, ale Napoleon te brednie przerwał krótko. „Mój dom - powiedział - zaczyna się ode mnie".

Innego zdania o swoim pochodzeniu byli mieszkańcy Bogudzieńków pod Porozowem, bo swój początek wywodzili od Adama i Ewy, w czym mieli rację, ale naświetlili to w sposób oryginalny. Otóż pierwsi rodzice, wygnani z raju, szli i szli, szukając miejsca na zamieszkanie. Wreszcie z radością rzekli.

- Bogu dzięki! Już Porozów widać!

Dzisiaj Bogudzieńki, to część Porozowa, dawniej jednak przynależały do dóbr Hornostajewicze. Przedostatnim właścicielem Bogudzieńków był Tadeusz Buttowt-Andrzeykowicz, żonaty z Józefą Helman (zmarłą około 1935 r.), zaś ostatnim ich syn, Witold (zm. w 1945 r.), ożeniony z Antoniną Brodowską (zm. w 1935 r.).

Po starym miejscowym dworze, o którym nie mam bliższych informacji, pozostały tylko do czasów międzywojennych fragmenty ogrodów w postaci szpalerów bardzo sędziwych lip i kasztanów oraz szerokiej alei wjazdowej, wysadzanej równie pięknymi, jak i starymi, brzozami.

., Majątek należał od dawna do Buttowt-Andrzeykowiczów, chociaż jest wzmianka, że w 1845 roku właścicielem tego majątku był Józef Kalenkiewicz.

Tadeusz Buttowt-Andrzeykowicz pobudował w Bogudzieńkach w końcu XIX wieku dwór drewniany o bardzo bogatym szalunku, gzymsach, okiennicach i wieżyczkach, przy czym ogromnie się zadłużył. Był to człowiek z dużym gestem i podobno wielki utracjusz. Zmarł niespodziewanie i w tajemniczych okolicznościach, o czym rodzina zmilczała.

Majątek Bogudzieńki nie należał do dużych i obejmował w 1924 roku 375 hektarów. W okresie międzywojennym, został rozparcelowany. Dwór zakupili mieszkańcy Porozowa. Uchwałą jednego z zebrań Koła Związku Zaścianków Polskich postanowiono, aby w nabytym majątku, tuż przy Porozowie, Bogudzieńkach, jako własności zbiorowej, wydzielić ośrodek wraz z pięknym dworem mieszkalnym i gospodarczymi zabudowaniami i przeznaczyć na szpital i przychodnię wraz z mieszkaniem dla lekarza.

O tym majątku wspomina była mieszkanka, Janina Maciukiewiczowa:

„Za moich czasów stał pusty dworek i nikt się nim nie interesował. Moi teściowie mieszkali w czworakach do marca 1959 roku. Oglądałam ten dworek z kierownikiem Paczykowskim. Dworek był na wysokim podmurowaniu i dużymi oknami. Wokoło rosło dużo drzew. Była również sadzawka, po której pływało się łódką. Położenie majątku, odległego o dwa kilometry od Porozowa, ładne. Przez łąki płynęła rzeka, zdaje się, że Roś".

Po II wojnie światowej budynek dworu rozebrano do fundamentów a na jego miejscu wzniesiono normalny blok, w którym jest szpital. Czworaki zachowały pierwotną klasę, w której umieszczono szpital dziecięcy. Zachowała się aleja główna, wysadzana brzozami, wiodąca do drogi wołkowyskiej.

Jak wspomniałem wyżej, Tadeusz Buttowt-Andrzeykowicz ożenił się z Józefą Heltmanówną. Ona to wniosła w dom Andrzeykowiczów ciekawy rękopis pamiętnika jednego z dawnych uczniów gimnazjum w Świsłoczy, Leona Heltmana. Fragment tego pamiętnika w odpisie Andrzeykowiczowie ofiarowali w 1923 roku dyrektorowi Seminarium Nauczycielskiego w Świsłoczy, Bolesławowi Borysowi z następującą dedykacją:

„Bogudzieńki, dnia 18 sierpnia 1923 roku. Szanowny Panie Dyrektorze. Wyciąg z notatek ojca, dziada i pradziada naszego, Leona Heltmana, ucznia gimnazjum w Świsłoczy poświęćcie szkole i miasteczku, gdzie się uczył, pozwalamy sobie złożyć Seminarium Nauczycielskiemu im. Romualda Traugutta w Świsłoczy, jako przyczynek do historii jego poprzednika nie wątpiąc, że nowy zakład naukowy stanie się również rozsadnikiem kultury polskiej, jakim było dawne gimnazjum".

Podpisali: Leontyna Heltmanówną, Józefa z Heltmanów Andrzeykowiczowa

(te dwie panie, to córki pamiętnikarza) wnukowie W. Frankowska, Witold Andrzejkowicz, prawnuk Tadeusz Frankowski.

Zanim przejdę do pamiętników Heltmana, parę słów o ofiarodawcach pamiętników we wspomnieniach ich krewnych. Główną osobą jest córka Leona Heltmana, Józefa Andrzeykowicz. Wspomina ją jako ciocię Halina Buttowt-Andrzeykowicz z Hornostajewicz:

„Ster rządów trzymała, owdowiała od dawna, ciocia Józia. Fama rodzinna głosi, że za młodu słynęła z piękności. W czasach, które opisuję z dawnej jej urody niewiele pozostało. Ciężkie życie zniszczyło twarz o regularnych rysach, oczy wyblakły i posmutniały, z bujnych warkoczy pozostały cienkie, ciasno upięte, pasemka siwych włosów, przygarbiła się wysoka postać. Syn, ani córka (Leontyna Frankowska i Witold Andrzeykowicz) nie chcieli pozostać na gospodarstwie. Oboje, dzięki matce, starannie wykształceni, woleli zamieszkać w mieście. Większość więc roku ciocia Józia mieszkała sama w towarzystwie swej siostry, pani Leonii - cichej, drobnej, niepozornej staruszki. Za to latem ogromny dom był pełen gości. Zjeżdżała się bliższa i dalsza rodzina z dziećmi, przyjaciółmi. Razem kilkanaście osób. Dom cioci Józi słynął z gościnności i stołu, tak obficie zastawionym smakołykami, jakby to codziennie była Wielkanoc. Latem w Bogudzieńkach zawsze było pełno, najpierw dzieci, później podlotków, wreszcie młodzieży. Ileż zabawy, śmiechu, łez czasem, czasem niewinnych młodzieńczych flircików, widziały te piękne, lipowe aleje, ogromne ganki, te wielkie pokoje? Ileż trudu musiały kosztować ciocię Józię starania o utrzymanie porządku tego huczącego roju i ile serca w te starania wkładała? Do późnych lat swego życia gospodarzyła w Bogudzieńkach. Nie wiem ile lat miała, ale na pewno bardzo dużo, gdy zrezygnowała z samodzielnego życia i przeniosła się do syna, do Warszawy. Ciało jej po śmierci przewieziono do grobu rodzinnego w Porozowie".

„Ciocia Tola (Antonina Andrzeykowicz, synowa Józefy a żona Witolda) - cytuję dalej wspomnienia Haliny Andrzeykowicz - nieładna, ale mocno kochana przez męża, tęga, szpakowata, była takim usposobieniem kobiecości i dobroci, że mało zwracano uwagi na jej niezbyt atrakcyjną powierzchowność. Idealna żona i matka jedynej przybranej córki, doskonała pani domu w gorący dla Bogudzienk czas letni, dzieliła z ciocią Józią trudy prowadzenia domu z rojem gości stałych i często zaglądających sąsiadów. Ogromnie była kochana w rodzinie, gdyż i ona kochała rodzinę. Mąż, jak wspomniałem, świata za nią nie widział a młodzież ją ubóstwiała. Tola pochodziła z Hubowa na Litwie gdzie się urodziła w 1877 roku. Z mężem dzieci nie mieli, więc adoptowali bratanicę, Wiktorię Barbarę Brodowską, urodzoną w Samarze. Adoptowano ją w 1930 roku i wyszła za mąż za Tadeusza Rakusa-Suszezewskiego, któremu zawdzięczam dalsze wiadomości o ofiarodawcach pamiętnika."

Witold Buttowt-Andrzeykowicz, mąż Toli i ostatni właściciel Bogudzieńków, został w pierwszych latach po II wojnie światowej skrytobójczo zastrzelony, gdy zdążał do wynajętego mieszkania nocą z walizami w ręku.

Siostra Witolda a córka Józefy, Leontyna Frankowska, podobnie jak i matka słynęła w młodości z urody. Szatynka, o fiołkowych oczach i pięknych rysach. Mieli z mężem jedynego syna, Tadeusza Frankowskiego, który zmarł tuż po powstaniu warszawskim 1944 roku w obozie przejściowym w Pruszkowie, ale gdzie jest pochowany nie wiadomo. Leontyna Frankowska zmarła w 1954 roku i jest pochowana w Wólce Węglowej.

Zajrzyjmy teraz do pamiętnika Leona Heltmana, zatytułowanego Z *teki starego pedagoga - wspomnienia, lata dziecinne i młodzieńcze publicysty, urodzonego Litwina, z notatek młodszego brata*. Jeśli mi wiadomo, to przytaczane fragmenty nie były publikowane a los oryginału także mi nie jest znany. Opuszczam dor kładny opis ówczesnej Świsłoczy, jako że już jest znany z innych źródeł.

„Jesienią 1815 roku - cytuję - trzej młodsi bracia Wiktora przybyliśmy razem z nim do Świsłoczy na naukę, ja zaledwie siedem lat miałem. Malce, mieliśmy osobnego guwernera do powtarzania lekcji szkolnych. Wiktor kończył już w tym roku ostatnią szóstą klasę gimnazjum. Kwaterowaliśmy na jednej stancji w domu kapelusznika, Niemca, wielkiego pijaka. Byliśmy na jego stole, który był bardzo nędzny, ale nie troszczono się o to, gdyż wychowanie chłopców za naszych czasów nie miało tej miękkości, co dzisiaj, hartowano ciało według znanego aksjomatu „In sano corpore, mens sano". W ostatniej stancji na naszej kwaterze mieścił się gabinet Wiktora z narzędziami fizycznymi i preparatami chemicznymi, wszystko w najprostszym składzie, bez protensjonalizmu, nie kosztowne. Były więc butelki lejdejskie z długimi krzywymi dzióbkami z drutu, zakończone kulkami metalicznymi. Był elektrofor w dużej, smołą wylanej miednicy a do wzbudzania elektryczności używano wilczego ogona. Były retorty do wydobywania gazów, były duże fajerki z węglami, flaszeczki z kwasami chemicznymi, poobklejane srebrnym i złotym papierem a to nas malców najwięcej zajmowało, ale nie wolno było wchodzić do tego sanktuarium. Za wielką łaskę poczytywaliśmy, jeśli nam pozwalano pomagać starszemu bratu w jego zajęciu się i machać wilczym ogonem, dla wzbudzenia elektryczności. Była tam i mała drukarnia, zamknięta w szkatułce staroświeckiej, w której czcionki ruchome, ołowiane i ramka ruchoma także znajdowała się. Do tych ramek wstawiały się litery do składania wyrazów. Pozwalano nam niekiedy, z zastrzeżeniem wielkiej ostrożności, drukować dla zabawy nasze imiona, pojedyncze wyrazy a niekiedy i kilka wierszy. Była inna jeszcze w Świsłoczy drukarnia, większa i bardziej od niej doskonała".

Z braku miejsca, muszę opuścić parę stron opowiadań o profesorach i sposobach ich uczenia, wymaganiach i stosowanych podręcznikach.

„Znaliśmy - cytuję dalej - księdza Kluka, sławnego botanika, proboszcza w Ciechanowcu, mieliśmy zielnik zasuszony w bibule w foliantach, chodziliśmy na praktykę mierniczą ze stolikiem dioptra i kątomierzem. Musieliśmy szczepić płonki dzikich drzew itp. Kapelan szkolny odprawiał codzienną, krótką, czytaną mszę o siódmej. O siódmej trzydzieści dzwonek szkolny ogłaszał premium a o ósmej secundum i wraz zaczynały się lekcje. Przed Wielkanocą odbywały się

rekolekcje, od soboty przed kwietną niedzielą do wtorku w wielkim tygodniu. Tegoż dnia spowiedź a później Komunia Święta. Po skończonej mszy uczniowie rozjeżdżali się do domów na święta a w niedzielę przewodnią wszyscy wracali do szkoły. Był pensjon prywatny dla dziewcząt pani Rodziewiczowej. Zarząd szkolny do tego się nie mieszał. Później był pensjon Orłowskich, zależny już od zarządu szkolnego. Oprócz nauczycieli publicznych, etatowych, byli metrowie prywatni do udzielania lekcji malarstwa, muzyki, tańców itp. Był malarz Faliński, kaligrafista Kruszelewski. Fechtunku uczył dymisjonowany stary wiarus gwardii francuskiej. Do lekcji muzyki było czterech belfrów i każdy z nich miał przyzwoite utrzymanie".

„Obowiązkiem dyrektora ówczesnego gimnazjum była wizytacja szkół powiatowych, zwykłych, utrzymywanych przez zgromadzenia zakonne. W Łyskowie (o trzy mile od Swisłoczy) uczyli księża misjonarze, w Brześciu i Zyrowicach, księża Bazylianie, w Grodnie, Dominikanie. Po większej części słabo te szkoły funkcjonowały. Ich uczniowie z klasy trzeciej z trudnością mogli wytrzymać egzamin do klasy drugiej naszej szkoły. Pamiętam, że było kilku uczniów z Potocka od Jezuitów. Ci odznaczali się w łacinie i fizyce. Na wizyty w gimnazjum Uniwersytet wysyłał swoich profesorów. Byli na przykład: ksiądz Chodani, ks. Reszko i inni. Niekiedy poruczano tę zaszczytną misję znanym ze świata obywatelskiego. Pamiętam poważnego Józefa Twardowskiego (1822) z Pińszczyzny, następnie rektora Uniwersytetu Wileńskiego po Malewskim oraz Chlewińskiego, który wizytował szkołę w Swisłoczy w 1824 roku.

Ale najważniejsza ze wszystkich i prawdziwie pamiętna dla młodzi szkolnej, była wizyta ówczesnego kuratora Szkolnego Okręgu Naukowego Wileńskiego, księcia Adama Czartoryskiego. Odbyła się ona na początku marca 1821 roku a była zapowiadana od kilka lat. Skoro ostateczna wiadomość o mającym nastąpić przybyciu księcia została nam objawiona, doznaliśmy nieznanego nam dotąd uczucia ciekawości i strachu zarazem. Te umysły uderzone niezwyczajnym wypadkiem chwili, ubierały księcia kuratora w fantastyczne kształty. Ale nie tylko uczniowie zaniepokoili się a także nauczycielowie. Wieść głosiła, że to ich głównie na oku miała ta wizyta. Nie darmo mówiono, że książę wozi z sobą czterech uczonych sekretarzy. W ich liczbie był znany poeta, Karol Sienkiewicz, wychowaniec Liceum Krzemienieckiego, tłumacz *Pani jeziora* z angielskiego, Waltera Scotta, autor innych w owym czasie znanych poematów. Drugim sekretarzem był Dobrowolski, później prezes banku filialnego w Berdyczowie a trzeciego i czwartego nazwisk nie pamiętam. Nad dwoma niższymi klasami, na górze, na całą szerokość gmachu, była sala obszerna, gdzie odbywały się w pierwszych latach egzaminy roczne, tamże i biblioteka była umieszczona dookoła ścian. Głośno biły serca nasze, kiedy wspaniała postać księcia (miał wówczas 52 lata) przechodziła salę, w której oczekiwała go młodzież szkolna zebrana w sześciu oddziałach. Na czele stali dyrektor i nauczyciele w galowych mundurach. Książę był ubrany po cywilnemu i towarzyszył mu dziedzic Swisłoczy, gen. Tadeusz Tyszkie-

wicz w świetnym mundurze wojskowym. Za nimi podążała świta księcia, młody jeszcze siostrzeniec jego, Stanisław, ordynat hrabia Zamojski, czterech groźnych owych sekretarzy. Po stosownym przemówieniu powitalnym dyrektora, książę pozdrowił zebraną młodzież kilku krótkimi a sympatycznymi słowy i pomówiwszy z nauczycielami, których mu dyrektor przedstawił, poprosił dyrektora aby wszystka młodzież o godzinie trzeciej po południu zebrana była w swoich klasach, poczem pożegnał się i odjechał razem z gen. Tyszkiewiczem do jego rezydencji. Wizyta księcia trwała dziesięć dni i zakończyła się wspólną radością całej szkoły oraz zadowoleniem wizytatora. Znalazł on wszystko w porządku, wszystko mu się podobało, sama młodzież i jej zwierzchnicy.

Wiele świetności tej pamiętnej dla nas wizycie księcia kuratora przydała uroczystość założenia fundamentu pod wznoszony wówczas gmach nowego gimnazjum, na co potrzebny fundusz w gotowiźnie zostawił referendarz Tyszkiewicz a materiały budowlane były przygotowane i złożone na placu szkolnym od paru lat. Owe poświęcenie kamienia węgielnego pod główny korpus gmachu z greckim frontonem odbyło się dnia 4 marca 1821 roku w dzień św. Kazimierza z zachowaniem zwyczajnym w **podobnych** razach ceremoniału. Książę kurator własną ręką spuścił z rusztowania ogromny głaz, na ten koniec przygotowanego w dół na fundament wyryty a następnie obrzucił zwyczajną mieszaniną gliny, wapna i piasku, w pięknym cebrzyku na to przygotowaną, kielnią murarską z rękojeścią hebanową, w srebro oprawioną. Za księciem zrobił to samo dziedzic miejscowy, gen. Tyszkiewicz, następnie świta księcia, dyrektor, profesorowie a po nich uczniowie, przystępując klasami w ordynku. Za uczniami przystępowali goście honorationes, poproszeni na tę uroczystość z przyległych powiatów i dalszych okolic Litwy. Przed rozpoczęciem uroczystości była msza w kościele, solenna, poczem ksiądz kapelan szkolny wyszedł z kościoła dla odbycia ceremonii poświęcenia a orkiestra przygrywała na placu szkolnym podczas całej ceremonii.

Powróciwszy do Wilna, książę kurator kazał spisać *Akt wizyty* a kopię powyższego, za pośrednictwem Uniwersytetu odesłać do Zarządu Szkolnego w Świsłoczy. W tymże akcie książę kurator wyraża zadowolenie, jakiego doznał wizytując Gimnazjum w Świsłoczy, dziękuje Zarządowi Szkolnemu i przysyła ogólne pochwały dla całego zakładu naukowego dla nauczycieli, jak i młodzi szkolnej.

Egzamin roczny podczas mego pobytu w Świsłoczy odbywał się w kościele. Wynoszono sanktissimum do bocznej kaplicy a uczniowie zajmowali prezbiterium, obróceni twarzą do nawy szkolnej. Zmieniają się klasy wchodząc i wychodząc przez zakrystię na cmentarz przy kościele. Publiczność, złożona przeważnie z rodziców, lub opiekunów młodzieży, lokowana w fotelach, ustawionych między ławkami w półkole. Honorationes obsiadali stół, suknem zielonym ze złotą frędzlą przykrytym, przy którym siedział dyrektor gimnazjum i całe grono profesorskie. Na tym stole leżała księga ustaw szkolnych dla uczniów kończących naukę w gimnazjum i nagrody dla uczniów celujących w nauce. Podczas tego egzaminu, który był tylko dla formy i trwał parę godzin, popisywali się uczniowie

z eksperymentami nauk przyrodzonych: fizyki i chemii, rozdawano nagrody celującym uczniom, czytano pochwały. Na samym końcu rozdawano patenta. Najstarszy personat w powiecie dopełniał tej ceremonii, w istocie bardzo poważnej, doręczając dyplom szkolny każdemu z uczniów, składał powinszowanie w kilku słowach i dawał pocałunek bratni, jako młodzieńcowi należącemu już do grona obywateli.

W 1824 roku, kiedym ukończył szkołę, rozdawał nam patenta Piotr Bisping, marszałek powiatu wołkowyskiego a w 1825 Sieheń, starosta krzemieńczucki, noszący się jeszcze po polsku.

Jednym jeszcze z najmilszych wspomnień, których jeszcze przemilczeć nie wolno, był stary, tradycyjny zwyczaj szkoły świsłockiej, wzruszający swoją prostotą, malujący poryw czułej wdzięczności dla swoich profesorów. A był to zwyczaj, żeśmy ubierali i stroili w kwiaty katedry nauczycieli. Miało to miejsce przed egzaminami rocznymi, na ostatniej lekcji nauczyciela. Katedra literalnie zasypana była kwiatami i wieńcami na wierzchu, gdzie zwykle nauczyciel kładł książki, składano czasami komplementa dziękczynne dla niego, wiersz stosowny, najczęściej wypisany na ozdobnym papierze. Na koniec ulubiony nauczyciel musiał wysłuchać oracji, w której młodzież dziękowała mu za pracę i wyrażała swoją wdzięczność.

Wyszło ze szkoły świsłockiej niemało ludzi zdolnych, co się później odznaczyli w rozmaitych kierunkach pracy społecznej, na usługach obywatelskich, na urzędach publicznych, w cywilnej i wojskowej służbie a niektórzy zasłynęli szerokim rozgłosem na polu naukowym". Leon Heltman wylicza ich siedmiu:

1. „Józef Kowalewski, znany orientalista, mandaryn na dworze pekińskim, profesor Uniwersytetu Kazańskiego a w końcu dziekan fakultetu filologicznego w Uniwersytecie Warszawskim. Urodzony w Łuce, niedaleko Swisłoczy, syn parocha unickiego.
2. Józef Paszkowski, pułkownik artylerii, profesor szkoły kadetów w Kaliszu. Tego żywot młodzieńczy trochę niezwyczajny i awanturniczy. Urodzony w Stokach, okolicy szlacheckiej koło Swisłoczy w 1801 roku. Uciekł z klasy V, przeprawił się przez Bug, dostał się do Warszawy i zaciągnął się do wojska na prostego szeregowca w Księstwie Warszawskim. Odbył następnie całą kampanię 1812 roku i następne w 1815 roku, gdy ogłoszono Królestwo Polskie, przystąpił do szkoły artylerii w Warszawie a następnie w regularnym wojsku dosłużył się zaszczytnej kariery. Wziąwszy zwolnienie z wojska, osiadł na stare lata w Warszawie i utrzymywał pensjonat męski.
3. Ksiądz biskup Michał Hołubowicz, urodzony w Brzeskiem i przed paru laty zmarły w Żyrowicach.
4. Ksiądz prałat Placyd Jankowski, urodzony w Brzeskiem, znany pisarz humorysta, piszący pod pseudonimem John of Dylcap, przyjaciel Kraszewskiego.

5. Stanisław Batys Górski, urodzony w Kobryńskiem, ukończył szkoły świsłockie w 1822 roku, chodził na kurs medyczny w Wilnie. Był następnie w Medyko-Chirurgicznej Akademii w Wilnie profesorem.
6. Napoleon Orda (1817-1824) wydał *Album widoków krajowych* w ośmiu , seriach. Ostatnia wyszła w litografii Fajansa, już po śmierci autora.
7. Na koniec wszystkim znany Józef Ignacy Kraszewski".

Dzięki tym wspomnieniom udało się nam dowiedzieć kilka nieznanych szczegółów z przeszłości ziemi porozowskiej i słynnego gimnazjum w Świsłoczy.

Wiktor Heltman (1796-1874) uczestnik powstania listopadowego, na emigracji był żarliwym działaczem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, współautorem Manifestu TDP i autorem szeregu prac historycznych i politycznych.

Magazyn Polski

Źródła:

1. R. Aftanazy, Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej. Wrocław 1992, t. 2, s.189.
2. Archiwum Historyczne w Grodnie, fond 96, dzieło 351.
3. Księga Adresowa z 1928 r.
4. Nasza Okolica, pismo Związku Zaścianków Polskich 1938, nr 10.
5. List Janiny Maciukiewicz z dnia 15 III 1985, w zbiorach autora.
6. Fragment pamiętnika Leona Heltmana znajdował się w rękach córki dyrektora, Bolesława Borysa, która przed rokiem 1975 mieszkała w Częstochowie.
7. Listy Haliny Buttowt-Andrzeykowicz w zbiorach autora.
8. Listy Tadeusza Rakusa-Suszczewskiego w zbiorach autora.

2§S

INDURA

(anegdoty) £*

Indura, miasteczko, czy nawet miasto, o osiemnastu ulicach w byłym powiecie grodzieńskim nad rzeczką Indurką, dziś jest siedzibą sielsowietu i sowchozu, ma 1549 mieszkańców i 471 domów. W okresie międzywojennym posiadała burmistrza i herb przedstawiający żubra na żółtym tle. Jednakże potwierdzenia praw miejskich nie znalazłem nawet w dwutomowym wydaniu z wykazem miast polskich.

Gdzie były miasta, czy nawet miasteczka, tam być musieli i Żydzi i anegdoty o nich. Istnym łowcą tych anegdot był mój kolega z lat szkolnych seminarium w Świsłoczy, Heniek Filipowicz, były mieszkaniec Indury. Opowiadał ze swadą a ich indurskie pochodzenia potwierdzała Helena Sarosiek, córka byłego burmistrza Indury, Sankowskiego. Już legenda o początkach tego miasteczka także ma związek z Żydami.

Otóż w zamierzchłych czasach, na miejscu dzisiejszej Indury stała jedynie karczma na skrzyżowaniu dróg. Karczmą zarządzał Żyd, mający bardzo piękną służącą, która na imię miała Inda, a ponieważ ona była niespełna rozumu, więc w gwarze miejscowej mówiono o niej „dura". Z tych słów utworzono później powiedzonko „Jadę do Indy - Dury".

* A oto dalsze anegdoty. „Otóż w siódmej klasie szkoły powszechnej w Indurze - opowiadał kolega Filipowicz - gdzie wówczas naszym wychowawcą był kierownik szkoły pan Marian Buda, uczył się z nami między innymi, Żyd Himmelfarb. Potężne, nad wyraz rozwinięte chłopisko, starszy wiekiem od nas, dobry uczeń. Pewnego razu wychowawca chciał sprawdzić, czy jego uczniowie myją zęby i kazał przynieść szczoteczki do zębów. Przynieśliśmy wszyscy. Na przerwach jednak cały dzień dokuczaliśmy Himmelfarbowi, że jego szczoteczka jest całkiem nowa i kupił ją wczoraj. Tak go tym zdenerwowaliśmy że rozgniewany, któremuś z nas podsunął szczoteczkę pod nos i powiedział:

- Popachnij!"

Indurski zbiedzony Żyd, Surkis, mieszkający przy ulicy Kolonia, niedaleko naszego domu, trudnił się skupem żelastwa, starych szmat, butelek, odpadów szkła itp. Miał stary wóz, który się ledwie trzymał na drewnianych osiach i starą, spracowaną, chudąszkapinę.Tąszkapinązaprzężonąwopisanywóz.jeździłpowsiachiskupował wszystko co się dało, w zamian za igły, nici, wstążki, paciorki i inne drobne towary, zwierciadełka dla kobiet i małe zabawki dla dzieci.

Pewnego razu, w piątek, już dość późno, wracał do domu na nadchodzący szabas. U Żydów sobotnie święto, zwane szabasem, rozpoczynało się po zachodzie słońca, w piątek, więc się spieszył, ale stara, zmizerowana szkapa nie mogła uciągnąć wozu i znajdującego się na nim towaru. Poganiał, bił batem, szedł przed nią z trawą w garści i chciał ją w ten sposób zachęcić do ruszenia. Chabeta jednak stała i nie mogła ruszyć. Zagniewany wyprzągł i uwiązał ją z tyłu wozu. Sam się wprzągł w wóz i pociągnął. Tak ciągnąc, odwracał się czasami do kobyłki, która szła grzecznie za wozem i mówił:

- Ty, cholero! Nie chciałaś jechać, to idź teraz pieszo!

Pewien indurski, biedny Żyd, zajmujący się handlem okrężnym, pewnego tygodnia tak daleko odjechał od Indury, wyjeżdżając z pewnej wsi w piątek, wiedział, że nie zdąży przed szabasem. A po zachodzie słońca nie miał prawa, zgodnie z talmudem, jechać. Aby obejść zasady swojej religii, zabezpieczył się w ten sposób, że w mijanej wsi zaopatrzył się w trzy puste butelki, nalał w nie wody i podłożył pod siedzenie na wozie. W ten sposób on już nie jechał a płynął, a talmud nie zabrania w szabas płynąć. Nie wolno tylko jeździć. Żyd ten podobno był w Indurze sławny z tego, że zawsze umiał obejść zakazy talmudu. Nazywał się Nachunlejb.

W majątku Żytorodź, dwa kilometry od Indury właściciel Kozłowski miał dwie córki, które uczyły się w Grodnie. Były to dawne czasy, kiedy między Grodnem a Indurą nie było żadnej komunikacji autobusowej. Jeździło się końmi. Na koniec roku szkolnego trzeba było zabrać dziewczynki na wakacje do Żytorodzi. Dziedzic kazał przygotować drabiniasty wóz, solidnie wymościć go słomą i starego woźnicę posłał do Grodna. Jak zwykle dziewczynki siedziały z tyłu a woźnica z przodu. Dobrze wypasione konie w pewnej chwili podniosły ogony i „pierdnęły". Dziewczęta w śmiech a później spytały woźnicy:

- Powiedz, kto pierwszy wącha, gdy konie smrodzą?
- No, pewnie że furman, ale kto gdy „pierdnie" furman?

Dziedzic z majątku Żarnówka II, pan Klimaszewski, miał w Indurze takiego Żyda – Faktora, który mu wszystko załatwiał. Raz zimą Klimaszewski wracał bryczką z Grodna i w Indurze wstąpił do tego Żyda, aby się ogrzać, a była to sobota. Gospodarz posadził gościa na honorowym miejscu i poczęstował go gorącą herbatą. Miał on chyba około dziesięciorga dzieci w różnym wieku. Dzieciaki powyłaziły z kąta i przyglądały się gościowi. Dziedzic zdziwiony wielką ilością dzieci, zwrócił się do gospodarza z pytaniem:

- Czy to są wszystkie twoje dzieci?
- Czy on je wszystkie kocha?
- Czy pamięta, jak każde się nazywa?
- Czy je wszystkie lubi?

Żyd odpowiedział na wszystkie pytania, a na ostatnie odrzekł:

- Uj, panie dziedzic, czyja wszystkie lubię? Ja lubię tylko tę robotę!

W Indurze mieszkała liczna rodzina żydowska, Gibule. Mieli duży, dobrze zaopatrzony sklep z manufakturą. Starszy syn, Izaak, zarabiający na życie grą w karty, później wyjechał do Ameryki, średni syn, Choma, ukończył w Grodnie gimnazjum żydowskie, a za okupacji niemieckiej był starszym w getcie. Mieli prześliczną siostrę, Merę, która opowiadała wiele anegdot. Oto jedna z nich.

Dwóch Żydów, ojciec i syn, jechali pociągiem do swoich krewnych w jakimś małym miasteczku pod Wilnem. Była sroga zima. Obaj siedzieli przy oknie wagonu. Szyby były zamarznięte i nie było widać nazw mijanych stacji. Jechali do Nowych Święcian i aby tej stacji nie przegapić, ojciec kazał wychuchać okienko w szybie i obserwować. Pociąg przystanął i syn odczytał „Lamenczyn". Jadą więc dalej spokojnie. Na następnej stacji syn znowu odczytuje „Lamenczyn". Historia się powtarza i na trzeciej stacji zdenerwowany ojciec wyskakuje z wagonu i sam osobiście odczytuje:

- „Dla mężczyzn".

W piątek, po zachodzie słońca, kiedy był już szabas, przyszedł do indurskiego Żydka chłopek-roztropek. Pochodził ze wsi Dubówka. Przechodził łąkami

koło cmentarza żydowskiego i zaczął opowiadać.

- Przechodząc koło waszego „kładbiszcza", tuż za bramą po lewej ręce,....-,

Żyd mu przerwał.

- Ależ tam pochowany jest mój ojciec. No! Mów dalej.

. - Ale mi w gębie zaschło.

.: r - Sara, daj jemu trochę pejsachówki!

- Otóż idę ja a na grobie, za bramą po lewej ręce widzę, że palą się dwie świeczki...

- Stój! - wykrzyknął Żyd - zawołam Sarę. Niech i ona usłyszy, bo mój ojciec był bardzo pobożny.

Przyszła Sara, dolała pejsachówki a Żyd ponaglał. Chłop wypił.

- Idę więc koło „kładbiszcza" - kontynuuje chłop - Widzę za bramą po lewej ręce, że palą się dwie świeczki...

- Czekaj. Zawołam i swoje dzieci. Niech i one wiedzą jaki pobożny był ich dziadek.

Kiedy dzieci przyszły, chłop znowu nie chciał opowiadać, udając już zmęczonego. Dolano mu pejsachówki, więc opowieść ciagnął dalej.

- Idę więc koło waszego „kładbiszcza" i widzę za bramą po lewej ręce, palą się dwie świeczki a to się okazuje, że siedział tam pies.

Żyd wygnał chłopa.

Warta też przytoczenia jest inna anegdota.

W Indurze mieszkał pobożny, przystojny Żyd, Josiel Prusak. Miał on kiedyś przy głównej ulicy duży zajazd. Był wdowcem. Miał dwie piękne córki i dwóch synów. „Mnie bardzo lubił, - wspomina Filipowicz - i do niego często zachodziłem, gdyż z jedną z jego córek uczyłem się w tej samej klasie. Raz, kiedy wracałem z kościoła i do niego zaszedłem, zapytał mnie, czy ja wiem, że nasz Chrystus potrafił pięcioma bochenkami chleba i dwiema rybami, nakarmić 5000 ludzi? Powiedziałem, że wiem i mocno w ten cud wierzę. On też w Chrystusa wierzy, ale nie może uwierzyć w to, że oni, ci ludzie, tymi pięcioma bochenkami chleba i dwiema rybami się najedli. W to on nie może uwierzyć".

Inna ze słyszanych anegdot opowiadana w Indurze, znana jest też i w powiecie wołkowyskim. Na zakończenie więc ją przytoczę.

Dawniej w pobliżu każdego dworu znajdowały się karczmy, wydzierżawiane przez pana Żydom. Służyły one zazwyczaj za przystań podróżnym, za miejscem noclegów i zabaw chłopskich, suto zakrapianych wódką. Rodziny żydowskie bywały liczne a interesy gorące, więc na szumie i hałasie nie zbywało.

Pewien szlachcic zechciał w karczmie zanocować. Dostał więc pokoik przyległy do mieszkania dzierżawcy. Żydzi, pamiętając o gościu, początkowo rozmawiali szeptem, ale gorączka o interesach spowodowała hałas i szlachcic nie

mógł zasnąć. Nie pomogły ostrzeżenia, że jeśli się nie uspokoją, to ich pozabija. To nieco poskutkowało. Gość zasnął. Nie trwało to długo i harmider rozpoczął się na nowo. Nie było innego wyjścia. Zerwał się z łóżka chwycił dubeltówkę i wpadł do pokoju dyskutujących i bez namysłu wystrzelił. Żydzi popadali.

Pierwszy ocknął się stary Icko. Ostrożnie podniósł głowę i szturchnął leżącego najbliżej.

- Mowsza! Ty żyjesz?

- Żyję, ale on mnie zabił!

Pozostali też zmartwychwstali. Teraz już wszyscy głowy popodnosili.

- Gwałt! On nas pozabijał. Trzeba iść na skargę do pana. Icek dobrał dwóch synów i udali się do dworu. Pan szykował się do snu i przez lokaja powiadomił przybyłych, by przyszli jutro.

- Co jutro? Tu gwałt! Morderstwo!

Sprawa jednak była kryminalna i pan musiał wysłuchać skarżących.

- Co się, Icko stało?

– Nu co się stało? Przyjechał taki z fuzją i nas pozabijał.

- Jak to? Kogo?

- Nu, mnie i jeszcze dwóch stoi w przedpokoju.

Dziś Indura straciła koloryt żydowski mimo, że zamieszkiwali Indurę od dawna. Kahał żydowski zajmował, co do ważności w powiecie grodzieńskim, drugie miejsce po Krynkach. Już nawet w 1522 roku karczmę w Indurze dzierżawił niejaki Żyd, Hawaszewicz. Są jeszcze ślady cmentarza tego ruchliwego narodu. Był usytuowany na górce, vis a vis grodziska, po południowej stronie rzeczki Indury, na terenie o wyraźnym spadku. Otoczony był kamiennym wałem, na którym porastała trawa. Tu i ówdzie sosny samosiejki, bardzo rzadko rozsiane i dlatego rosły raczej wszerz, niż w górę i dlatego wygląd ich był rachityczny. Przeważająca część nagrobków miała napisy hebrajskie. Ważniejsi cadykowie mieli nagrobki w kształcie małych domków o dwuspadowych daszkach. Cmentarz ten w okresie okupacji niemieckiej był miejscem egzekucji. Rozstrzeliwano i grzebano wszystkich skazanych bez względu na religię czy narodowość.

Magazyn Polski

Hi

JANOPOL

• • • •'• '.nuihsia",' - • . . " . . • -
i-agMeaT-SJ-*.- •:• •
• • • :.in-ssm:^mSE^BSPf^:'- - • • •.

Janopol, bo o nim będzie mowa, to właściwie folwarczek, o powierzchni 178 hektarów, odległy o 2 kilometry od Międzyrzecza, w byłym powiecie wołkowyskim, obecnie w rejonie zelwiańskim na Białorusi.

Według przekazów rodzinnych, to w drugiej połowie XVIII wieku, własność Jana Jerzego Grabowskiego (zmarł w 1789 r.), do którego należał też pobliski Izabelin, gdzie wzniósł zbór kalwiński. Żona jego, Elżbieta z Szydłowskich Grabowska (1748-1810), nienajlepszej sławy, znana z piękności kochanka i „tajna" żona ostatniego króla polskiego, Stanisława Poniatowskiego, ponoć miała w Janopolu czasem przebywać, o czym miało świadczyć przechowywane do wojny na piętrze janopolskiego lamusa ozdobne krzesło, na którym wypoczywała.

Później Janopol znalazł się w posiadaniu Leona Suchodolskiego, któremu jednak groziła eksdywizja za długi (Kurier Litewski) i majątek znalazł się w posiadaniu pułkownika, Ignacego Walickiego, którego zrujnowany nagrobek na cmentarzu międzyrzeckim można oglądać do dzisiaj. Lakoniczny napis głosi: „Ignacy Walicki dziedzic wsi Janopola. Prosi o westchnienie do Boga".

„Majątek Janopol - wspomina zakonnica Aniela Józefowicz - należał do Walickich. Dziadek nasz, Kazimierz Popławski, jako siostrzeniec Walickiego dostał ten majątek w spadku po nim. Opowiadano, że kandydatem do tego majątku był inny kuzyn o nazwisku Horczak, mający ekonomiczne wykształcenie. Ten jednak, wykształcony paniczyk, spacerował z książką po polu mało interesując się pracą. Sam do żadnej pracy ręki nie przyłożył. Będzie źle – pomyślał stary Walicki - przepuści cały majątek i odesłał młodzieńca do domu".

Do pomocy przyjął sobie innego krewnego, a mianowicie Kazimierza Popławskiego, herbu Trzaska, pochodzącego spod Grodna. Ten wstawał każdego rana razem ze służbą o godzinie piątej rano. Pomagał osobiście w każdej pracy. Tak przez to spodobał się swemu wujowi, że ten zapisał majątek mu na własność.

Po pewnym czasie zdarzyło się coś, co staremu Walickiemu wzburzyło krew.

Otóż Kazimierz Popławski sprawił wujowi niespodziankę, poznał bowiem w kościele w Międzyrzeczu pannę, córkę sędziego z sąsiedniego majątku Żupliki, Walerię Pietraszewską, która tak mu się spodobała, że postanowił się z nią ożenić. Gdy Walicki dowiedział się o zamiarach młodzieńca, stanowczo się temu sprzeciwił. Panienka się modnie ubierała, więc staruszek wywnioskował, że będzie ona nieodpowiednią partią dla siostrzeńca, bo szybko przepuści majątek. Jednakże Popławski postawił na swoim i wziął ślub z Pietraszewską.

„Opowiadano później - cytuję wspomnienia Anieli Józefowicz - że Walicki, człowiek popędliwy, prędki, w złości spalił banknoty przeznaczone dla siostrzeńca. Ale młoda żona Kazimierza była anielskiej dobroci. Nic się nie przejęła nastawieniem Walickiego do niej, zwłaszcza, że wuj się rozchorował i potrzebował jej opieki. Niedługo Walicki polubił dobrą Walerię i żałował bardzo swego pochopnego czynu. Z małżeństwa Kazimierza i Walerii urodziło się trzynaścioro dzieci. Część z nich zmarło w dzieciństwie. Przeżyło 7 córek i dwóch synów".

Kazimierz pochodził spod Brzostowicy, bowiem tam zamieszkiwała jego rodzina. Należał do szlachty zagrodowej, według rodzinnych wspomnień w Janopolu był już przed powstaniem styczniowym. Żył 96 lat.

„Dwór Jampolski wyglądał skromnie - cytuję Anielę Józefowicz - zaściankowo, ale miał dziesięć pokoi: przedpokój, salon, pokój dziadka Kazimierza, wujka Mieczysława, 3 pokoje ciotek, babci, stołowy, kuchnia i spiżarnia. Rodzina była liczna, więc pokoje musiano dobudowywać." Sam dworek był tynkowany i zapewne pochodził z czasów stanisławowskich, o czym miałaby świadczyć obiegająca wkrąg budynku pod dachem listwa, charakterystyczna dla budowli z czasów króla Stasia.

„Wchodzimy do domu. - wspomina Aniela Józefowicz - Ogarnia nas atmosfera czegoś archaicznego, przesiąkniętego wspomnieniami dawnych czasów. Stare czeczotowe meble, wysłużony fortepian, na ścianach fotografie studentów - dwóch wujów, Mieczysława i Jana Popławskich i ich kolegów. Nad fortepianem duża fotografia w ramie najstarszej córki, Maryni Poczobutowej, już zamężnej. Idziemy dalej, przypominając dawne czasy. Pod oknami największego pokoju zwanego bawialnym, gdzie przyjmowano gości, stały półki z kwiatami. Tu odbywały się tańce przy akompaniamencie poleczek, mazurków i walców, które przygrywała babcia i wszystkie po kolei ciotki. W jadalni stał duży, okrągły stół, gdzie gromadziła się rodzina na codzienne posiłki, duża szafa gdańska służąca za kredens, z bardzo starożytnymi malowidłami na froncie. W tym stołowym pokoju często siadywała babcia z książką do nabożeństwa, solidnie się modląc. W tym czasie przestała jeździć do kościoła z powodu jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, który spowodował uszkodzenie kręgosłupa. Był tu również stojący zegar, który pociągało się za ciężarki zamiast nakręcania. W następnym pokoju w ścianach było dużo skrytek. Również zachowała się stara skrzynia, w której składano różne rzeczy. W części mieszkania były ślady zniszczonego parkietu".

W Janopolu oczywiście znajdowały się budowle gospodarcze, jak stajnie, chlewy, świronek, czyli mały spichlerzyk, stary piętrowy lamus z bocianim gniazdem na szczycie a także staroświecki młyn o pochylonym ukośnie do poziomu, drewnianym, olbrzymim kole, wymoszczonym pomostem, na który wprowadzało się konia. Ten drepcąc w jednym miejscu poruszał to koło a związana z nim dźwignia, poruszała kamień młyński. Była i odryna, coś w rodzaju szopy, w której składano z jednej strony słomę a z drugiej siano.

Po lewej stronie od domu stojąc na wprost od drzwi wejściowych, znajdowała się piekarnia i warsztat starego kołodzieja. Nazywał się on Maciejewicz i chlubił się tym, że był szlachcicem. Ubiór jego podobny był do ubioru Piasta, jaki zawsze przedstawiają na obrazach. Wszystko było z samodziału, nie wyłączając „onucek", którymi owijał się do kolan. Zamiast butów nosił skórzane łapcie własnej roboty.

Janopol nie zasługiwałby na większą uwagę, gdyby nie to, że stąd pochodził znany działacz społeczny okresu międzywojennego na terenie byłego powiatu wołkowyskiego, pierwszy człowiek w tym powiecie, który otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi, co na owe czasy było rzadkością. Tym człowiekiem był Mieczysław Popławski, syn Kazimierza, o którym już wyżej wspomniałem.

„Przecież wuj Mieczysław Popławski, - wspomina córka jego, Irena **Okuniewa**, - to postać jakby wyjęta z *Pana Tadeusza,* to jakby rodzony brat sędziego, tylko owiany tragizmem. Trzeba by tu pióra poety, który na podstawie dziejów poszczególnych ludzi, wiejskiego zacisznego życia, gospodarskich zajęć, wakacyjnych zjazdów młodzieży, a potem groźnych scen z okresu wojen i tragicznego finału aresztowań i wygnania, napisać epicką księgę, równą swoją dramatycznością i grozą starym epopejom".

Mieczysław Popławski uczył się w gimnazjum w Bielsku Podlaskim. Kolei żelaznej wówczas jeszcze nie było. Trzeba było dojeżdżać końmi. Po skończeniu gimnazjum rozpoczął studia na Wydziale Przyrodniczym Uniwersytetu w Moskwie. Jako student należał do partii socjalistycznej. Brał udział w demonstracjach za co był zawieszony w nauce i wydalony z Moskwy. Spotkał się też w Rosji z Józefem Piłsudskim i do końca życia pozostawał jego wiernym stronnikiem. Po skończeniu studiów został powołany do wojska. Osiągnął tam stopień „praporszczyka". Sagi rodzinne mówią, że w wojsku się pojedynkował za odezwanie się wojskowego obraźliwie o Polakach. W 1905 roku Mieczysław został ponownie powołany do wojska. Pułk stacjonował w Białymstoku. Robotnicy urządzili pochód ulicami miasta. Wojsko zagradza i oczekuje rozkazu dania salwy. Mieczysław był w rozterce. „Chyba bym wtedy palnął sobie w łeb - zwierzał się później - niżbym strzelał do robotników". Rozkaz na szczęście nie padł.

W czasie pierwszej wojny światowej Mieczysław Popławski po raz trzeci został powołany do wojska. Pułk stacjonował w Kałudze. W czasie rewolucji październikowej żołnierze podobno obrali go swoim przewodniczącym.

Po ukończeniu wyższych studiów mógł ubiegać się o pracę nauczycielską, ale dla Polaków było to wówczas możliwe tylko na terenach rosyjskich. Zdecydował się więc pozostać na miejscu, to jest na terenie powiatu wołkowyskiego. Pomagał ojcu w gospodarowaniu na Zuplikach, które żona Kazimierza wniosła w posagu. Po śmierci swego ojca w 1906 roku został opiekunem Poczobutów z folwarku Żarnówka a w kilka lat później także opiekunem małoletnich Eysmontów z majątku Bohdzie. Ze swoich czynności składał każdego roku sprawozdanie w powiatowym urzędzie opieki nad stanem majątkowym sierot.

Cały okres międzywojenny udzielał się społecznie, wystarczy przejrzeć roczniki Tygodnika Wołkowyskiego, który ukazywał się w latach 1927-1930 i 1932-1935. Nie było spółdzielni, stowarzyszeń, przedsięwzięć gospodarczych, zebrań patriotycznych, pracy oświatowej wśród włościan, gdzieżby nie zaznaczył swojej obecności. Przez cały ten czas był w komitecie redakcyjnym Tygodnika Wołkowyskiego. Nie zawsze był lubiany przez obywateli ziemskich, bo bronił chłopów. Nie miał zbyt wiele czasu aby prowadzić własną gospodarkę, Janopolem rządziły więc dwie siostry, z pomocą młodego ekonoma Bylewskiego. Popławski zajmował się przeważnie sprawami finansowymi swego gospodarstwa. Był oszczędny, ale tylko dla swoich, bo obcy mogli prawie zawsze otrzymać pomoc o czym może świadczyć następująca anegdota. Nie lubił, gdy któraś z ciotek chciała wyjechać do miasta czy gdzie indziej i nie chciał dawać koni. Ale gdy przyszedł ze wsi chłop i poprosił o konia, to w tej chwili mu go pożyczał. Toteż chytre siostry, gdy miały zamiar gdzieś wyjechać, umawiały się ze znajomym sąsiadem - wieśniakiem, aby poszedł prosić brata o konia. W ten sposób otrzymywały możność wyjazdu, bez żadnego problemu. A że brat był zajęty w swojej ukochanej spółdzielni, zbytnio nie dochodził kto i jak dysponował końmi.

Mieczysław Popławski był patriotą, społecznikiem, socjalistą. Z szacunkiem odnosił się do ludzi pracy i był czułym na ludzkie niedole. Nie był jednakże człowiekiem praktycznym i nie dbał o polepszenie swojej stopy życiowej. Cierpiał na dolegliwości żołądkowe, wobec czego był nerwowym i pobudliwym. Nie chwalił się osiągnięciami i nie skarżył na niepowodzenia. Nie dbał o ubiór, chodził w samodziałowej kurtce.

W 1940 roku podzielił los ziemian. W *Liście strat ziemiaństwa polskiego,* autorstwa Jasiewicza, znajdujemy o nim krótką notatkę:

„Popławski Mieczysław (1870?). Ur. w majątku Janopolu, pow. wołkowyski, syn Kazimierza i Walerii z Pietraszewskich. Inżynier-rolnik. Ziemianin. Aresztowany przez sowietów w majątku Janopol w styczniu. Zmarł prawdopodobnie w więzieniu w Mińsku. Według danych sowieckich, aresztowany 18.03.1940 r. Skazany 9.01.1941 z artykułu 74 kk, jako tzw. SOE (społecznie niebezpieczny element) na lat 8 łagru. Karę odbywał w karagandijskim ITŁ (Isprawitielno Trudowyj Łagier). Zginął bez wieści"

Nie lepszy był los rodzeństwa Popławskich:

Jan Popławski (1876-1943), rodzony brat Mieczysława, urodzony w Janopolu, inżynier budowy dróg i mostów, zamieszkały w Wołkowysku, został w kwietniu 1940 r. wraz z córką i dwoma wnukami wywieziony do Kazachstanu i z Armią Andersa dostali się do Persji, skąd emigrowali do Nowej Zelandii.

.Konstanty Wiśniewski (1915-1939), urodzony w Janopolu, student agronomii U.S.B. w Wilnie, syn Julii, siostry Mieczysława, zmobilizowany w 1939 roku zginął w kampanii wrześniowej.

Róża Chołąckiewiczowa (1872-1950), urodzona w Janopolu, siostra Mieczysława, wywieziona w 1940 roku z majątku Klepacze z córką Jadwigą do Kazachstanu, skąd wydostała się w stanie zupełnego wyczerpania, wyemigrowała do Australii, gdzie zmarła na gruźlicę. Jej syn, Mieczysław, kapitan saperów, odznaczony Krzyżem Virtuti Militari, uczestnik kampanii wrześniowej, aresztowany przez Niemców zginął w więzieniu.

Bronisława Błażejewicz-Załoga (1882-1958), siostra Mieczysława, urodzona w Janopolu, została wraz z córkami, Jadwigą i Anną, w 1956 wywieziona do Kazachstanu. Przeżyły i wróciły do Polski. Jej syn Kazimierz, uczestnik kampanii wrześniowej w oflagu zachorował na gruźlicę, zwolniony do domu, gdzie zmarł i pochowany został na cmentarzu w Międzyrzeczu. Mąż Bronisławy, Piotr aresztowany przez Sowietów w 1944 roku i w 1946 skazany na 10 lat łagrów, wrócił do Polski w złym stanie zdrowia.

Ignacy Szostakowski, syn Jadwigi z Popławskich, siostry Mieczysława, urodzony w Janopolu (1926), uczeń szkoły średniej, wywieziony wraz z rodzicami w 1940 roku do Kazachstanu, skąd wydostał się z Armią Andersa (był żołnierzem). Zginął we Włoszech 1944 roku.

Jedna z potomków rodziny Popławskich, Irena Okuniowa pisze o kobietach z Janopola następująco: „Utraciwszy synów, wszystkie siostry podzieliły gorzki los wygnania. Przemierzyły przymusowo Europę, Azję, Afrykę, Australię. Zjechały daleko więcej, aniżeli mityczny grecki Odyseusz, lecz kiedy ten legendarny bohater Homera powrócił wreszcie do swojej ojczyzny Itaki, to one tego szczęścia nie zaznały. Wierne żony, najlepsze matki, mające złote ręce, wszędzie gdzie się znalazły, chwytały za pracę i przetrwały".

Parafrazując zaś Mickiewicza, dodała:

„Tam na Litwie, szeroko rozciągnione pola
I Świteź jasno świeci w ciemnym borze Płużyn.
W Janopolu dziś pusto. Zrąbana topola.
I nie wrócił nikt więcej z dalekiej podróży".

KOSIN

Kosin dawniej był własnością Chodkiewiczów, którzy w 1579 roku sprzedali go wraz z Hnieznem Marcinowi Okuniowi za 12 tysięcy kóp groszy litewskich. W 1690 r. należał do Michała Kołłątaja, strażnika wołkowyskiego, który opłacał podatek z tej miejscowości za „dymów" cztery. W latach 1730-1755 był w posiadaniu Michała Bartłomieja Kołłątaja, podstolnego wołkowyskiego. Tedy w Ko-

sinie został pobudowany drewniany dom na kamiennym podmurku, parterowy na skrzydłach i piętrowy pośrodku, kryty gontem. Miał 8 pokoi na parterze z 4 piecami kaflowymi i 2 pokoi na pierwszym piętrze.

Po jego śmierci majątek był dewastowany i wydzierżawiany przez lat dwadzieścia. Córka Michała, Zuzanna, wyszła za mąż za Leona Romera i Kosin wniosła mu w posagu. Syn ich, Ignacy, zmarł bezpotomnie. Teraz spadkobiercy, dawne córki Hieronima Kołłątaja i ich mężowie, zaczęli się majątkiem dzielić a raczej go rozgrabiać. Szczególnie aktywny był mąż jednej z córek Kołłątaja, Antoni Tołoczko, rotmistrz wołkowyski. Rościł on sobie pretensje do majętności Kosin, jakiś czas rządził się w nim i grabił zanim wyrokiem Trybunału W. Ks. Litewskiego z dnia 28.VIII.1756 r. został przyznany spokrewnionym z Kołłątajami, Samuelowi i Justynie z Jundziłłów Skirmontom.

W inwentarzu dóbr Kosina z 1756 roku znajdujemy niechlubne ślady gospodarki Tołoczki, skąd brał co mógł i ściągał do Jackowszczyzny (folwark w dawnej gminie Roś), gdzie budował drewniany dwór, którego szczątki przetrwały do 1939 roku. Wówczas w skład dóbr Kosin wchodziły jeszcze następujące miejscowości: wsie Kosin, Menczele, Wiszniewicze, Sielechy oraz folwark Łukawica, który po pierwszej wojnie światowej już nie istniał. Do Kosina należały także Ozieranki Małe i Wielkie.

Wspomniany inwentarz z 1756 r. podaje spis poddanych z całej majętności. Pozwala on zorientować się w stanie majątkowym chłopów, a nawet z ich życiem codziennym. Oto wyjątki:

„Bazyl Bojarczuk, z Ozieranek, ma żonę, krowę i wołu, u którego żony w dniu wczorajszym wziął Tomasz Januszkiewicz, zawiadowca Tołoczki, rotmistrza, spódnic białogłowickich cztery z tych szarych, a jedną farby królewieckiej. Ma dom, zabudowanie, ogród i pół włoki gruntu".

„Michałko Szymczuk, z Sielechów, służy u Michała Tarasiewicza, a żona pokomornie u sąsiadów mieszka. Ma syna Krzysztofa w czwartym roku. Chałupa im spłonęła. Gumno tylko jest. Ma byczka na czwartą paszę. Zasiewu mało. Wspomożenia potrzebuje".

„Józef Diemianczuk, z Menczeli, ma synów trzech, Macieja, Kazimierza i Krzysztofa. Ma wołów 2, krów 2, cieląt dwa i klacz jedną. Z tych braci, Krzysztof, jest w Jaćwiezi u Romera, zostają do pozyskania z synem Mikołajem lat trzy mającym. Maciej zaś, przy ojcu zostający, ma synów dwóch małych: Jaśka i Bałtruka. Temu klacz zdechła z powodu posyłki do Królewca, na którą wygonił Tołoczko".

„Stefan Hryszczuk, ze wsi Wiszniewicze, ma brata Adama w roku jednym i szwagra Andrucha Darazyńskiego z Jaćwiezi z synkiem Michałkiem lat trzy mającym. Ma wołu, a drugiego zagrabiono a samego pobito i zaprowadzono do Jackowszczyzny, do Tołoczki, rotmistrza. Ma też krowę zeszłoroczną ciełuszkę i klacz".

„Józef Smolarz ma synów trzy: Krzysztofa, Tomasza i Jana. Ma wołu, krowę

i cielę przeszloroczne. Z tych Tomasz służył lat 2 u rotmistrza w swoim odzieniu a zapłaty należącej nie otrzymał".

Obowiązki chłopów były następujące:

„Naprzód z każdego pół włoku jednego podymnego po groszy dwadzieścia na każdą ratę do dworu wnieść mają. Straż tygodniową każdy kolejno pełnić powinien a na ten czas od innych powinności oboje wolni być powinni. W tym dwóch wartowników w noc kolejno wypełniać powinni. Pańszczyznę na każdy tydzień po trzy dni mężczyzna a drugie trzy dni białogłowa z czym każą. Prócz pańszczyzny w sobotę do żniwa w tydzień gwałty po dwoje z chaty pełnili".

W końcu XVIII wieku właścicielem Kosina był Tadeusz Puchalski, gdyż to u niego Kosin został kupiony w roku 1781 za 90 tysięcy złotych przez Adama Jelskiego, strażnika powiatu wołkowyskiego, który w 1801 r. został podkomorzym wołkowyskim. Adam i Róża Jelscy, podkomorstwo, jeszcze za swego życia, w 1801 r., aktem notarialnym oddali majątek Kosin wraz z folwarkiem Łukawica, synowi swojemu, Franciszkowi z zastrzeżeniem, że spłaci 787 złotych długu. Franciszek Jelski, piastujący godność chorążego powiatu wołkowyskiego, żonaty z Józefą Kołłupajło, zmarł w 1819 r. Majątek dziedziczył syn, Adam.

Za Jelskich Kosin był majątkiem dobrze zagospodarowanym. Inwentarz majątku z 3 lutego 1819 r. szczegółowo opisuje budynki mieszkalny i gospodarczy, wylicza umeblowanie dworu, sprzęt, bibliotekę, co dość dobrze charakteryzuje dwór średnio bogatego szlachcica w owych czasach. Jest to ten sam dwór z pierwszego inwentarza z niewielkimi przeróbkami, w połowie oszalowany deskami i kryty gontami.

W 1819 r. było w Kosinie: 11 koni stajennych, 8 fabrycznych, 108 sztuk bydła, 46 owiec, 25 świń, 158 sztuk ptactwa. Ze służby inwentarz wymienia: guwernera Charlesa Bieror, ekonoma, ochmistrzynię, ciwuna, kucharza, furmana, dwóch lokai i gospodynię folwarczną.

W kredensie stwierdzono: 44 sztuk naczyń srebrnych ze znakami chorążego, 6 sztuk sreber nie oznaczonych znakami Jelskich, 54 sztuki naczyń srebrnych pod wspólnymi znakami chorążych i 6 sztuk naczyń znaczonych znakami chorążynej.

Spis broni, karet i książek bardziej charakteryzuje upodobanie Jelskiego. Było więc: 2 dubeltówki, 5 wiatrówek, jeden karabinek, cztery fuzje zwykłe i dwa pistolety. Z pojazdów: kareta używana, pomarańczowa, z przodu suknem białym a z tyłu safianem żółtym wybita, koc zielony wewnątrz safianem czerwonym wybity, drążka poczwórna z dwoma fartuchami, bryka kryta suknem, bryczka zwyczajna, sanie zielone z budą skórzaną, sanie zwykłe i sanie zielone, małe.

Biblioteka wykazywała 191 pozycji, których tytuły były charakterystyczne do ówczesnego wieku Oświecenia. Uwagę zwracały dzieła Franciszka Karpińskiego, 9 tomów *Dziennika Wileńskiego* i *Statut Litewski*.

Po ojcu, Franciszku, Kosin dziedziczył syn Adam, oficer powstania listopadowego w 1831 r. Po rewolucji zapadł w głęboką melancholię. Pozostawił synów:

Jana, Gabryela, Józefa. Jan brał udział w powstaniu styczniowym 1863 r. w oddziale wołkowyskim Strawińskiego i bił się pod Michalinem na czele kompanii kosynierskiej, za co został zesłany na Sybir, gdzie wraz z bratem, niewiadomego imienia, zmarł. Po nich majątek dziedziczył ich brat Józef, który majątek roztrwonił.

W latach 50. XIX w. dwór w Kosinie był przebudowany lub wzniesiony od nowa na starych fundamentach. Dowiadujemy się o tym z ostatniego znanego nam inwentarza Kosina z 1857 r. Nowością był „ganek niewielki z wierzchnim daszkiem na czterech słupach malowanych z cegieł, czworo graniastych, otynkowanych i pobielanych, oparty". Wszystkie 10 pokoi były tynkowane, co dotyczy również sufitów, z wyjątkiem sieni, gdzie sufit na belkach. Każdy pokój był malowany w innym kolorze, ściany i sufity pomalowano w „różne figury", drzwi podwójne ciemno malowane, okna w pięknych obramowaniach, imitujących tu i ówdzie marmur. „W całym tym domu na znacznie wzniesionym nad ziemią podmurowaniu z kamieni polnych, z drzewa brusowego jest budowany, gontami na krokwiach krytym, trzy kominy nad dach wyprowadzone mającym pieców fizycznych sposobem z kafel szarych pobielanych stawionych znajduje się cztery".

W 1890 r. kiedy w Kosinie mieszkał Michał Federowski wykonany został rysunek miejscowego dworu od strony zajazdu 18. Kosiński dwór był niewielki, parterowy na skrzydłach i piętrowy pośrodku. Przy środkowej części jego elewacji głównej występował portyk o czterech, w półkole ustawionych kolumnach. Ten portyk wieńczyła ściana attykowa z uskokami.

Drewniany dwór z pięknymi, bielonymi kolumnami, w którym mieszkał Michał Federowski przetrwał obie wojny światowe. Spalił się jednak przez nieostrożność. Nie przetrwały też piętrowy świron, sernik, młyn konny, sady, ogrodzone częściowo murem a częściowo chrustem. Pozostał natomiast na przykościelnym zniszczonym cmentarzu pomnik żony Franciszka Jelskiego z napisem „Józefa z Kołłupajłów Jelska, umarła w 1853 roku, lat 69".

Z historii miast i wiosek

Źródła:

1. Inwentarz dóbr Kosina z 1756 r. Rękopis w Ossolineum, sygn. 5420 III.
2. J. Ochmański, Dawna Litwa. Studia historyczne. Olsztyn 1986, s. 181.
3. S. Krakowski, Wykaz podatku podymnego powiatu Wołkowyskiego z r. 1690. Wiadomości Studium Historii Prawa Litewskiego. W: Wilno 1936,1.1, s. 251.
4. Wyciąg z dekretu Trybunału W Ks. Litewskiego z 28 VIII 1756 o dobra Kosin i Łukawicę oraz z instancji Skirmuntów, przeciwko Romerom, Kołłątajom, Zakrzewskim, Uzdulskim, Tołoczkom i innym. Rękopis w Bibl. Uniwer. Warsz. Sygn.334., poz. 17.
5. Inwentarz Kosina z r. 1857, Rękopis w Ossolineum, syg. 5420 III.
6. R. Aftanazy, Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej. Województwa Brzesko-litewskie, Nowogródzkie. Wrocław 1992, t. 2. s. 231.

POBOJEWO

Swego czasu pisał do mnie Czesław Wasilewicz ze wsi Wojdziewicze w powiecie wołkowyskim:

„Majątek Pobojewo utkwił mi w pamięci, gdyż w latach 1945-1953 na naszych trenach działała partyzantka Armii Krajowej. W dzień rządziła władza komunistyczna, a wieczorem i w nocy partyzantka AK. Pewnego dnia 1950 roku, latem, rozpoczęła się strzelanina w majątku Pobojewo, a konkretnie ze stodoły, leżącej 300 metrów dalej. W środkowym wjeździe znajdowało się coś w rodzaju ganku. Na tym ganku, u góry siedziała partyzantka. Gdy zauważono, że w pobliżu ukazało się NKWD powstańcy otworzyli ogień i wielu zostało zabitych, bo sowieci byli widoczni, jak na dłoni. Jednakże NKWD wdarło się do środka, a jeden z ich

polazł po drabinie do akowców. Padł strzał i atakujący spadł. Dalsi jednak wdarli się bez trudu, gdyż zabrakło amunicji, oprócz jednego granatu, który rzucony, nie wybuchł, enkawudziści ściągnęli z ganku trzech zabitych i jednego rannego. Część uciekła w żyto, ale jednego złapali. Zabitych i rannych wożono potem po wsiach dla rozpoznawania. Dziwiono się bardzo, że partyzanci mają dobrą broń".

Ta krótka relacja wzmogła moje zainteresowanie Pobojewem. Sięgnąłem do źródeł.

Dwa różne majątki, o nazwie Pobojewo, leżały w bliskiej od siebie odległości, 15 kilometrów na północny-wschód od Wołkowyska i w okresie międzywojennym należały do różnych właścicieli, to jest Ostrowskich i Kalenkiewiczów.

Była to dawna włość wielkoksiążęca, z której Kazimierz Jagiellończyk kazał wypłacać dziesięciny snopowe na wyposażenie kościoła w Wołkowysku. W końcu wieku XV była w posiadaniu Konstantego Kruszyńskiego, skarbnika smoleńskiego, ale że był to majątek mały i nie zaspakajał jego ambicji, więc się zrzekł i otrzymał większy, Dubno nad Niemnem.

W Metryce Litewskiej, pod datą 7 kwietnia 1503 roku, znajdujemy zapis Aleksandra Jagiellończyka:

„Bił nam czołem Iwan Siemionowicz Gliński i oznajmił nam, że wszystkie jego dobra nieprzyjaciel nasz, wielki kniaź moskiewski, zabrał i nie ma teraz gdzie się podziać wraz z żoną i dziećmi. I bił nam czołem, abyśmy się nad nim ulitowali i jakieś środki do życia zaopatrzyli, więc my mu dwór nasz, Pobojewo, w powiecie wolkowyskim, który pierwej daliśmy skarbnikowi smoleńskiemu, kniaziowi Konstantemu Kruszyńskiemu z tym wszystkim, co kniaź Konstanty trzymał, z czeladzią niewolną, z żytem i inwentarzem żywym i ludźmi osiadłymi, z paszniami i polami uprawnymi, jeziorami i daninami pieniężnymi, miodowymi i ze wszystkim tym, jak ten dwór był przez jego trzymany do tego czasu, aż dobra jego od nieprzyjaciela naszego oczyścim".

Kniaź Iwan pozostawił liczne potomstwo, bo sześciu synów: Michajłę, Sidora, Wasila, Semena, Iwana i Jurego. W 1505 roku kniaź Michał Iwanowicz Gliński zeznał przed królem Aleksandrem Jagiellończkiem, że jest ich sześcioro braci i żyć z czego z Pobojewa nie mają. Wobec tego zeznania, dał im król do Pobojewa dziesięciu służebnych ludzi.

Jeszcze w 1567 roku Pobojewo, prawie w całości, należało do Glińskich, bowiem na popisie wojska Wielkiego Księstwa Litewskiego stawali: Wasili Bohdanowicz Gliński, Aleksander Gliński, Michał Gliński, Bohdan Gliński, Aleksander Michajłowicz Gliński. Stawili oni z Pobojewa 3 konie i 1 draba.

W roku 1548 kniaź Semen Iwanowicz Gliński oskarżał swego bratanka o napad na dwór w Pobojewie.

W roku 1690 właścicielami Pobojewa byli: Nikodem Gliński, Jan Czartoszewski i Benedykt Skorobogaty. Jak wspomniałem wyżej, były dwa majątki o nazwie Pobojewo, leżące w bliskiej od siebie odległości. Mowa tu oczywiście o okresie

międzywojennym. Jeden należał do Ostrowskich, a drugi do Kalenkiewiczów.

Nie można się zorientować, do którego z tych majątków odnosi się notatka odnaleziona w *Tygodniku Wolkowyskim:*

„12 b.m. do majątku Pobojewo wjechały na dziedziniec dwa wozy z pijanym hałasem. Zaczęły się krzyki i gonitwa. Okazało się, że pijani poborowi wracający z Wołkowyska pokłócili się między sobą i gonili swego towarzysza, uzbrojeni w noże i kije. Zbity i zakrwawiony mężczyzna wpadł do domu właściciela majątku szukając schronienia, a za nim cała banda zaczęła dobijać do drzwi mieszkania i włazić po schodach. Młody człowiek zdołał umknąć przed niechybną śmiercią". Wobec paru takich niejasnych notatek, ograniczę się do Pobojewa, które było w posiadaniu Tadeusza Kalenkiewicza, cytując moich licznych korespondentów.

„Pobojewo - pisał swego czasu do mnie ksiądz Mianowski z Rohoźnicy - to majątek średniej wielkości.

Dawny dwór spalony został w latach 1919-1921, dokładnej daty nie pamiętam, a na jego miejscu zbudowano drewniany dom mieszkalny, na pagórku oraz budynki gospodarcze i mieszkania dla służby. O jeden kilometr w stronę wsi Podhruszany zalegał niewielki, dębowy las. Kościół w Rohoźnicy znajdował się w odległości pięciu kilometrów. Na terenie majątku, w odległości jednego kilometra od niego mieścił się murowany grobowiec, w kształcie rotundy, z niszami i grobami, które niestety, zostały splądrowane i sprofanowane. Reszty dokonał 1939 rok. Właściciele: Tadeusz Kalenkiewicz, lat 45, jego ślubna żona, Wanda z Bujnickich i ich dzieci. Syn zginął w powstaniu warszawskim. Córka, lat piętnaście wtedy mająca, podobno wyszła za kogoś w USA. Pani Wandy rodzice, mamy siostra, czyli ciocia pani Wandy, do września 1939 roku, mieszkali w Pobojewie. Uszli pogromu. Pan Tadeusz, podobno gdzieś na Pomorzu pracował w rolnictwie. Pani Wanda śpiewała w Polskim Radio. Od września 1939 roku w Bułgarii. Rodzice i ciocia pani Wandzi w Bułgarii. Rodzice i ciocia pani Wandzi zamieszkiwali w Wołkowysku. Odwiedzałem ich i coś nie coś, pomagałem. Jaki ich los dalszy, nie wiem, gdyż po powrocie moim z łagru, nie zastałem. Dom prowadzono kulturalnie i gościnnie. Pan Tadeusz gospodarował dobrze. Sam osobiście kierował. Siostra pana Tadeusza była właścicielką majątku koło Krzemienicy Dolnej, ale nazwy nie jestem pewny. Była też tam i gorzelnia. Ojciec pana Tadeusza, czy też dziad, był podobno zamordowany w 1919 roku".

Według relacji pisemnej Marii Pruszyńskiej z Rohoźnicy, żony autora książki *Droga wiodła przez Narwik,* w dworku Kalenkiewiczów w Pobojewie, przechowywano ponad sto lat portrety królów polskich Bacciarellego. Do pierwszej wojny światowej był piękny, staropolski dworek.

Cegiełkę do wspomnień dokłada Czesław Wasilewicz:

„Pałac W Pobojewie był drewniany. Pobojewo odwiedziłem kilka razy, a nawet kąpałem się tam w stawie. W lasku, na wzgórzu, znajdował się grobowiec rodzinny w kształcie podkowy. Z jednej strony wchodziło się schodami na górę, gdzie znajdował się krzyż i posadzony dookoła bez. Wokół grobowca, na zewnątrz,

były otwory, które nazywano pieczarami, gdzie były ustawione trumny, a później zamurowane, informujące kto i gdzie się znajduje. Grobowiec był wzniesiony z czerwonej cegły. W tym grobowcu chowano tylko najbliższą rodzinę pana Kalenkiewicza. Gdy przyszli sowieci rozpoczęła się dewastacja. Szukano złota".

Do wspomnień pozyskałem Benedykta Połubka, pochodzącego z sąsiednich Widziejek. W listach pisanych do mnie, ilustrowanych szkicami, donosił:

„Opiszę, co wiem o Pobojewie. Majątek Pobojewo jest położony między wsiami: Wojdziewicze, Mosiewicze i Zadejki. Pamiętam, że był tam piękny las, 200 letnie dęby, stare barcie. Nie był to duży las. Ciągnął się od majątku do wsi Grycki. Pilnował go i był rządcą Wawrzyniec, chyba Rogacewicz. Służył Kalenkiewiczowi i znała go cała okolica z tego, że nie wolno było przejść przez łąkę. Psa zastrzelił, gdy ten biegł do lasu, ale wielkiej krzywdy nigdy nie zrobił. Karę odbył w lasach archangielskich i wrócił do Grycek. Zaciekawię pana tym, że pomnik, który stał na północ od majątku, przy drodze do Wojdziewicz z Grycek, od majątku 500 metrów, duży, czerwony, z figurą i żeliwną tablicą, o wymiarach 50 na 70 centymetrów. Na tablicy był trudno czytelny napis dużymi literami i tylko z trudnością dawało się odczytać „POBOSIWO" i cyfrę 1700. Rozebrali go miejscowi komuniści. Widziałem to i zabrałem kawałek figury. Wysoki był na 10 metrów".

Starsi ludzie płakali z żalu, bo modlili się pod nim. Majątek Pobojewo był ładnie położony. W środku dziedzińca stał piękny gołębnik na słupie dębowym, malowany różnymi kolorami. Dom otaczały stare drzewa. Zdobił go ganek z filarami, a gonty pokrywały dach. Od wschodu znajdowały się niskie, budowane z kamieni polnych, budynki gospodarcze. Z lewej strony znajdują się czworaki dla służby. Dalej na wschód w kierunku Leonowicz, 500 metrów od majątku, stała stodoła, także z kamieni polnych, kryta gontem. Tam to, jak pisał Wasilewicz, zginęło kilku partyzantów AK, którzy bronili się w ganku nad drzwiami. Był tam w pobliżu cmentarz i grobowiec rodziny dziedziców, okrągły, murowany z cegieł, wysoki na 2,5 m., z pieczarami. Średnica tego grobowca wynosiła 15 metrów. Grobowiec był bardzo ładny i leżał na niewielkim wzniesieniu. W środku był pomnik z napisem i dużym krzyżem, bzami i niskimi kwiatami. Prowadziły tam schody z cegieł. W pieczarach znajdowały się trumny z napisami na żeliwnych płytach. Wokół stary las ze skłonem na zachód, gdzie stały kamienie z prastarych mogił.

Tyle wiadomości o Pobojewie dało się zgromadzić, czyli jak mówili Rzymianie „ad perpetuam rei memoriał", czyli na wieczną rzeczy pamiątkę, bo Pobojewo już nie istnieje.

Magazyn Polski nr 1/2005

Źródła:

1. Akty Litewskiej Mietryki. Tom I.
2. J. Kurczewski, Biskupstwo Wileńskie.
3. A. Boniecki, Poczet rodów Wielkiego Księstwa Litewskiego. Warszawa 1887.
4. Russkaja Istoriczieskaja Bibliotieka
5. S. Krakowski, Powiat wołkowyski w końcu wieku XVII.
6. Dziennik Urzędowy Województwa Białostockiego.
7. Listy Pruszyńskiej do autora.
8. Listy ks. Mianowskiego do autora.
9. Listy Wasilewicza do autora.
10. Listy Połubka do autora.

PODBŁOCIE

Nazywano tę wieś dawniej szumią i wesołą, de jej nazwa ani położenie do tego nie upoważniały. Leżała bowiem na podbłociu, czyli w pobliżu bagien, którymi rzeki Zelwianka, dopływ Niemna na znacznej swojej długości się omotała. Przed pierwszą wojną światową wieś Podbłocie leżała w gminie Samorowicze powiatu wołkowyskiego, 17 wiorst od Piasek, 22 od Wołkowyska i 84 od Grodna. W okresie międzywojennym należała już do gminy Krzemienicą, powiatu wołkowyskiego i liczyła 1295 mieszkańców, 250 domów, trzech kowaili (Łapicz, Mutorczyk i Wierzbowski), dwa sklepy z artykułami spożywczymi (Kądziołko, Pomeranc) oraz wiatrak (Fejlor). Była też duża szkoła.

Po drugiej stronie rzeki Zelwianki Podbłocie miało za sąsiada wieś o nazwie Złociejewo, ale kontakty między tymi wsiami były znikome. Tam już był inny powiat a za czasów okupacji niemieckiej, Ostland. Buszowały tam różne partyzantki, radzieckie i polskie a nawet różne rabunkowe bandy. Dla takich band Zelwianka nie stanowiła przeszkód. Krew płynęła po obu stronach. O takiej pewnej bandzie wspomina Bronisław Chwieduk, pseudonim Cietrzew.

„Jednego razu - relacjonuje - przyszła do mnie depesza, że na terenie Podbłocia jest banda w polskich mundurach, która grabi ludzi podając się za partyzantów. A więc złapaliśmy ich i odjęliśmy im broń. Wleliśmy dobrze i odstawiliśmy do wiadomości narodu. Podbłocie, to była duża wieś, miała 187 domów i różni ludzie tam żyli i komuniści i „strebki". Strebki, to żołnierze należący do tzw. „strebicielnych otriadów", czyli oddziałów stworzonych przez władze sowieckie, głównie spośród byłych partyzantów oraz miejscowych aktywistów dla tropienia i likwidacji polskiego ruchu oporu".

Wieś Podbłocie należała kiedyś do klasztoru Brygidek w Grodnie, która im się dostała wraz z Krzemienicą z rąk Aleksandry Wiesiołowskiej, żony Krzysztofa Wiesiołowskiego właściciela Białegostoku. Nie były to jednak czasy dla wsi wesołe. Pełnomocnicy Brygidek cisnęli poddanych mocno tak, że zdarzały się

ucieczki chłopów ze wsi do innych panów. I tak w 1760 roku odnotowano ucieczkę chłopów pańszczyźnianych, Antoniego i Kazimierza Hrynkiewiczów.

Wieś rzeczywiście była „szumna", nieugięta a nawet buntownicza, o czym świadczą następujące wydarzenia.

W 1910-1912 roku chłopi zbuntowali się przeciwko zajęcia ich mienia za zaległe podatki. Rewoltę uspokoiło przysłanie 40 strażników. Nie znamy bliższych szczegółów.

W latach międzywojennych wielkie zamieszania we wsi powstały na tle religijnym. W1924 roku zorganizowano w Rohoźnicy parafię katolicką a w 1928 wybudowano kościół duży z kamienia polnego w stylu bazylikowym z jedną zakrystią a pod nią piwnicą przygotowaną na grób Oskara Meysztowicza, jednego z fundatorów świątyni, którego we wrześniu 1939 roku bestialsko zamordowali bandyci ze wsi Konna i Krzywokonna. Parafia powstała ze lwiej części parafii krzemienickiej i po trosze z parafii piaskowskiej i strubnickiej. Obejmowała 4260 wiernych ale praktycznie tylko 3000, gdyż bardzo duża wieś Podbłocie zbuntowała się i nie miała łączności z Rohoźnicą. Na ten fakt złożyły się fatalna droga do Rohoźnicy, przy dobrej drodze do Krzemienicy, chociaż do obu tych miejscowości było po 7 kilometrów. Nie bez znaczenia były też składki parafian na dokończenie budowy świątyni w Rohoźnicy. Już wszyscy z Podbłocia zgodzili się należeć do nowej parafii, gdyż ówczesny proboszcz krzemienicki, ks. Cyraski kategorycznie odmówił ich obsługiwania, ale po krótkim czasie jego następca, ks. Malinowski ich przyjął. Na tle ostrych starć działacz lewicowy doradził i pomógł sprowadzić ks. Janika, duchownego z kościoła narodowego. W zamęcie tym zabito mieszkańca Podbłocia, Antoniego Hryszkiewicza. Sprawcy zabójstwa: Cezary Komiankiewicz i Jan Kupijańczyk otrzymali po 8 lat więzienia.

Z czasem ks. Janik zaczął się hucznie prowadzić a z pobudowanej ad hoc kapliczki zaczął wyrzucać obrazy, mieszkańcy zaczęli się wycofywać. Opuścił ich ożeniwszy się z córką pastora ewangelickiego z Izabelina. Tak wygasła „schizma Podbłocka".

Tę samą sprawę poruszył też *Tygodnik Wołkowyski* następująco.

„Na tle zatargu wynikłego w maju 1930 roku w związku z przydzieleniem wsi Podbłocie do parafii rohoźnickiej, powstała na terenie gminy krzemienickiej sekta Polskiego Kościoła Narodowego, na czele którego stanął ksiądz narodowy Józef Janik. W październiku b.r. ksiądz narodowy Janik, zdecydował się przejść na łono kościoła ewangelickiego i jest obecnie diakonem parafii tegoż kościoła. Wraz z księdzem Janikiem przeszło na kalwinizm 7 rodzin z Podbłocia, zaś pozostali członkowie wrócili na łono kościoła rzymsko-katolickiego.

Przeciwko tej notatce zabrał głos w tymże *Tygodniku* i ksiądz Janik.

„W dziale *Kronika* na stronie 8 nr 2 *Tygodnika Wołkowyskiego* w notatce pod tytułem *Likwidacja sekty* podane zostały niezgodne z rzeczywistością fakty. Proszę przeto pana Redaktora o podanie, zgodnie z przepisami prasowymi sprostowań.

1. Nieprawdą jest, jakobym ja w miesiącu październiku b.r. zdecydował się przejść na łono kościoła ewangelicko-reformowanego sam. Prawdą jest natomiast, że na ogólnym zebraniu w miesiącu maju, postanowiono udać się pod opiekę prawną któregoś z wyznań prawnie uznawanych w Państwie Polskim, by przez to uzyskać uprawomocnienie naszych metryk i nie być ciągle wystawionym na prześladowanie przez kler papieski. Ponieważ kościół ewangelicko-reformowany, jako kościół rdzennie polski, najbardziej nam, jako Polakom odpowiada, przeto do TEGO kościoła udaliśmy się.

2. Nieprawdą jest jakoby tylko siedem rodzin wraz ze mną przeszło do tego kościoła a reszta miała wrócić na łono kościoła rzymsko-katolickiego. Prawdą jest natomiast, że na łono kościoła ewangelicko-reformowanego przeszła wraz ze mną cała narodowa parafia oprócz pięciu rodzin: Jana Wołodźki, Józefa Wołodźki, Jana Iwanowicza, Adama Zamołojki i Michała Szota, którzy to wrócili do kościoła rzymsko-katolickiego. Z wyżej wymienionych rodzin tylko Jan Wołodźko był członkiem kościoła narodowego".

Pewne uzupełnienie tych wypadków podaje jeszcze *Tygodnik Wołkowyski* nr 6/1932.

„Najsurowszy wyrok zapadł w sprawie o zabójstwo Antoniego Hryszkiewicza z Podbłocia na tle porachunków religijnych między wyznawcami kościoła rzymsko-katolickiego a narodowego. Sprawcy, Kazimierz Jewtuch, Cezary Komiankiewicz i Jan Kupijańczyk, otrzymali po 8 lat więzienia".

A oto co o tych wypadkach zawiadamia w relacji pisemnej Mianowski, były proboszcz parafii rohoźnickiej.

„Na terenie Podbłocia była duża szkoła, ale to sektor parafii Krzemienicą. Odnośnie duchownego Janika, który przybył do Podbłocia sprowadzony przez pewnego społecznika o poglądach lewicowych w czasie, gdy ta wielka wieś (250 rodzin) buntowała się, nie chcąc należeć do nowoutworzonej parafii Rohoźnica. Ten ks. Janik był jakoby duchownym kościoła narodowego czy też innej sekty i w początkach wielu ludzi pociągnął za sobą, ale gdy zaczął ze swej kaplicy obrazy wyrzucać a później okazywać swe kawalerskie uczucia, ludzie zaczęli się odwracać i ostatecznie ks. Janik ożenił się z córką duchownego protestanckiego z Izabelina i wyniósł się z Podbłocia i ten czar religijny wygasł. Kaplica spalona została wojną. W swoim apogeum zamętu takie były tarcia, że aż jednego mężczyznę zabito. O tych tarciach słyszałem tylko, bo gdym objął parafię, to już gasło wszystko. Janika tylko raz przelotem widziałem w Wołkowysku. Katolicy dumni byli z tego zatargu religijnego a ksiądz Bańkowski Antoni, na owy czas katolicki wikary w Krzemienicy, pędził tego Janika przez całą Krzemienice. Gdy objąłem Rohoźnicę, to z Podbłocia przyznawało się do parafii Rohoźnica tylko 10 rodzin, ale do chorych to ich bardzo wielu do mnie przyjeżdżało, bo tam duża praca a tu tylko plus-minus 3000. Zawsze jechałem i zawsze im udowadniałem, że są nieposłuszni władzy duchownej (po innemu to się zwie „warchoły") ale to nic nie skutkowało. Do chorych mnie wozili i znać poza tym nie chcieli".

Ale księża też byli wojowniczy. „Nie pamiętam - wspomina dalej ks. Mianowski - czym doniósł o incydencie takim. W roku około 1938 urządził „Strzelec" ćwiczenia na terenie Podbłocia, o cztery kilometry od Rohoźnicy i tyleż od Krzemienicy w niedzielę. Ćwiczenia przerwano, ze strachu pewnie, o godzinie jedenastej. Po takim fakcie my: 3 księży, czyli proboszczowie zainteresowani bezpośrednio, to jest ks. Borkowski Benedykt z Krzemienicy, ks. Bolesław Helmer z Piasek i ja oburzeni, wydelegowali mnie do starosty powiatowego w Wołkowysku, pana Malinowskiego, zdaje się ziemianina z Lepalewszczyzny. Ja postawiłem sprawę po męsku.

- Panie starosto, czy pan wie co się u pana dzieje?

- A co takiego?

Ja mu obiektywnie przedstawiłem i w konkluzji, że jeżeli to się powtórzy, to my sami „Strzelca" zlikwidujemy.

- O! Nie można „Strzelca" zlikwidować !

- A kościół katolicki, to można?

Natychmiast wezwał on komendanta „Strzelca" i mu sprawę przedstawia. Wtedy komendant mówi.

- A przecież o jedenastej, kiedy nabożeństwa interesujące strzelców w kościołach się rozpoczynały, pracę przerwałem.

- A jakim to cudem chłopcy z Podbłocia do swych kościołów w ciągu jednej minuty się dobiorą? A dlaczego to koniecznie w niedzielę się urządziło?

- A bo w powszednie dni oni są zapracowani.

- A gdzie i jaką robotą?

- A wyrębem lasu.

- Widzę, że pan albo zupełnie nie zna terenu (bo akurat ten teren był bezleśny), albo puszczono dym w oczy. Wobec tego panie starosto, zwracam się w imieniu trzech księży proboszczów, jako do gospodarza terenu, o zabezpieczenie katolikom tych parafii spokojne odbywanie praktyki katolickiej w święta obowiązujące i niedziele.

Skutek interwencji - komendant Strzelca został zwolniony i przyszedł do księdza dziekana Jerzego Żamejcia o pomoc w życiu". Opiekunem „Strzelca" był duchowny Janik.

„Strzelec" jednak wychował dobrych patriotów i bojowych ludzi. To tutaj, w gminie Krzemienickiej, a więc w Podbłociu mieścił się I pluton AK, podzielony na cztery drużyny po 24 osób każda, pod dowództwem Bronisława Wieliczki, pseudonim „Odrowąż". To stąd wychodziły partyzantki polskie: Żagiew, Reduta, BOA, Wicher, które zostały później rozgromione z wyjątkiem BOA, której udało się przejść linię Curzona. Reduta została rozbita pod Porozowem, tracąc na 40 partyzantów 6-11 ludzi, w tym dowódcę i zastępcę.

Z wielu partyzantek na terenie gminy Krzemienickiej należy wymienić likwidacje: przewodniczącego sielsowietu w Samorowiczach, radnego deputata sielsowietu w Krzemienicy, dwóch strebków w Lachowiczach, oficera bezpieczeń-

stwa w Rohoźnicy, szpicla i radnego sielsowietu w Podbłociu, drużyny strebków dowodzonych przez Szpaka, koło wsi Parfienowicz, oficera bezpieczeństwa Tamkowa, a na kolonii Szaulicze grupy agentów, którymi kierował lejtnant Czorny.

Z posługą duchową do partyzantów dojeżdżał ks. z Rohoźnicy, Mianowski, który nie był zadowolony z podopiecznych, którzy wiedząc, że ksiądz przyjedzie byli pijani. - > ;'¥' -

Zorganizowany ruch oporu na terenie gminy Krzemienicą, początkowo jako AK, później jako samoobrona AKO (Armia Krajowa Obywatelska) przetrwał do 1956 roku. Ostatnim partyzantem, który się ujawnił był Stanisław Molik ps. Jeleń, który wiosną 1957 roku z zapakowanym automatem w walizce zgłosił się w Grodnie w NKWD. Wypuszczono go i dano zaświadczenie. Z trudem dostał pracę w Wołkowysku. Z oporami dostał dokument na wyjazd do Polski. Zamieszkał w Wałbrzychu.

Druga wojna światowa rozproszyła ludzi po całym świecie. Urodzony w Podbłociu ppor. łącznościowy Władysław Siakiewicz (Cichociemny), w marcu 1942 roku wstąpił w ZSRR do Armii Polskiej. W Wielkiej Brytanii przeszkolony w radiotelegrafii, zginął nad Danią w nocy z 14/15 IX 1943 roku w czasie lotu do Polski. Odznaczony czterokrotnie Krzyżem Walecznych. Z Podbłocia pochodziła też Jadwiga Kolendo, urodzona tu w 1925 roku. Członkini Pomocniczej Służby Kobiet w Armii Polskiej w ZSRR, zmarła i pochowana w Guzar w 1942 roku. Wielu repatriowało się do Polski, na przykład Michał Sawczak, zesłany w 1940 roku do ZSRR, do miasta Karabasz. Wieś się wyludniła. Młodzi odeszli do miasta a starzy dogorywają na miejscu.

A oto notatka z ostatnich lat jaką zamieścił *Głos nad Niemnem*.

„Wieś Podbłocie była kiedyś szumną i wesołą, żyło w niej ponad tysiąc mieszkańców. Obecnie pozostali tylko starsi ludzie, gdyż młodzi wynieśli się do miasta. Do kościoła znajdującego się we wsi Krzemienicą mamy 8 kilometrów. Świątynia ta jest pięknie położona na malowniczym wzgórzu. Zimą trudno nam dojść na modlitwę, ale dzięki naszemu niestrudzonemu księdzu Maciejowi możemy w zimowe święta co roku uczestniczyć we Mszy Św., odprawianej w tutejszym wiejskim klubie. Na przyjazd księdza musimy mieć pozwolenie od władzy rejonowej. Otrzymujemy je dzięki staraniom Jana Kowalewicza i przewodniczącego rejonu. Z radością napełniamy klub radosną modlitwą. W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia nasz klub był licznie wypełniony przez wiernych. Chcielibyśmy wyrazić serdeczne podziękowanie za trud pracy apostolskiej naszemu drogiemu duszpasterzowi ks. Maciejowi Maciejewskiemu na stronach tej drogiej dla nas Polaków gazety".

Źródła:

1. Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego. Warszawa 1880-1902.
2. Księga adresowa z 1928 roku.
3. Pomniki historii i kultury Białorusi., 1976, nr 4.
4. Waukawyszczyna, s. 150. ,,
5. Tygodnik Wołkowyski. 1932;$ir15.
6. Tygodniki Wołkowyski. 1932, nr 2.
7. List ks. Mianowskiego w archiwum autora.
8. Europa nieprowincjonalna. Warszawa 1999, s. 810,813, 815.
9. J. Tucholski. Cichociemni. Warszawa 1988, s. 154,155,410.
10. Niwa. 1996, nr 27.
11. Głos nad Niemnem. 1999, nr 2.
12. Pod Podbłociem w dniu 17.04.1945 r. nastąpiło starcie partyzantki polskiej Żagiew, pod dowództwem chorążego Piotrowskiego „Dziadka" z wojskiem sowieckim. (Wojskowy Przegląd Historyczny. 1994, nr 4).

SKARBIEC

„Tylko rzeczka Zelwianka była taka sama, czysta i spokojna. Idąc jej brzegiem spotkałem sędziwego chłopa, który dowiedziawszy się kim ja jestem, zapytał:

- A stryj Władyczański przyjechał? To dobry człowiek. Ja u niego krowy pasł!"

W taki to sposób Janusz Władyczański, wnuk Manuela, spotkał się z ruinami Skarbca, majątku, z którym się rozstał w dzieciństwie. Miał przed sobą trzy stopnie schodów, trzy zapadłe kamienne piwnice i resztki przyziemnych murów pałacu, przykrytych falującymi na wietrze pokrzywami.

Rodzina Zarembów-Władyczańskich, pieczętująca się herbem przedstawiającym koronę i skrzydło, pochodziła z dalekich kresów, gdzie już w XIV wieku zamieszkiwała. W powiecie kopyskim na Witebszczyźnie od miejscowego Władyczyna nazwisko przybrała. Z nadesłanej mi kopii drzewa genealogicznego z XVIII wieku wynika, że jeden z przedstawicieli tego rodu uczestniczył w wy-

prawie Stefana Batorego by uśmierzyć bunt mieszczan gdańskich a także połockich.

W pierwszej połowie XIX wieku jedna z gałęzi rodu Władyczańskich osiedliła się w powiecie wołkowyskim i mocno zapuściła tutaj korzenie kupując z klucza podorowskiego, dawniej Grabowskich, folwark Skarbiec. Według Kazimierza Brońca był to folwark przynależny dodótóKoniuchy.

Tu w dworkach Skarbnik i Sadelnikach przyszły na świat dzieci Tadeusza Władyczańskiego: Aleksander, Teofil, Ignacy, Antoni, Józef (pradziadek autora wspomnień) oraz Wiktoria, prawie wszyscy uczestnicy powstania w 1863 roku. Pamięć o nich ocalił od zapomnienia Janusz Władyczański, dlatego mogę o nich parę słów wspomnieć.

W chwili wybuchu powstania Teofil Władyczański był już absolwentem Sztabu Generalnego w Petersburgu w stopniu kapitana i został wysłany na Kaukaz, gdzie awansował na podpułkownika. Podał się jednak do dymisji i objął komendę nad oddziałem powstańczym w grodzieńskiem. Po przegranej bitwie pod Waliłami, przyprowadził do ostępu leśnego Budziska 120 ochotników z powiatu sokolskiego. Wezwany następnie przez Rząd Narodowy, objął dowództwo w oddziale w okolicach Krakowa (powiat lelowski). Tu połączone oddziały powstańcze pod dowództwem Zygmunta Chmieleńskiego stoczyły bitwę pod Mielchowem, gdzie Teofil zginął w dniu 30 września 1863 roku. Teofil Władyczański był człowiekiem rzadkich przymiotów. Cichy i skromny w obejściu, pełen prostoty i skromności. Czyn i energię ważył ponad wszystko.

Ignacego Władyczańskiego powstanie zastało w Twierdzy Brzeskiej jako inżyniera wojskowego. Losy jego znane są z syberyjskich listów pisanych przez jego kolegę, Józefa Kalinowskiego, również oficera z Brześcia, późniejszego zakonnika o. Rafała, beatyfikowanego przez Jana Pawła II w czasie jego drugiej pielgrzymki do Polski. Kalinowski i Władyczański ciągnęli losy, ponieważ jeden z nich miał poprowadzić rosyjski oddział przeciwko partii Romana Rogińskiego. Traf chciał, że musiał to zrobić Ignacy. Na szczęście zdarzyło się, że była to tylko drobna potyczka. Kula strąciła tylko czapkę Ignacemu. On sam i jego kolega przeszli później do powstania. Obaj później znaleźli się na zesłaniu w Ussolu. Ignacy zwolniony wcześniej (około 1868) przebywał w Warszawie, gdzie pomagał dawnym kolegom i ich rodzinom.

Następny powstaniec, Antoni, student Uniwersytetu, na wieść o powstaniu przerwał studia i włączył się jako oficer do walk oddziału Gustawa Strawińskiego, operującego w powiecie Słonimskim i częściowo w wołkowyskim. Ranny w boju pod Hutą Michalińską w powiecie Słonimskim zmarł z ran w czerwcu 1863 roku.

Najdłużej utrzymał się na powstańczym szlaku Józef Władyczański. Jako gimnazjalista poszedł z wieloma kolegami do lasu i znalazł się w oddziale Kazimierza Kobylińskiego, znanej postaci grodzieńskiego powstania. Mianowany porucznikiem dowodził plutonem, który składał się z samych Białostoczan. W końcu wrze-

śnią trzeba było opuścić Ziemię Sokolską, Białostocką i Bielską. Musieli przejść na Lubelszczyznę na początku mroźnego stycznia 1864 roku. Pod Uścimowem pluton Józefa Władyczańskiego wstrzymywał natarcie rosyjskie, aby umożliwić odwrót własnej piechocie. Puścił wszystkich dwójkami naprzód a sam wycofał się na końcu. Udało się ujść pogoni. Józef opuścił Królestwo Polskie i znalazł się w Paryżu. Tam ukończył Szkołę Inżynierii. Po latach wrócił do rodzinnego Skarbca, gdzie założył rodzinę. Po dłuższej chorobie, leczony w Warszawie zmarł tam w 1889 roku i pochowany został na Powązkach.

Tragicznie potoczyły się losy Wiktorii. Miała 18 lat, gdy osadzono ją w więzieniu grodzieńskim za udział w powstaniu. Tam spotkała Ludwika Pieńkowskiego, komisarza powstańczego na powiat bielski, skazanego na dożywotnie zesłanie. Pieńkowski poznawszy tam Władyczańską, zakochał się w niej z wzajemnością. Podali prośbę o połączenie się. Murawiew zezwolił. Wzięli ślub wwiezieniu (13.04.1867). Byli zesłani na Syberię. „W czasie jednego przesłuchania Murawiew kopnął dziadka już powalonego na ziemię i trafił w zegarek, który kosztem dna, szkła i zgniecionej koperty sparował kopnięcie". Zegarek zachował się do dzisiaj u prawnuka Jana w Londynie.

Wiktoria i Ludwik utrzymywali się na zesłaniu dzięki własnej pomysłowości i pracy. On malował obrazki i wyrabiał biżuterie z chleba. Po ośmiu latach, dzięki staraniom rodziny z Petersburga, oboje wrócili - ona do Dulebowa, on do Warszawy, gdzie go skierowano na czasowe zamieszkanie. Dopiero po czterech latach mógł wrócić do domu. Mieli czterech synów i dwie córki. Wiktoria zmarła w wieku 49 lat a Ludwik 11 lat później. Oboje spoczywają na dulebowskim cmentarzu.

Józef, po powrocie z emigracji ożenił się z Aliną de Lippe Lipską. Z tego małżeństwa urodził się syn Miłosław, który po zawarciu związku małżeńskiego z Antoniną Nowicką, bogatą ziemianką z powiatu baranowickiego, zlecił budowę pałacyku na miejscu starego, drewnianego dworku w Skarbcu, wileńskiemu budowniczemu Łubie. Budowę ukończono około 1900 roku.

„W latach trzydziestych XX wieku - pisze Janusz - większość pomieszczeń pokryte było tapetami. Pokoje ogrzewano kaflowymi piecami o zwieńczonych dekoracyjnie szczytach i kominkami a oświetlano częściowo lampami elektrycznymi i naftowymi. W ogromnych rozmiarach salonie, we frontowym trakcie budynku, wisiało duże, około 2 metrów kryształowe lustro, oprawione w złotą ramę, lustro było owalne a rama rzeźbiona. Po obu stronach lustra, pejzaże z dworkami i portrety rodzinne. Pod ścianami stały dwie kanapy z oparciami obite czerwonym aksamitem. Nieopodal kaflowego pieca, w prawym rogu ustawiony był stolik do gry z dwoma fotelami i krzesłami w stylu Ludwika XV. Na ścianie głównej między oknami wisiały obrazy, głównie pejzaże. Na prawej, bocznej ścianie wisiały olejne portrety Tadeusza Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego. Pod oknami stały rzędem w drewnianych skrzyniach kwiaty, agawy i kaktusy. Był tu również fotel bujany, szczególnie lubiany przez dziewczęta. Salon posiadał dekoracje w postaci sztukaterii obiegających sufit.

W pokoju przyległym do salonu zwanym radiowym, a po roku 1927 stołowym, przytulniejszym niż duża jadalnia, stał fortepian a po środku prostokątny duży stół z dwoma fotelami w stylu Ludwika XVI. Były też krzesła. Przy oknie, na stoliku stało radio. W dużej bibliotece obok hallu, oświetlonej dużym naftowym żyrandolem i świecznikami stały duże dębowe szafy mieszczące księgozbiór. Znajdowało się tu pod opieką dziadka Miłosława, syna Józefa, archiwum rodzinne. W pokoju chłopców, na wełnianym gobelinie wisiały kolejno: dubeltówka, stara szabla, stary pistolet z drugiej połowy XIX wieku. W wielkiej jadalni z naftowym żyrandolem stał ciężki dębowy stół na 20-25 osób z krzesłami z siatkowym oparciem oraz toczonymi przednimi nóżkami, na głównej ścianie wisiał duży krzyż i olejne obrazy. W prawym rogu stał kaflowy piec. W ścianę głównego korytarza, biegnącego środkiem głównego skrzydła, wbudowane były częściowo oszklone szafy. Rzadko je otwierano a klucz miała tylko babka Antonina. W szafach mieściły się srebra rodzinne, brązy, kryształy, szklane i ceramiczne kufle, zdobione emalią i grawerunkami. Były i moździerze z ozdobnymi uchwytami".

W latach trzydziestych XX wieku majątek Skarbiec obejmował 650 ha gruntów. Oprócz roli gospodarczej odgrywał też rolę kulturalną. Księgozbiór służył nie tylko domownikom, ale i polskiej szkole we wsi Koniuczy. W dużym salonie organizowano przedstawienia o charakterze regionalnym i rocznicowym. W latach trzydziestych urządzono tutaj wystawę dywanów, kilimów i gobelinów. Często urządzano wieczory muzyczne. Skarbiec odwiedził w tym czasie Aleksander Wielhorski - kompozytor, pianista, pedagog i znany krytyk muzyczny zaprzyjaźniony z Antoniną Władyczariską w czasie jej studiów muzycznych, a także Ignacy Pieńkowski, profesor Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych.

„W okresie międzywojennym właścicielem Skarbca był mój dziadek, Miłosław. - pisze Janusz - Do Władyczańskich należały także majątki leżące w sąsiedztwie: Sedelniki i Dubowo a sąsiadami Skarbca byli Broniec-Koniuchy, Pochwie - Podorosk (tam się właśnie urodziłem), Niemczynowiczowie i zaściankowa szlachta. Dziadek Miłosław był przez pewien czas dyrektorem Banku w Wołkowysku. Niedaleko Skarbca, w Dubowie był inny dwór Władyczańskich w 1935 roku we władaniu Wacławy Konieczny. Tu urodził się pradziadek, dziad i ojciec Janusza. Modrzewiowe gniazdo rodzinne nie przetrwało. W latach 50 dwór rozebrano. Anna Siewoszko prosiła: - Dajcie mi pomieszkać. Miejscowy predsiedaciel odparł: - Staroje rozruszym, nowoje postroim. Dziś Anna Siewoszko mieszka w walącym się domu, „dwojaku", który zbudowano na miejscu rozebranego dworu".

Nadszedł wrzesień 1939 roku. W Skarbcu kwaterowała część sztabu sowieckiego. Dziadka Miłosława, jego brata stryjecznego Emanuela i okolicznych ziemian: Topczewskiego, Stockiego, Pochwica, Sieheniów (całą rodzinę prowadzono demonstracyjnie pod bagnetami) wywieziono w głąb Rosji.

W 1943 roku kwaterowali już tu Niemcy, nękani przez miejscową partyzantkę. Rozpoczęli rozbiórkę pałacyku w Skarbcu. Ze skarbieckiej cegły zbudowano

w gminie Podorosk siedzibę amtskomisarza w Podorosku. Część materiału rozkradli miejscowi chłopi. Pozostała długa kamienna obora i reszta zabudowań gospodarczych, które służą do dzisiaj kołchozowej fermie krów. Pozostała również nazwa Skarbiec.

Latem przez te tereny przetoczył się front wojenny. NKWD zajęło się ponownie wywózką Polaków. Mój ojciec, Stanisław, był wówczas nauczycielem w wiejskiej szkole w Koniuchach. Po nocnej rewizji NKWD-ziści zabrali ojca z osobistymi rzeczami i skazano go na 10 lat łagru. Znalazł się w Nowo-Iwanowce k/Murmańska.

Po ustaleniu nowej granicy Skarbiec znalazł się po stronie sowieckiej. Janusz z matką Michaliną, siostrą i dwuletnim bratem repatriowali się do Białegostoku. Stali się niejako potrójnymi kresowiakami (Witebszczyzna-Grodzieńszczyzna--Białostocczyzna). W kwietniu 1948 roku wrócił po czterech latach z Syberii Stanisław z nadszarpniętym zdrowiem. Niechętnie rozmawiał wówczas o przeszłości. W rodzinie nastał czas budowania nowego gniazda.

W czasach stalinowskich liczne ankiety dla sowietów Stanisław musiał wypełniać ostrożnie. A więc był, inteligentem pracującym, u swojej matki dopatrywał się pochodzenia chłopskiego, sam pracował na roli w gospodarstwie matki. Uznał nawet, że był prześladowany przez władze sanacyjne. Dodać należy, że takie ankiety liczyły nie raz po 34 lub 36 punktów oraz szereg podpunktów, do których należało dołączyć obszerny życiorys. Stanisław Władyczański miał w życiorysie „haczyk", że przebywał w łagrze na Syberii. Tuszował to sformułowaniami „przymusowo ewakuowany", „przebywałem na terytorium ZSRR, gdzie pracowałem w majątku państwowym".

W 1946 roku Janusz Władyczański miał 8 lat. Do Białegostoku przyjechał nie jako ziemianin, lecz biedujący repatriant.

„Od 1949 roku do matury byłem ministrantem u Świętego Rocha - pisze". Zarabiał muzykowaniem i grał w orkiestrze symfonicznej i na perkusji w klubie. W dzień studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Z tytułem magistra bębnił w „luxach" (LUX to restauracja w Grodnie). W 1983 miał już tego dość. Krótko udzielał korepetycji, dorabiał w szkole, jako nauczyciel muzyki i zbiera wszystko co dotyczy Skarbca, Dubowa, Sedelnik, Podoroska, kseruje stare mapy, prowadzi korespondencje, jest w związku ziemian.

A jak Władyczańskich wspominają współcześni:

„Żona Władyczańskiego, Antonina Nowicka przyniosła w posagu dużo pieniędzy. W latach 1930 i 1934 mieli 2 dorosłych synów i chromą córkę. Ojciec i synowie lubili kobiety i prowadzili hulaszczy tryb życia - wspomina Stanisław Hamanowicz, który sekretarzował w okolicznych gminach - toteż Skarbiec zubożał. Pamiętam, że w 1939 roku, gdy mieszkałem w Międzyrzeczu, zdarzyło się, że byłem na balu w Skarbcu. Było to porą zimową więc widoku pałacu nie zapamiętałem. Pamiętam, że bal odbywał się w pięknej sali, wysokiej i szerokiej".

Źródła:

1. Listy Janusza Władyczańskiego do autora w archiwum w Muzeum w Gorzowie.
2. R. Atanazy, Materiały do dziejów rezydencji. Warszawa 1986.
3. List Brońca o Skarbcu w archiwum autora.
4. Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego. Warszawa 1880-1902.
5. Mapa sztabowa z powiatem wołkowyskim.
6. Tygodnik Wołkowyski.
7. Drzewo genealogiczne rodu Władyczańskich.
8. Nowalecki. Pamiątka dla rodzin.
9. J. Władyczańsk, Skąd nasz ród. Broszurka.
10. J. Talski. Wywiad z J. Władyczańskim. W: Kurier Podlaski 1986 , nr 120.
11. S. Fiedorowicz, Powrót do Gniazda. W: Gazeta Współczesna 1992, nr 246.
12. A. Czesław, Powstańczym tropem. W: Kurier Podlaski 1986, nr 12.
13. Fotografie z daru J. Władyczańskiego.

ŚWIĘCICA

Dwie wsie Święcica Wielka i Mała przed pierwszą wojną światową leżały w gminie Tołoczmany a później Mścibów.

W 1505 roku miejscowość ta wspomniana jest w Metryce Litewskiej, pod datą 4 marca, kiedy to Hanna, żona Iwaszki Ziniewa, którego Tatarzy, będącego na służbie królewskiej zabili, dostała trzecią część Połąki i Święcicę. Resztę zatrzymali Tryznowie, przyznaną im wcześniej przez króla.

Tryznowie, to ród znany w powiecie wołkowyskim. Oni, między innymi, fundowali klasztor w pobliskim Jatwiesku. Oczywiście, chodzi tu o klasztor bazylianów. Tryznowie dość długo trzymali się w Święcicy. Krążyła o nich przypowiastka:

Pan Pawsza i pan Tryzna.
stary szlachcic każdy przyzna,
ale od pana Pawszy
to chyba Pan Bóg starszy.

W 1567 roku na popisie wojska Wielkiego Księstwa Litewskiego stawali ze Święcicy: Afanazy Tryzna, Andrzej Tryzna, Iwan Zyniew, Jarosław Ziniewicz, o którym dodano, że z majętności swojej Święcicy stawił tylko jednego konia, gdyż sam służył hetmanowi, posłał więc sługę swego, Krzysztofa Błażewicza.

Pod rokiem 1579 mamy wzmiankę, że Święcica należała do dóbr Hniezna i w tymże roku została wraz z Hniezna sprzedana przez Jana Karola Chodkiewicza Marcinowi Okoniowi.

W 1690 roku Święcica nadal była rozdrobniona. Z tej miejscowości podatek płacili: Władysław Tryzna - stolnik wołkowyski (4 dymy), Bronisław Ziniew (3 dymy), Gabriel Białozor - podkomorzy unicki, Kazimierz Oszmaniec - cześnik wileński (z zastawu ze Święcicy Zyniwskiej, 5 dymów), Katarzyna Jakubowa Podleska (z zastawu Święcicy Podhaje, 1 dym).

W 1814 roku Mateusz Franciszek Zyniw sprzedał Święcicę Wacławowi, Szymonowi i Janowi Kołłupajłom i w posiadaniu tej rodziny majątek pozostawał do końca wieku XIX, gdy z okazji ślubu córki Ferdynanda Kołłupajły i Julii z Tołłoczków przeszła w dom hrabiów Miączyńskich.

W początkach XX wieku właścicielką Święcicy była Maria Kołłupajłówna, córka Ferdynanda. Była najposażniejszą jedynaczką w powiecie wołkowyskim, gdyż dziedziczyła po dwóch rodzicach: Kołłupajłach i Tołłoczkach z Wierdomicz, gdzie znajdował się obszerny pałac. Święcica należała do posagu Marii. Po ojcu miała jeszcze otrzymać Gieruciów, Krasny Hrud i Tereszki. Wszystkie te miejscowości leżały w powiecie wołkowyskim.

Na lep tych dóbr skusił się czterdziestoletni hrabia Miączyński. „Miączyński to szczupły mężczyzna - wspomina jeden z sąsiadów - lat około czterdziestu, elegancki, bardzo piękny, o gęstych, zwijających się włosach, ze śladami już siwizny. W jego wielkich oczach, jeśli się przypatrzyć, czytało się prostotę, ale i wielki egoizm a ściśnięte usta to potwierdzały. Jednocześnie był to wielki aktor, mogący wyrobić dla siebie sympatię. On rzeczywiście był piękny i umiał z tego korzystać. Był dobrym gospodarzem. Dbał o dochody, ale do robotników odnosił się chłodno a nawet srogo. Jako stary wdowiec, oczywiście miał kochanki a szczególnie sympatyzował z tą, która mogła go przyjąć o każdej porze dnia i nocy, wobec tego, nie przyjeżdżał z pustymi rękami. Jeszcze do zabiegów o rękę Kołłupajówny, hrabia miał romans z córką właściciela majątku Hniezna, panną

Janiną, która też była bogatą spadkobierczynią i szybko się zorientowała o jego istotnych celach i sympatia się rozpadła".

Natomiast panna Maria poznajomiwszy się z Miączyńskim, zakochała się w nim po uszy już z pierwszego wejrzenia. Mimo ostrzeżeń rodziców i wiernego sługi, Ciereszki, któremu opiekę nad nią powierzył mu jej dziadek Józef, Maria wyszła za Miączyńskiego i młodzi osiedlił! się w Święcicy. Po paru miesiącach zapał miłosny męża ostygł. Maria bowiem już przed ślubem zdradzała pewne skłonności do zaburzenia umysłu, ale się pobrali i pojechali w podróż poślubną. W Berlinie się zagubiła. Policja ją odnalazła. Lekarze orzekli, że ciąża ją uzdrowi, ale gdy narodził się syn, Witold, była nieprzytomna. Mąż ją nigdy nie oddał do domu obłąkanych, ale trzymał ją w osobnym pokoju, dając jej do posługi dwie służące, które czuwały na zmianę. Sam ją też odwiedzał, ale go nie poznawała. Mówiła od rzeczy: „Przyjechali - odjechali".

Gdy nastąpił pożar pałacu chorą przeniesiono do oficyny. Mąż w tym czasie był zagranicą na kuracji w Karlsbadzie. Ona później też się tam długo leczyła. Gdy wróciła syna nie poznawała.

- To nie mój! To nie mój - uporczywie powtarzała - mój był taki malutki.

Zmarła w 1907 roku. Pochowano ją w Hnieźnie, w kaplicy, gdzie już spoczywali jej rodzice, Ferdynand i Julia. Kondukt prowadził ksiądz Tomasz. Gdy procesja pogrzebowa przechodziła koło prawosławnej cerkwi zatrzymał ją pop, Piotr Kowalewski, którego gorącą przemowę pamiętają Święcickie pokolenia. Mówił on o dwóch religiach, katolickiej i prawosławnej. Mówił też o wielkim doświadczeniu, które Bóg zesłał na hrabinę Marię.

Cerkiew w Święcicy istniała już w 1690 roku. W 1812 roku została spalona. W 1815 roku zbudowano nową, fundacji ówczesnego właściciela Święcicy, Ignacego Kołłupajło. Niektórzy twierdzą, sądząc po stylu budynku i osoby fundatora, że miał to być kościół. Potwierdzenia tego w dokumentach nie znalazłem. Kasiak, mieszkający w Ameryce twierdzi, że nigdy ona nie była katolicką ani unicką. Z pierwszą jego tezą możemy się zgodzić, ale druga jest wręcz fałszywa.

Wykaz podatku podymnego powiatu wołkowyskiego z 1690 roku wymienia cerkiew w Święcicy jako unicką. Z innego też źródła wiemy, że zmarł tutaj ksiądz unicki, J. Subotkowski, paroch sławatycki, dziekan Wołkowyski, który obrządku unickiego, w ciężkich czasach Siemaszki, wyrzec się nie chciał.

Nieznany mi z nazwiska autor, który miał dostęp do archiwum cerkiewnego, pisał:

„Najpierw cerkiew była zakryta w latach trzydziestych. Wtedy to na drzwiach powiesili zamek Polacy. Ludzie jednak zamek zdjęli i modlili się nadal. W 1962 roku cerkiew zakryli komuniści. Wówczas nie było popa. Kołchoz zamienił świątynię na skład zboża. Cerkiew zaczęła popadać w ruinę. Zaczął przeciekać dach, potem powybijano okna. Trzydzieści lat nie robiono remontu. W 1989 roku prawosławni parafianie wystąpili do władz o zwrot świątyni. Inicjatorami byli: Rodionik, Bolejko, Mikołaj Jakowlewicz i Nadzieżda Władymirowna. Budynek

nakryto nowym dachem i przywrócono dawny wygląd wnętrza. Wrócili księża i zaczęto odprawiać nabożeństwa".

O innych wydarzeniach związanych ze Święcicą pisze Jerzy Kwiecień.

„W dniu 2 i 3 lipca 1945 roku w rejonie Porozowa i miejscowości Swięcica Wielka zniszczony został przez NKWD oddział „Reduta", liczący około 40 ludzi, tracąc 11 poległych. Polegli wówczas, między innymi: dowódca oddziału ppor. Pawluczenko ps. „Oskar", jego zastępca plut. podchorąży Jan Muszyński ps. „Sęp", szef oddziału Antoni Giecołd ps. „Ultor". Ciała poległych żołnierzy AK po próbach ich identyfikacji przez oddział NKWD, zostały pierwotnie pogrzebane przy jednym z budynków gospodarczych we wsi Święcicą Wielka. W latach późniejszych w bliżej nieznanych okolicznościach, ich szczątki zostały przeniesione na cmentarz prawosławny. Przez lata mogiła, w której spoczęli była opuszczona, a jedynym jej znakiem był znajdujący się tam duży, dębowy krzyż prawosławny.

Losami tej mogiły i pochowanymi w niej żołnierzami AK zainteresowali się harcerze ze szczepu Harcerskiego im. M.K. Ogińskiego w Rosi, przy czynnym udziale w tym przedsięwzięciu Przewodniczącego Harcerstwa na Białorusi - druha phm Antoniego Chomczukowa. W wyniku zebranego wywiadu, uzyskano potwierdzenie co do miejsca spoczynku poległych żołnierzy AK Oddziału „Reduta". Nie zdołano jednak ustalić wszystkich nazwisk poległych, spoczywających na cmentarzu w Święcicy Wielkiej.

W miesiącu październiku 2003 r. staraniem wymienionych harcerzy i włożonej przez nich osobistej pracy w miejscu pochowanych żołnierzy uformowano mogiłę w kształcie kopca składającego się z kamieni polnych, ustawiając na nim duży, metalowy krzyż i tablicę z napisem:

Żołnierzom AK
Oddziału „Reduta"
poległym 2 i 3 lipca 1945 roku
w obronie Ojczyzny

Harcerze

I§9
WIDZIEJKI

Lata międzywojenne w byłej gminie świsłockiej powiatu wołkowyskiego, gdzie na 17 tysięcy mieszkańców Białorusinów było ponad dwanaście tysięcy a mimo to, stosunki między Białorusinami a Polakami były przyjazne. Zawdzięczano to, między innymi, osobie Dymitra Żuka, Białorusina, wójta gminy. Należał on do tych Białorusinów, którzy Polskę uważali za swoją ojczyznę. W czasie wojny bolszewickiej przeżył niebagatelną przygodę, bo wraz z bratem został ugodzony serią z karabinu maszynowego. Obaj stoczyli się do rowu. Brat już się nie podniósł, ale Dymitr, z trzema kulami w ciele, powlókł się do domu. Na stanowisku wójta potrafił ułożyć współżycie między Białorusinami a mniejszością polską. Pracował w Związku Strzeleckim. Zmarł 23 listopada 1939 roku. W pogrzebie jego uczestniczył starosta wołkowyski, a kondukt pogrzebowy poprzedzało trzech księży prawosławnych. Pamiętam go dobrze, gdyż wówczas uczyłem się w Świsłoczy. Wysoki, szczupły, o czarnej bujnej czuprynie i takichże wąsach. Prawdziwy żuk!

W tej to gminie, 7 kilometrów na północ od Świsłoczy i półtora kilometra od przystanku kolejowego Rudawka, zaległa duża katolicka wieś, Widziejki.

Wieś tę znam z „widzenia", gdy w okresie międzywojennym uczestniczyłem w uroczystości poświęcenia nowo zbudowanej tam szkoły, gdy jako członek szkolnej orkiestry dętej Seminarium Nauczycielskiego w Świsłoczy, biłem entuzjazmem w wielki bęben, co ratowało niezbyt zgrany zespół. Po drugiej zaś wojnie światowej nawiązałem niespodziewany kontakt z Mieczysławem Wiktorem, który w latach 1936 i 1937 był tutaj nauczycielem. Resztę czerpałem z poszukiwań archiwalnych. Dodam, że Mieczysław Wiktor był jednym z działaczy tak zwanej „Republiki Tarnobrzeskiej", a jej twórcą był jego szwagier, ksiądz Eugeniusz Okoń.

Według Białoruskiej Sowieckiej Encyklopedii Widziejki są wsią w rejonie świsłockim, siedzibą kołchozu imienia Feliksa Dzierżyńskiego, 2 kilometry od szosy Świsłocz-Wołkowysk, 233 mieszkańców, 56 domów, szkoła.

W 1679 i 1787 Widziejki zaliczane były do wsi ciągłych i należały do starostwa mścibowskiego. Liczyły 46 gospodarzy i 56 włók ziemi.

Wielkim wydarzeniem w życiu wsi było otwarcie nowo zbudowanej szkoły. W 1938 roku ogłoszono konkurs na kierownika tej szkoły, podając: „Budynek własny, 3 pokoje z kuchnią, ogród, 6 klas 175 dzieci katolickich i 30 prawosławnych". Prawosławni pochodzili z sąsiedniej wsi Bortniki.

Wspomniany zaś wyżej Mieczysław Wiktor dodaje: „Budynek posiadał na parterze 3 sale lekcyjne, kancelarie, niewielką składówkę na pomoce naukowe i ciągnący się przez całą długość budynku czterometrowej szerokości korytarz, zaś na piętrze mieszkanie służbowe składające się z trzech pokoi, dużego przedpokoju i kuchni. Przed frontem szkoły rozciągał się ponad 1 hektarowy ogród warzywny, szkolny, wspaniały, założony przez Paczykowskiego a także ogród kwiatowy, pielęgnowany przez uczniów, jakiego nigdzie, przy żadnej szkole nie widziałem. Tu letnią porą popisywała się kapela dziecięca swoją grą. Wyprodukowane zaś przez młodzież szkolną warzywa spółdzielnia uczniowska sprzedawała w Świsłoczy, a pewną część rozdzielała między dzieci. Z drugiej strony szkoły, od północnego wschodu, stał budynek gospodarczy, szalety oraz były boiska rekreacyjne i sportowe. Na końcu parceli szkolnej, na wzgórku wznosił się wspomniany Kopiec Piłsudskiego, z którego roztaczał się widok na okolice. Dzieci prawosławne uczęszczały do szkoły z sąsiedniej, małej wioski, której nazwa uleciała mi z pamięci, leżącą poza wielką, podmokłą i miejscami bagnistą łąką, rozciągającą się od południa na wprost budynku szkolnego. Na tej łące latem i jesienią przebywały chmary żurawi i przylatujących tu na żer z lasu czarnych bocianów i czapli, zaś zimową porą stanowiła ona skróconą trasę do szkoły przez naturalny most, a także była lodowiskiem służącym za ślizgawkę dla młodzieży szkolnej".

Owa wieś, której nazwy Wiktor przypomnieć nie mógł to Bortniki. Nazwa wsi pochodzi od słowa „bortniki", dawnych pszczelarzy barciowych, którzy w XVI wieku „służby ciahłej nie służąc, dziakła nie dajut". Dawniej wieś Bortniki była otoczona Puszczą Mścibowską, która z czasem została wytrzebiona a wraz z nią zginął zawód bortnicki. Wieś przędła na „ciahłą" i odrabiała 3 dni tygodniowo pańszczyzny męskiej i żeńskiej. Za zrąbanie drzewa z barcią groziła wysoka kara, dwadzieścia razy większa niż sama barć a ustawa wojskowa z 1507 roku za ścięcie drzewa bartnego groziła powieszeniem.

W okresie międzywojennym w szkole widziejskiej wraz z Wiktorem pracowali: Paczykowski, Maria Sudkowa, (żona mieszkańca wsi, ale pochodząca z Sandomierskiego), Janina Zboromirska i dojeżdżający dwa razy w tygodniu ze Mścibowa, nauczyciel religii ks. Bartoszewicz. Widziejki nie były wsią szlachecką, lecz zamieszkałą przez białoruskich Polaków (tak sami się nazywali), mówiący językami białoruskim i polskim.

„W Widziejkach znajdowała się zbiorowa mogiła powstańców styczniowych cytuję znowu list Wiktora - znajdująca się gdzieś w lesie nad Czarnym Potokiem. Było też dawne cmentarzysko na wzgórku za szkołą, gdzie przy budowie przez

młodzież szkolną kopca Piłsudskiego, wydobywało się kości ludzkie. Kopiec ten wzniesiono wówczas do wysokości 10 metrów i nie został ukończony. Wśród legend opowiadanych przez starych mieszkańców, wyróżniały się legendy o prześladowaniu unitów przez władze carskie, karne ekspedycje kozackie, o udziale chłopów w nielegalnej budowie drewnianego kościoła we Mścibowie (nocami), represje za prowadzenie we wsi tajnego nauczania języka polskiego i historii, o aresztowaniu kilku młodych i posłanie ich na 25 lat w sołdaty, o przybyłej z Warszawy nauczycielce Sosnickiej skazanej na dożywotnie osiedlenie się w Rosji. Dwóch chłopców zbiegło z transportu a jeden z nich nazwiskiem Zujko, wyemigrował do Ameryki skąd powrócił dopiero w 1937 roku, jako 80-letni staruszek, by złożyć swoje kości w ziemi rodzinnej. Jego to wymieniam wraz z innymi wieściami słyszanymi od starych ludzi w swojej powieści *Józiuk, Tomasz i Mikołaj.* Ten Zujko występuje w niej obok innych postaci, pod własnym nazwiskiem. Opowiadano też wiele o przeprowadzaniu przez władze carskie uwłaszczenia ich przodków, o tym, że wielu opornym unitom odbierano pola, które im już uprzednio nadano a nawet konfiskowano je i palono domy".

Widziejki w 1939 roku były już skomasowane. Poznajemy więc nazwiska gospodarzy, którzy otrzymali działki gruntu. Cyfra, którą podaję w nawiasach oznacza ilość gospodarzy o tym samym nazwisku a więc: Kiemczynowioz (4), Szyszko (8), Szczołok (4), Kałosza (1), Dyrynda (2), Kurdziuk (2), Kołpak (4), Ludko (6), Lewko (6), Łoposzko (4), Gałoś (9), Duńczyk (1), Zujko (2), Golec (4), Borodziuk 1(1), Połujanczyk (2), Skibicki (1), Burak (4), Walczyk (2), Dagiel (10), Karnacz (2), Salejko (3), Puszkiewicz (1), Sieczko (3), Benedyk (2), Dziurbasz (3), Bołwan (2), Kamach (1), Sajko (2).

Parę tych nazwisk przeszło do regionalnej historii. Z Widziejek pochodził wójt gminy Świsłocz, Feliks Dyrynda, którego rodziny dały kilku uczestników powstania styczniowego. Stąd pochodził ks. dr Antoni Szyszko, o którym Wiktor pisze: „czy znał pan może ks. dr Antoniego Szyszkę, rodaka widziejkowskiego, pozbawionego kapłaństwa przez władze kościelne z powodu intryg proboszcza ze Mścibowa. Ten ks. Szyszko wegetował życiem Robinsona na kawałku gruntu, w glinianej lepiance, zbudowanej własnemi rękoma"? Z innych źródeł wiem, że odbył studia zagraniczne. Już po pierwszej wojnie światowej był wikarym we Mścibowie, później pracował także w gimnazjum wołkowyskim. Uczył matematyki. Miał przekonanie komunistyczne. Chodził nadal w sutannie. W domu miał kaplicę.

Niektórzy repatriowali się do Polski. Na przykład, Józef Łoposzko, który ukończył Seminarium Nauczycielskie w Świsłoczy w 1929 roku osiadł w Tucholi, gdzie pracował w Liceum Pedagogicznym i zmarł tragicznie zabity przez fiata podczas jazdy rowerem. Piękne o nim wspomnienie napisał kolega, Piotr Pajkowski, które znajduje się w moich zbiorach.

Magazyn Polski

Źródła:

1. Wielka Encyklopedia Powszechna. Warszawa, s. 187,188.
2. Białoruska Sowiecka Encyklopedia. T.3, s. 72
3. Zbiór procesów i replik sądowych. T. 4, dok 17.3.1 J. w Krakowie sygn. 14633 III.
4. Dziennik Urzędowy KOS. Wilno 1938, *tufi*. j
5. List Mieczysława Wiktora w zbiorach autora z datą 26.9.1978.
6. Dziennik Urzędowy 1939.

ŻYDZI WOŁKOWYSCY

Podobno w okresie międzywojennym, Żydzi oprowadzający turystów po zabytkowej Bożnicy w Wołpie mieli pokazywać starą belkę z wyrytą datą 1477 r. Oczywiście nie świadczyła ona o wiekowości synagogi, ale o wiekowym już pobycie Żydów na terenie powiatu wołkowyskiego.

Żydzi na Litwie pokazali się bardzo wcześnie. J. Jaroszewicz podaje datę 1471 r. Jednakże w roku 1495 wielki książę litewski, Aleksander, wypędził ich z Litwy. Chodziło tu bardziej o względy ekonomiczne, niż polityczne. Skonfiskowane majątki przeszły na własność księcia oraz duchownych i osób świeckich. Pamiątką związaną w wypędzeniem Żydów z Litwy jest sąsiadujące z powiatem wołkowyskim miasteczko Żyomla, gdzie według Narbutta miano założyć obóz, w którym spisano spędzonych z Grodzieńszczyzny Żydów, celem ich wygnania na Zadnieprze.

Gdy jednak Aleksander objął tron w Polsce w 1501 r. wypędzeni Żydzi zamieszkali w Polsce zaproponowali królowi znaczny okup za zezwolenie powrotu. Pieniędzy królowi w tym czasie było potrzeba wiele, chociażby ze względu na toczącą się wojnę z Moskwą, toteż w roku 1503 zezwolił Żydom powrócić na Litwę i osiedlić się w poprzednich miejscach. Polecił też zwrócić im zabrane majątki.

Pierwsza znana mi wzmianka o pobycie Żydów na terenie powiatu wołkowyskiego pochodzi z 1537 r., kiedy to Żyd grodzieński, Icek Bohdanowicz bierze w dzierżawę dwór w Olchowej, a następnie z rąk jego wykupuje królowa Bona za 229 kop i 15 i pół kamieni wosku. W *Rocznikach Dziejów Społecznych i Gospodarczych* zetknąłem się z niepotwierdzoną w źródłach informacją, że w 1529 r. gmina żydowska istniała w Kecku, Lachowiczch, Mścibowie, Turcu i Tykocinie.

Akta sprzedaży i inwentarze miasteczek z wieku XVI (na przykład Rosi i Świsłoczy) nie zawierają wzmianek o zamieszkujących tam Żydach. Natomiast dokumenty z wieku XVII poświęcają im sporo miejsca. Pod rokiem 1651 Słownik Geograficzny w haśle „Żydowice", miasteczku słynącym z cudownego obrazu podaje, że król Jan Kazimierz wybierając się na wojnę odbył pielgrzymkę do tego obrazu i „dokumentem przechowanym dotychczas zabronił Żydom nie tylko osiedlania się w tym miasteczku, ale nawet nocowania. W razie przejazdu przez miasteczko obowiązani byli iść pieszo z odkrytą głową".

Żydów różniło prawo od chrześcijan. Oto cytaty ze Statutu Litewskiego:

„Gdyby Żyd Żyda zabił, wyrok miedzy nimi ma być czyniony według ich praw i przywilejów... Gdyby szlachcic Żyda zabił i w czasie przez prawo oznaczonym był złapany, gardło płaci, lecz główszczyzna nie będzie zapłaconą... Obwinieni Żydzi przez chrześcijan będą sądzeni przez urząd królewski... A jeśli który Żyd lub Żydówka do wiary chrześcijańskiej przystąpili, tedy każda taka osoba i potomstwo ich, za szlachcica poczytani być mają... Tatarzy i Żydzi nie mogą mieć w poddaństwie chrześcijan, a zawiedzeni w długu najwyżej w siedem lat wkupić się mogą... Żaden Żyd ani hissurmanin nie może być przełożonym na jakim urzędzie... Gdyby kupił niewolną czeladź, traci pieniądze, a kupiony chrześcijanin jest wolnym... Mamki chrześcijanki u Żydów być nie mogą pod karą 20 kóp"

W wieku XVII Żydzi już masowo zasiedlają miasteczka w powiecie wołkowyskim, to jest takie miejscowości, które mają targi. Możemy to prześledzić na przykładzie miasteczka Roś.

W Archiwum Roskim zachował się odpis kontraktu z roku 1674, w którym Katarzyna Radziwiłłówna Hlebowiczowa oddaje w arendę Żydom, Mendelowi i Izraelowi Chanowiczom arendę Rosi na rok jeden. „Pozwalamy im do tej arendy - czytamy - wszystkie szynki, także targowe, wymienne, ze młyna miarki zboża wszelkiego, która ma się na młynarze trzecia miarka. A osobno miarki od słodu arendarzem mają należeć wszystkie. Do tejże arendy plac jeden bez płac, czynszu, włókę jedną pustą dla zasiewania zboża, dla sianożęci morgów dwa przydaję,

kapszczyznę z miasteczka Rosi i siół do niej majętności roskiej należnych, targowych, które wyżej pomienieni arendarze moi wybierać mają, to jest kapszczyzny od miednic miodu po groszy dwanaście polskich, a od słodu miary wołpiańskiej, tak piwnego, jako i gorzałczanego po groszy 10 targowego brać mają, od truski chmielu po dwa szeląg, to jest kto sprzedaję jeden szeląg, kto kupuje drugi szeląg dać powinien... Szynki zaś miodowe, piwne i gorzałczane, drudzy Żydzi w miasteczku moim mieszkający, także i mieszczanie roscy, wolne mieć mają".

Spis podatku podymnego z powiatu wołkowyskiego z 1690 roku zaświadcza o obecności Żydów w Rosi, Mścibowie, Zelwie, Międzyrzeczu, Podorosku, Łyskowie, Jałówce, Świsłoczy, Pietuchowie Izabelinie. Spis nie podaje obecności Żydów w Wołkowysku, Porozowie, Piaskach, Wołpie, chociaż obecność ich jest tam niewątpliwa.

Według, inwentarza z roku 1708 miasteczko Roś ma ukształtowany rynek. Wykazuje też rozmieszczenie domów żydowskich, których jest więcej niż chrześcijańskich. Oto one:

Kwatera rynku od kościoła	9 budynków, w tym bóżnica i wszystkie domy żydowskie
Kwatera rynku od cerkwi	4 budynki, wszystkie żydowskie
Kwatera rynku od Wołpy	6 budynków, w tym 5 żydowskich
Kwatera rynku od dworu	13 budynków, w tym 8 żydowskich
Ulica Dworska	20 budynków, w tym,6 żydowskich
Ulica Kościelna	3 domy, wszystkie żydowskie
Ulica Wołpiańska	2 domy, oba chrześcijańskie
Ulica Nowa	11 budynków, w tym 2 żydowskie

W samym rynku było jeszcze 12 komórek handlowych, z których 10 było dzierżawionych przez Żydów.

Żydzi byli zwolnieni od pańszczyzny, ale w razie zerwania grobli, do pomocy mają stanąć wszyscy. Tenże inwentarz dodaje, że dziedzic podczas bytności w miasteczku zauważył, że Żydzi w niedzielę każą służbie pędzić gorzałkę, więc zarządza, aby w szabas służba ich przychodziła do dworu grasować ścieżki, a w niedzielę do kościoła, co uniemożliwi im zajmowania się pędzeniem wódki.

Głównym zajęciem Żydów były dzierżawy, handel, rzemiosło i pożyczanie pieniędzy na procent. Mamy wzmiankę, że wspomniana wyżej Katarzyna Hlebowiczowa z Rosi około roku 1661 pożyczyła u arendarza orleańskiego bliżej nie określoną sumę.

Po wojnach drugiej połowy XVII wieku sytuacja się odwróciła. Zniszczeni materialnie Żydzi sami zaczęli pożyczać u magnatów i księży pieniądze.

Z archiwum kościelnego w Rosi wiemy, że w roku 1730 ks. Franciszek Abramowicz, proboszcz roski pożyczył kahałowi mścibowskiemu 2000 złp i to na

10%. Dokąd żył ks. Abramowicz Żydów trzymał krótko, którzy chcąc, nie chcąc, płacili proboszczowi 200 złp odsetek i jeden kamień łoju na świece, ale jak go nie stało, jęli się procesować i stanęło na 4%.

Specjalnością żydowską były dzierżawy karczem. W archiwum roskim znajdujemy liczne kontrakty na dzierżawy karczem w gminie roskiej i tak w roku 1768:

Jorchu Ickowiczu na karczmę w Zubowszczyźnie i Sznipowie
Szlomie Berkowiczu w Szowkach
Idzku Szmujłowiczu w Nowym Siole
Aronie Elowiczu w Nowosiąłkach
Srulu Szmujłowiczu w Bobłowie
Mordzichu Szmulowiczu w Skrzybowie i Zahoranach.

Znajdujemy także kontrakty z lat 1767-1769 na karczmę i browar w Zubowszczyźnie i Żeniowcach za zł 1100 Josielowiczowi Jośkiewiczowi. W 1770 roku arendę karczmy w Zubowszczyźnie Hersztowi Szajewiczowi za 150 zł., plus 1/2 włóki ziemi. W 1811 roku arenda na karczmę w Zubowszczyźnie, Sznipowie, Żeniowcach za 1800 zł.

Dzierżawa karczmy była często połączona z dzierżawą browaru. I Żyd i pan byli mocno zainteresowani sprzedażą chłopom gorzałki. Żydzi byli zaradni, chociaż poniżani i często wykpiwani. Oczywiście Żyd korzystał z opieki pana, u którego karczmę dzierżawił. Powstało na tym tle mnóstwo anegdot.

W wołkowyskiem krążyło powiedzonko, oczywiście w języku białoruskim - „Jak Żyd się rodzi, to głową kręci, jak żyć na świecie, a jak chłop się rodzi, to maca wokół siebie rękoma, aby coś ukraść", albo „Jak bieda to do Żyda, a jak po biedzie, to idź do diabła Żydzie".

Osiedlanie się i gospodarowanie Żydów na roli należały do rzadkości, chociaż czyniono takie próby. Przykładem była wieś Hołobudy (inaczej Kolonia Izraelska) w powiecie wołkowyskim. Dawna własność Tyszkiewiczów, którym za udział w powstaniu listopadowym, skonfiskowano ją wraz ze Świsłoczą. Obejmowała ona około 170 dziesięcin.

Otóż około 1850 roku Hołobudy zasiedlono Żydami, kiedy to car Mikołaj I nadał szereg przywilejów Żydom osiedlającym się na roli, a między innymi zwolnienie od uciążliwej, 25-letniej służby wojskowej oraz niektórych podatków. Nadto byli subwencjonowani przez władze carskie. Tak więc Hołobudy rozparcelowano i osadzono Żydów, przydzielając na każdą rodzinę po 18 dziesięcin ziemi. Nie bardzo im się wiodło, bo część za kradzieże wywieziono na Sybir, a część wyemigrowała do Ameryki.

Owe carskie dobrodziejstwo dla Żydów sprowadzało się czasem do metod azjatyckich. Wspomina o tym Henryk Wierciński, pochodzący ze szlachty wołkowyskiej, jak w XIX wieku „sprowadzono raz do kuchni czeladnej wszystkich Żydów ze wsi i spiczaste ich brody ucinano, nadając im kształt półokrągły, stosownie do wymagań rządu petersburskiego".

Najważniejszym skupiskiem Żydów w powiecie był sam Wołkowysk, miasto powiatowe. Oto parę cyfr, zebranych z różnych źródeł, wykazujących liczbę Żydów w tym mieście.

Rok	Ogólna liczba mieszkańców	W tym Żydów
1815	818	216
1817	602	216
1835	4216	2713
1857	3308	1598
1558	3110	1600
1860	3472	1518
1891	8057	3332
1928	17182	7428
Odnośnie powiatu liczby kształtowały się następująco:		
1790	62420	4053
1863	78244	2393
1921	115253	10704
1931	131397	12202
1939	145000	10783

Według Aleksandra Bychowca w roku 1840 w powiecie wołkowyskim było: wyznania starozakonnego dusz męskich - 3007, zaś żeńskich - 3070, synagog drewnianych - 2, bożnic albo szkół murowanych - 2, bożnic albo szkół drewnianych, przy nich rabinów duchownych - 7, przy nich rabinów przez rząd utwierdzonych - 10, posługaczów przy bóżnicach - 11. Żydzi byli zgromadzeni w 10 kahałach co odpowiada liczbie miasteczek w powiecie wołkowyskim.

Jeśli chodzi o miasteczka powiatu wołkowyskiego, to we wszystkich przeważała ludność o wyznaniu starozakonnym. Wyjątek stanowił Nowy Dwór. W czterech innych miasteczkach, gdy połączymy katolików i prawosławnych w grupę zwaną chrześcijanie, to Żydzi znaleźliby się w mniejszości. Do tych miasteczek należały: Porozów, Mścibów, Łopiennica, no i sam Wołkowysk.

Poniższa tabelka podaje skład wyznaniowy mieszkańców poszczególnych gmin w powiecie wołkowyskim w 1928 r.

Gmina/miasto	Katolików	Prawosław.	Ewangelik.	Izraelitów	innych
m. Wołkowysk	8722	1031	-	7428	-
m. Świsłocz	548	881	4	1842	15
Biskupice	4965	1692	14	12	12
Izabelin	2189	5360	110	328	-
Jałówka	3257	4765	-	515	1
Krzemienicą	11814	376	7	87	3
Łysków	1071	7534	-	575	93
Mścibów	4829	1392	-	261	-
Międzyrzecz	2851	6658	13	37	-
Porozów	7399	5076	-	746	-
Podorosk	1443	4801	8	68	-
Pieski	4025	5789	-	4	12
Roś	2646	4728	50	363	-
Szydłowice	5127	388	-	2	4
Świsłocz	3121	10769	-	213	3
Tarnopol	554	4824	-	4	-
Tereszki	4069	2165	-	3	-
Zelwa	1630	3941	12	1566	23
Razem	70280	72171	218	14050	166

Żydzi mieli w powiecie 5 własnych szkół powszechnych oraz gimnazjum wWołkowysku. Posyłali także swoje dzieci do polskich szkół państwowych. Chodzi oczywiście o szkoły w miasteczkach i to wyżej zorganizowane. Oto wykaz 1938 r.

Szkoła powszechna	Dzieci żydowskich w danej szkole
Wołkowysk nr 2	58
Roś	57
Mścibów	37
Świsłocz	37
Jałówka	60
Porozów	111
Krzemienicą	1
Łopiennica Mała	5

Żydzi wołkowyscy nie byli elementem pewnym dla państwa polskiego. Byli pod wielkim wpływem Rosji. Wojna polsko-sowiecka 1920 roku często o tym zaświadczała. Na przykład w dniu 27 lipca 1920 r. miał w Rosi miejsce wypadek wystąpienia Żydów przeciw wojskom polskim. W roku 1939 aktywny był ich udział w tymczasowych władzach radzieckich. W Świsłoczy Żyd Burdę, właściciel sklepu muzycznego sam osobiście, -po podstawieniu drabinki strącał mosiężnego orła, wieńczącego pomnik Romualda Traugutta. Tenże jednak Burdę ostrzegł księdza Horbę, że grozi mu niebezpieczeństwo.

W okresie międzywojennym Żydzi zajmowali się też dzierżawieniem majątków. Na przykład w gminie Szydłowice Żyd Margolis dzierżawił cegielnię w Bierdzikach, którą później kupił i sprzedał Maciejowi Szejce. Majątek Biegienie II dzierżawił Żyd Langier, którego syn uczył się w szkole Szydłowickiej i Klimczuk przytacza o nim anegdotę. "Pewnego razu Karolina Sarosiekówna dyktowała. Zapisaliśmy dwa zdania: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje" oraz „Deszcz leje jak z cebra". Ten Żydziak jednak nie pisał, ale grzebał się w ławce, Karolina więc poprosiła go aby odczytał. Ten nie wiedział co mówić, ale trochę słyszał, więc udaje, że czyta „Kto rano wstaje, ten leje jak z cebra".

Większość Żydów utrzymywała się z handlu. Handlarze najczęściej sprowadzali towar do sklepów z Wołkowyska za pośrednictwem tzw. „bałagułów" Żydów, którzy posiadali kilka par koni i wyjeżdżali do Wołkowyska parę razy w tygodniu. Byli też drobni rzemieślnicy, jak krawcy, szewcy, stolarze, ale również i tacy, którzy kupowali las na pniu a następnie wycinali i sprzedawali. Żydzi na ogół byli bardzo solidni. „Znałem wypadek, - wspomina W. Rygorowicz - kiedy kahał żydowski istniejący w miasteczku zebrał pieniądze i różne cenne rzeczy od miejscowych Żydów, które przeznaczył na posag panny z ubogiej rodziny a w innym wypadku wydał za mąż i wyposażył kaleką pannę. Często spotykałem się z miejscowym sołtysem. Pewnego razu rozmawialiśmy o ich kahale. Sołtys mówił, że mają wielkie trudności finansowe, że potrzeby kahału są większe niż ich dochody, a w końcu zaznaczył, że chyba ich sytuacja się poprawi. Gdy zapytałem skąd takie przewidywania, powiedział -„Pan zna naszą właścicielkę apteki Paurę Epsztejn. Jest ona już w bardzo podeszłym wieku i spodziewamy się, że już bliska pora, gdy ona umrze i wtedy kahał dobrze skorzysta na spadku po niej, gdyż jest samotna".

„Najbiedniejszą kategorią międzywojennych Żydów byli tzw. „hanuczniki". Jeździli oni po wsiach i kupowali różne szmaty. Za to sprzedawcy otrzymywali jakieś drobiazgi: igły, naparstki, zapałki, łyżki. Jeździł także jeden Żyd, który kupował wyłącznie butelki, które natychmiast tłuki i rzucał na wóz. Widocznie w tym stanie huta towar przyjmowała.

Bieda i nieszczęście także dotykała Żydów. W liście A. Jagielnicki wspomina: „Nie można, jak sądzę, wymazać z pamięci i pejzażu Izabelina wędrownego żebraka w łachmanach, o patriarchalnym wyglądzie z powodu długich włosów i gęstej kędzierzawej brody. Był to, stary Żyd, który chodził od domu do domu

i prosił o wsparcie. Był on z natury łagodnego usposobienia i za skromną jałmużnę tańczył i śpiewał „Garacze bubliczki". Zmarł biedaczyna samotnie, gdzieś na polu, na polnej miedzy".

„Podobnież, ale to była niebezpieczna wariatka, Żydówka, mieszkanka Rosi, która się czasem pokazywała na ulicach miasteczka, biegnąc jak do pożaru, goniona przez dzieciarnię kamieniami i nie będąca im też dłużna". (Wspomnienie osobiste)

Jan Kreczko o Żydach roskich pisze w swoich wspomnieniach:

„Żydzi w Rosi mieli dwie synagogi: drewnianą starą i nową murowaną od ulicy. Za starą synagogą był kiedyś cmentarz i łaźnia mykwą basenem do rytualnego umywania się. Aryjczycy świątynię żydowską nazywali szkołą, może dlatego, że w części synagogi mieścił się chader początkowa szkoła żydowska. Rabina na ulicy nigdy nie było widać, siedział on nad talmudem i kiwał się. Rodzina jego sprzedawała drożdże. Żaden ze sklepów żydowskich w Rosi nie mógł handlować drożdżami, bowiem zarobek z handlu drożdżami był zastrzeżony dla rabina. W piątek do chazana noszono drób, by go zarzynał w sposób rytualny. Była to męka dla zarzynanego drobiu, bo religia mojżeszowa nakazywała tylko raz przeciągnąć nożem po gardle zwierzęcia, zwierzę z podciętym gardłem chazan rzucał na ziemię i tak długo męczyło się podskakując aż skonało. Żydzi jedli mięso z przedniej części krowy czy cielaka. Wieprzowiny nie jedli. Sobota to święto (szabas). W piątek, po zachodzie słońca, nie mogli zapalać światła. Gdy któryś z Żydów spóźnił się z zapaleniem światła przed, zachodem słońca, prosił „goja" by światło mu zapalił. Często za tę przysługę płacił. W sobotę Żydzi jadła nie gotowali. W sobotę po modłach wracali ze szkoły z wiszącymi cycełes. Były to białe chałaty bez rękawów z czarnymi frędzlami. Starsi Żydzi nosili brody i często pejsy...". Na wiosnę Żydzi mieli święto kiedy jedli macę zamiast chleba. Jesienią zaś było święto „kuczek". Wówczas jedli oni pod gołym niebem w części domu, w której podnosił się dach.

Los Żydów w czasie okupacji był straszny i dobrze nam znany. Zanim Żydów zgładzono, obdarto ich z wszelkich kosztowności.

„Taki komisarz we Świsłoczy - wspomina Chustecki - wycisnął strachem z Żydów 50 kilogramów złota, lecz był chytry i nie podzielił się ze swym zastępcą. Ten go przedstawił do gestapo. Złoto poszło do banku, a komisarz na pierwszą linię boju, z którego już nie wrócił".

„Wieczorem 31.X.1942 r. wielu gospodarzom z Wołpy zlecono stawić się z furmankami przed gminą. O północy gestapowcy i żandarmi okrążyli miasteczko". O świcie Żydów wypędzono przed gminę, starców i inwalidów rozstrzelano na żydowskim cmentarzu, resztę załadowano na furmanki i pod silną eskortą wywieziono do Wołkowyska. Był to pierwszy z Wołpy transport do obozu, do krematorium, jak mówiono na mydło. Tylko 6 Żydów usiłowało zbiec. Czterech padło dogonionych kulą a dwóch uciekło. Jeden z nich, Icek, został wkrótce dowódcą miejscowej partyzantki."

W miasteczkach powiatu wołkowyskiego w 1943 r. miejscowe władze niemieckie przy współudziale żandarmerii zorganizowały getta dla Żydów. W Porozowie ogrodzono teren, dokąd spędzono wszystkich Żydów. Było ich około 700. Porozowianie - katolicy po kryjomu przez dziury w płocie przekazywali żywność. Po kilku miesiącach Niemcy wywieźli Żydów do obozów koncentracyjnych. Za przechowywanie jednego Żyda, dwóch porozowiaków wysłano do obozu w Majdanku.

„Getto w Świsłoczy - wspomina S. Babiński - mieściło się w obrębie ulic: Piłsudskiego, Bittnera i Grodzieńskiej. Jednak nie było to getto strzeżone, więc zaopatrzenie i handel odbywały się bez specjalnych przeszkód, ale na przedwiośniu w 1943 r. miało miejsce tragiczne wydarzenie. Pewnego dnia o świcie, przybyły do Świsłoczy oddział Gestapo rozkazał Żydom opuścić getto. Wszystkich zdolnych do marszu eskortowano na stację kolejową Świsłocz, gdzie załadowano ich do wagonów towarowych i wywieziono w kierunku zachodnim i ślad po nich zaginął. Około 20 młodych i silnych Żydów gestapowcy zaprowadzili do lasku Wiszownik i kazali im kopać głębokie rowy. Następnie przywieźli do tego lasku niedołężnych Żydów, których rozstrzelali, a młodym Żydom kazali zwłoki ułożyć w rzędach i zakopać. Potem musieli wykopać rów dla siebie. Rozstrzelano ich następnego dnia, bo oprawcom spieszyło się na bal urządzony z okazji wykonania krwawego wyroku".

Getto w Świsłoczy zostało zlikwidowane 1 listopada 1943 r. Już wieczorem dnia poprzedniego - opisuje Konstanty Jakusza - miasto było otoczone wojskiem. O godzinie 6 rano zgoniono z okolicznych wsi i miasta około 500 furmanek chłopskich i zgromadzono je na rynku. O godzinie siódmej amstkomisarz wraz z wojskiem poczęli wyganiać Żydów z getta na targowisko, które było otoczone wojskiem. Popłoch ogarnął około 3000 Żydów. Poganiani przez żandarmerię zostali wtłoczeni na plac targowicy, gdzie przeprowadzono podział rodzin. Wyłączono mężczyzn i ustawiono w czwórki. To samo uczyniono z kobietami. Osobno ustawili starców, kobiety kalekie i dzieci do lat 6. Po skompletowaniu zgromadzonym furmankom kazano jechać po drzewo do lasu, pozostawiając jedynie 30 furmanek. Koło godziny 11 wydano rozkaz wymarszu. Wyprowadzono przez ulicę Kraszewskiego i skierowano do getta w Wołkowysku. Pozostali zostali furmankami odwiezieni do lasu Wiszownik, gdzie przeprowadzono egzekucję trwającą od godziny 14 do 20. Strzały i krzyki rozstrzeliwanych były słyszane w mieście. Władze niemieckie zlikwidowały pozostawione mienie żydowskie. Domy zasiedlono ludnością sprowadzoną z sąsiednich wiosek, podejrzanymi o udział w ruchu oporu.

Zdarzały się cudowne ocalenia. W rozmowie z Ewą Kasprzycką Pola Weizman wspomina - „Zostałam uratowana przez przypadek. Kiedy Niemcy zabrali Żydom futra, kosztowności - rozlepili po mieście (w Jędrzejowie) ogłoszenia, że teraz trzeba im oddać zbiory znaczków pocztowych, a ja znaczki zbierałam. Zamiast kupować sobie czekoladki, to w sklepie pana Jankowskiego kupowałam

znaczki. Powiedziałam, że znaczków Niemcom nie oddam i uciekłam na wschód do Rosjan. Uciekliśmy całą grupą i ze strachu przed NKWD, nocowaliśmy na polach, było coraz chłodniej, niektórzy z nas nie wytrzymali i wrócili do Jędrzejowa, a mnie na szczęście w Wołkowysku aresztowało NKWD i wysłało do łagru. Gdyby mnie nie wywieziono na Sybir nie rozmawiałabym teraz z panią. Kiedy miałam wystawę w Słupsku, przyszła do mnie pewna pani z Wołkowyska i opowiadała, kiedy Niemcy weszli do miasta, to zrobili masakrę, ani jeden Żyd nie ocalał. Ani jeden. A ja z przyjaciółką Hanią byłam wtedy na dalekiej Syberii. Życie w łagrze było ciężkie, to fakt, ale nie było tam komór gazowych".

WOŁKOWYSKIE BÓŻNICE

Bóżnica to polski odpowiednik greckiej nazwy synagoga - Dom Zgromadzenia. Synagoga nie jest budynkiem sakralnym w rozumieniu chrześcijańskim. Jedyną i prawdziwą świątynią była świątynia Jerozolimska, Pierwsza (Salomonowa), potem Druga, zburzona przez Rzymian w roku 70 n.e. W synagodze - w odróżnieniu od świątyni – nie składa się ofiar. Odmienność od jerozolimskiego Domu Bożego podkreśla się czasem w liturgii, nie zapalając jednej świeczki w siedmioramiennym lichtarzu - menorze.

Bóżnica stanowi budowlę wielofunkcyjną. Sala główna służy modlitwie mężczyzn; kobiety modlą się w osobnym pomieszczeniu, do którego jest odrębne wejście. W dawnych synagogach kobiety były dla mężczyzn niewidoczne:

przesłaniała je gęsta krata bądź zasłona. W późniejszych „babiniec" umieszczano niekiedy na piętrze ponad sienią, w otwartych emporach (galeriach). W bóżnicy zbierano się też na dysputy o Talmudzie i o sprawach gminy. Obradował również (w sieni) sąd, jako że w sprawach toczących się między nimi Żydzi mieli osobną jurysdykcję. Znajdowała się czasem w bóżnicy izba więzienna, a także pręgierz.

Pomieszczeniem głównym, największym, jest sala modłów. Jej podłoga często zostaje nieco zagłębiona w stosunku do podłogi sieni, co nawiązuje do słów Psalmu (130): „Z głębokości wołam do Ciebie, Panie". Okna umieszcza się wysoko, by świat zewnętrzny nie odwracał uwagi od modlitwy. Między oknami ściany wschodniej, zwróconej ku Jerozolimie, znajduje się „Aron Hakodesz" - najświętsze miejsce w bóżnicy. Jest to szafa mieszcząca zwoje Tory, symbolizuje skrzynię - Arkę Przymierza z opisanego w Biblii Namiotu - Przybytku Pańskiego, w której zamknięte były tablice dziesięciorga przykazań. Szafa ma bogate obramienie, często z kolumnami, gzymsami, łukami łamanymi. Wstępuje się ku niej po stopniach, na niewielki podest. Obok podestu znajduje się świecznik - menora oraz wieczna lampa, „ner tamid".

Uroczysty moment w liturgii stanowi przeniesienie Tory z „aron ha-ko--desz" na bimę - podium w centrum sali, otoczone balustradą, kryte ażurowym daszkiem wspartym na kolumnach lub słupach. Daszek zwieńczony jest koroną, czasem szyszką. Na podium znajduje się stół do wykładania rodałów oraz podwójne „krzesło proroka Eliasza", używane w czasie obrzezania. Bima tworzy rodzaj kaplicy, czy też zdobnej altany: tu odczytuje się Torę, stąd pada Słowo Boże. W niektórych bóżnicach są słupy wokół bimy bardzo wysokie, wspiera się na nich sklepienie lub konstrukcja drewnianego sklepienia pozornego. Tego rodzaju rozwiązania nie występują nigdzie poza Polską; nigdzie synagogi nie mają tych proporcji - sklepień tak wysoko wyniesionych ku górze.

Pozorne sklepienia wznoszą się, dzielą na piętra; osiągnąwszy pułap - opadają czasem ku dołowi, zwieszają się, jak lekkie tkaniny. W rogach sali, nisko, poniżej poziomu okien, pojawiają się - niby żagle - zdobnie ukształtowane ścianki, rozszerzające się ku górze. Sklepienie spływa więc miękko ku dołowi, na podobieństwo ścian namiotu.

W niektórych bóżnicach, np. w Wołpie, Suchowoli, centralna część sklepienia wspiera się na smukłych jak sosny słupach. Bo też to są sosny, które przenoszą do wnętrza bóżnicy majestat wysokiego lasu. W niektórych sklepieniach (Końskie, Wołpa) widać umieszczone jedna nad drugą galerie z balustradami. Nie miały one żadnego znaczenia funkcjonalnego, nie można się było na nie dostać; umiejętnie zróżnicowane - galerie te wzmacniały złudzenie wysokości, otwierały wyobraźnię wiernych, drogę ku wyżynom.

Oryginalne w swojej konstrukcji były bożnice drewniane, których parę dochowało się na terenie powiatu do drugiej wojny światowej.

Najpiękniejszą z nich była bóżnica drewniana w Wołpie, którą Niemcy spalili w roku 1944. Pochodziła ona prawdopodobnie z początku XVIII wieku. Data

1781 podana przez Bersohna, dotyczyła już pokrycia nowym dachem. Fotografie tej bożnicy oraz dokładne opisy podają Maria i Kazimierz Piechotkpwie.

W *Przewodniku po województwie białostockim* Orłowicza czytamy: „Bardzo cennym zabytkiem jest tutejsza synagoga (Wołpa) drewniana, którą mijamy u wjazdu do miasta od strony Rosi. Jest to jedna z najbogatszych pod względem kompozycji szczegółów bożnic drewnianych z XVII w. w Polsce. Prawdziwe arcydzieło drewnianego budownictwa. Posiada ona drewniany, łamany dach barokowy, piękne pawilony narożne z galeriami oraz barokowe szczyty o formach zaczerpniętych z architektury murowanej. Warto zwiedzić jej wnętrze, aby zobaczyć słynny drewniany ołtarz z XVII w. Zwraca uwagę data hebrajska umieszczona na belce, mająca oznaczać 1477 rok, chociaż cechy architektoniczne nie wskazują na tak odległą epokę. Pięknie przedstawia się siatka ażurowa z drzewa o wschodnich elementach dekoracyjnych.

Również z XVIII wieku pochodziła piękna drewniana bóżnica w Piaskach, która podobnie nie przetrwała drugiej wojny światowej. Maria Pruszyńska zwiedzając kiedyś tę bożnicę, pisała w liście. „Prawdopodobnie Niemcy zniszczyli zabytkową synagogę w Piaskach. Zwiedzałam ją w towarzystwie mego męża i jego przyjaciela, późniejszego adwokata w Tel Aviv, Mojżesza Pomeranca. Były tam wazy z Delf i świeczniki, chyba siedemnastowieczne".

Nie ustępowała im modrzewiowa bóżnica w Wołkowysku, która wraz z 200 domami spłonęła w roku 1908. Posiadała wewnątrz wiele ciekawych rzeźb. Według S. Dobrowolskiego miała pochodzić z XVIII wieku.

Inne bożnice w powiecie wołkowyskim, jak w Rosi, czy Porozowie nie były już tak malownicze, ale i one nie przetrwały. Bożnice w Wołpie, Piaskach czy Rosi zwiedzałem parokrotnie. Ta ostatnia miała ciekawe rzeźbione dekoracje, a wśród nich olbrzymi zapewne dwugłowy orzeł carski, któremu ucięto łeb tak, że resztki uchodziły tylko za dekoracje. Drewnianą bożnicę w Rosi okupant niszczył z rozmysłem. Zgoniono ludność żydowską na rynek, rozpalono ognisko i kazano Żydom tańczyć. Ogień podsycano paląc zabytkowe wyposażenie tej bożnicy.

Przetrwało natomiast parę bożnic murowanych, jak w Izabelinie oraz Zelwie. W Porozowie były 2 bożnice: drewniana, spalona w czasie wojny i murowana.

W 1937 r. Melchior Wańkowicz podróżując po Kresach parę słów poświecił bóżnicy w Brzostowicy Wielkiej:

„W bóżnicy fotografuję mizrachi - tablicę rytualną na wschodniej ścianie. Tablica jest umieszczona pod pułapem, na ścianie malowanej w cudackie zwierzęta, ale nad skrzydlatymi gryfami, lwami, lewiatanami siedzi spokojnie orzeł dwugłowy".

Ikonografią drewnianych bożnic w Polsce zajął się mieszkaniec Izraela, pochodzący zapewne z Polski i po polsku piszący, Mosche Verbin, sporządzając wierne modele tych bożnic i wydając barwny katalog tych prac, wśród których jest model bożnicy wołkowyskiej i wołpiańskiej. Model zaś bożnicy w Zabłudowie znalazł się nawet na izraelskim znaczku pocztowym.

Bożnice żydowskie były nie tylko miejscem modlitwy, ale zebrań, narad a nawet kłótni. Żydzi w niej zachowywali się zupełnie swobodnie, oczywiście w czapkach, co stwierdziłem w czasie, gdy w ramach dyżuru wypadło mi prowadzić dzieci szkolne z Rosi, z okazji jakiegoś święta państwowego.

W bóżnicach studiowano i roztrząsano różne księgi, jak chociażby Torę. Służyła też za siedziby okręgów wyborczych, udzielano ślubów, rzucano klątwy, nawet utrzymywano pokój gościnny dla przyjezdnych lub wręcz dochodziło do scen awanturniczych. Jedną z takich odnotowano i w bożnicy w Piaskach, gdzie 1 kwietnia 1937 r. wynikła między Żydami bójka, którą zlikwidowała dopiero policja. Powodem była skarga do starostwa rabina Kwiata Hirsza na rabina Daniela.

Odbywano też w bóżnicach sądy, a sędzią był najczęściej sam rabin.

Źródła:

1. J. Jaroszewicz, Obrazy Litwy pod względem cywilizacji... Cz. 1. Wilno 1844, s. 217.
2. A. Leszczyński, Żydzi Ziemi Bielskiej. Wrocław 1980, s. 17.
3. L. Kolankowski, Zygmunt August Wielki Książę Litwy do roku 1584. Lwów 1913, s. 301.
4. Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego. Warszawa 1880-1902.
5. T. Zacki, Dzieła. Poznań 1844, s. 213.
6. Wykaz podatku podymnego pow. wołkowyskiego. Wilno 1939.
7. Inwentarz z maja 1708. Archiwum Roskie.
8. A. Leszczyński, Żydzi ziemi Bielskiej od połowy XVII w. do 1795. Wrocław 1980, s. 190.
9. W. Karpyza, Miasteczko Roś. Maszynopis, s. 32.
10. Instrukcje gospodarcze dla dóbr magnackich.... T. I, s. 420.
11. M. Federowski, Lud białoruski. T. IV, s. 369.
12. Teka Świsłocka M. Federowskiego. BUW. Dział rękopisów, sygn. 445.
13. Kurier Litewski, Dodatek nr 54, z dnia 10 marca 1834 r.
14. H. Wierciński, Pamiętniki, s. 62.
15. Tygodnik Wołkowyski 1927, nr 5.
16. Tygodnik Wołkowyski 1928, nr 51, s. 12.
17. Dziennik Urzędowy KOS. 1938, nr 3, s. 79.
18. M. i K. Piechotkowie, Bożnice drewniane. Warszawa 1957.
19. S. Dobrowolski, Historia Szwedzkiej Góry. W: Kurier Podlaski 1984.
20. W. Tołłoczko, Benificjum wołkowyskie a rok 1812. W: Dwutygodnik Diecezjalny 1914.
21. T. Wiśniewski, Sąd w synagodze. W: Kurier Podlaski 1986, nr 188.
22. J. Dąbrowski, Bój odwrotowy nad Niemnem i Rosią.

EWANGELICY

Na terenie powiatu pojawili się oni w dobie reformacji, to jest w drugiej połowie XVI wieku. W owym czasie właścicielami Świsłoczy i Hniezna byli Chodkiewicze, a ci przez pewien czas byli kalwinami, stąd kościół świsłocki, fundowany w 1550 r. zamienili na zbór. Biskupa Pawła Holszańskiego informowano, „że kollatorowie zostawszy tam luteranami, księdza plebana wypędzili, majątek kościelny zabrali, tam mnich się wykapturzył i ożenił, tam ksiądz porzuciwszy kościół i lud i nie wiedzieć, gdzie się podział".

W 1595 r. Jan Karol Chodkiewicz sprzedał Świsłocz Sebastianowi Pakoszowi. „Przyjąwszy on kalwińską wiarę - czytamy w notatkach Federowskiego - wraz z poddanymi pozostał w niej około lat trzydziestu". W tym czasie została wybudowana w miasteczku Świsłoczy skromna i niewielka świątynia kalwińska. Istniała zapewne około 25 lat. W tym czasie dziedzic Świsłoczy powrócił do swojej pierwotnej wiary, jednocześnie świątynię obrządku kalwińskiego obrócił na kościół rzymsko-katolicki, przy którym utrzymywał duchownego pierwotnej wiary".

Z notatek Glinki dowiadujemy się, że zbór ten ewangelicko reformowany (helwecki) istniał także w roku 1624, a kaznodzieją był ksiądz Korzepia. W roku 1635 kolator tego kościoła Stanisław Pakosz, prosił o księdza, któryby umiał po litewsku".

Również i kościół w Hnieźnie przez czas jakiś był w rękach chodkiewiczowskich kalwinów. Pamiętnikarz Jewłaszewski, dworzanin Chodkiewiczów, zanotował:

„Była też i Pani Wileńska na kuracji w Lublinie, lecz nie czując żadnego polepszenia na zdrowiu, wyjechała do domu i dnia 8 kwietnia 1588 roku w drodze, w miasteczku Kozimrynku zmarła... W czerwcu odprawiono jej pogrzeb w Hnieznej, w murowanym, ewangelickim kościele".

Kalwini w Hnieznej nie długo się trzymali i w 1643 roku kościół zwrócono katolikom.

Innym ośrodkiem kalwinizmu w powiecie było Moczulno Olendzkich. Janusz Olendzki, jako pierwszy z Olendzkich w drugiej połowie XVI wieku przeszedł z rodziną na kalwinizm. W roku 1574 otrzymał od kniazia Szczęsnego Jarosławowicza prawem zastawnym dwór Moczulnę a w 1578 roku nabył ją na własność. On to założony w 1553 roku przez Hoiowczyńskiego kościół w Moczulnie obrócił na świątynię kalwińską.

Teofil Olendzki (zm. w 1708 r.) jako patron zboru kalwińskiego w Moczulnie należał do grona najaktywniejszych działaczy kościoła kalwińskiego na Litwie. Przewodniczył synodom i sesjom Prowincjonalnych Jednoty Litewskiej w Wilnie (1680 i 1681 r.), Zupranach (1693), Bielicy (1694 r.). Tradycję tę kontynuowali i następcy, przewodnicząc synodom: Jerzy w Kojdanowie (1699 r.), następnie w Bielicy (1704 r.), Bogusław w Bielicy (1705), Jerzy w Bielicy (1713 r.) oraz w Słucku (1714 r.).

11 grudnia 1764 r. Stefan Olendzki wrócił wraz z całą rodziną na katolicyzm.

Jako pamiątka po kalwinach znajduje się w Moczulnie tak zwana Kalwińska Górka, położona za parkiem, na wyniosłym bezleśnym pagórku, miejsce po dawnej kalwińskiej kaplicy, która się tutaj znajdowała, gdy Olendzcy byli kalwinami. Gdy wrócili do katolicyzmu kaplicę rozebrali. Wspomina o niej Łukaszewicz pod datą 1715 r. – „Kaplica fundum JWP Olendzkich. Tam zjeżdża ksiądz z Orłowa". Kaplica ta znajdowała się jeszcze w roku 1733.

O parę kilometrów od Moczulna znajdował się dwór Teolin Grabowskich, którzy do końca wytrwali w kalwinizmie. Do Grabowskich należał i Izabelin, dawniej nazywany Pietuchowem. Zbór ewangelicki w Pietuchowie istniał i przed Grabowskimi. Świadczy o tym list Krzysztofa Olendzkiego, Jundziłła i innych do Krzysztofa Radziwiłła na Birżach i Dubinkach z datą 3 czerwca 1630 rok.

„Udajemy się z uniżoną prośbą w potrzebie zboru Pietuchowskiego. Po prędkim bowiem nad potrzebę zejściu godnej pamięci JMP cześnika Wielkiego Księstwa Litewskiego, a patrona tutejszego zboru, który zostawszy w osieroceniu, a lubo to JP cześnikowa zostawa patronką tego miejsca, jednak do protekty onego nie paczemy być doskonałą, dlatego wieleśmy byli ucieszeni, gdyby nam dostało było słyszeć, że Wasza Książęca Mość ozwać się był raczył protektorem onego...".

Zbór murowany w Izabelinie zbudował w roku 1778 Jan Jerzy Grabowski, małżonek Elżbiety Szydłowskiej, żony "en titre" króla Stanisława Augusta, zagorzałego kalwina. Po spaleniu w ostatniej wojnie światowej kościoła katolickiego w Izabelinie, przejęto go na kościół rzymsko-katolicki. Zbór ten był miejscem synodów prowincjonalnych Jednoty Litewskiej w latach: 1780, 1788, 1796, 1802, 1818,1822,1838,1842,1846,1850,1858. Niektóre z tych synodów odbyły się pod przewodnictwem Grabowskich, którzy przewodniczyli też synodom w innych miejscowościach.

Od 1838 r. kaznodziejami izabelińskimi byli: Jan, Władysław i Józef Mandzelowski. Parafian kalwińskich w Izabelinie i okolicy było bardzo mało, a zbór

istniał tylko dzięki protekcji i ambicji Grabowskich. Na przykład w latach 1779-1809 do komunii przystępowało nie więcej jak 8 osób i to z tej samej rodziny. Jednak Izabelin był siedzibą jednego z czterech dystryktów protestanckich. Były one w Kiejdanach, Słucku, Izabelinie i Wilnie. Jednak w roku 1796 według wizyty generalnej wołkowyskiej parafii liczba protestantów w Izabelinie wynosiła 620 osób, podczas gdy w Wołkowysku. tylko jedna.

Poważnego zastrzyku ewangelików w Izabelinie dokonał Fleming, ten sam, który na cześć swej córki, Izabeli, późniejszej Czartoryskiej przemianował Pietuchowo na Izabelin. Sprowadził on i osadził w Izabelinie rękodzielników niemieckich i dlatego powtarzały się nazwiska: Fuks, Ewert, Wekwert, Runge (bardzo liczna rodzina), Sommer, Schneider, Szwant, Resz. Byli to przeważnie luteranie, ale wielu z nich było katolikami lub prawosławnymi, w zależności z kim się żenili.

W Izabelinie urodził się Biergiel Józef (Julian) (1805-1891), duchowny kalwiński, patriota, kolekcjoner, posiadacz wielkiej biblioteki w Słucku. Ojciec Józefa, Franciszek, był wyznania rzymsko-katolickiego, a matka, Dorota z Olendzkich, była kalwinką. Ojciec zgodził się wychować potomstwo w wyznaniu kalwińskim W roku 1840 w powiecie wołkowyskim było wyznania luterańskiego: zbór murowany 1, przy nim duchowny pastor 1, dusz męskich wyznania luterańskiego 56, żeńskich 58.

W roku 1928 w Izabelinie było jeszcze 110 ewangelików.

Opisu zboru w Izabelinie dokonał 28 maja 1910 r. ks. Józef Mandzelowski. „Nad drzwiami, wewnątrz świątyni, znajdował się łaciński napis „Paternoster qui es in coelis sanctficetur nomen tuum" i data budowy zboru „1778". Na ścianie ołtarzowej widniał napis polski „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni a ja wam sprawię odpoczniecie" (Ewangelia św. Mateusza II.w.28). Obok zboru na dawnym cmentarzu znajdował się nagrobek z napisem w języku polskim ks. Władysława Kurnatowskiego „Tu spoczywa ks. Władysław Kurnatowski senior dystryktu zaniemeńskiego, który po 50 letniej gorliwej pracy ma winnicy Pańskiej zszedł z tego świata 1 kwietnia 1824 roku mając lat 74".

Przed wojną w Wołkowysku działali baptyści. Duchownym był Aleksander Kielkun (1905-1989). Pochowany na cmentarzu ewangelicko - reformowanym w Warszawie. *(Więź nr* 11-12/1989)

Próby wskrzeszenia działalności kościoła ewangelickiego na terenie powiatu wołkowyskiego odnotowano w 1932 roku. Duchowny kościoła narodowego ks. Józef Janik, wykorzystując niezadowolenie mieszkańców wsi Podbłocie w gminie Krzemienickiej z powodu przyłączenia ich do parafii rohożnickiej zorganizował tutaj „sektę" Polskiego Kościoła Narodowego. Jednakże już w październiku zdecydował się przejść na łono kościoła ewangelickiego wraz z całą wsią. *(Tygodnik Wołkowyski* nr 2/1932 r.).

Do tego zatargu wraca w swych pamiętnikach ks. Mianowski:

„Duża wieś Podbłocie zbuntowała się i nie miała łączności z Rohożnicą. Na ten fakt złożyły się: fatalna droga do Rohożnicy, przy dobrej drodze do Krze-

mienicy oraz składki znaczne na budowę kościoła w Rohożnicy. Już wszyscy z Podbłocia zgodzili się należeć do parafii Rohożnica, gdyż ówczesny proboszcz krzemienicki, ks. Cyraski, kategorycznie odmówił ich obsługiwać, ale po krótkim czasie jego następca ks. J. Malinowski ich przyjął. Na tle ostrych starć poseł lewicowy doradził i pomógł sprowadzić ks. Janika, duchownego z kościoła narodowego. W zamęcie tym zabito jednego mieszkańca z Podbłocia. Z czasem ks. Janik zaczął się hucznie prowadzić, a gdy i obrazy usunął z pobudowanej ad hoc kapliczki, mieszkańcy zaczęli się wycofywać. Ks. Janik rzucił ich, ożeniwszy się z córką pastora ewangelickiego z Izabelina. W roku 1941, podczas frontu, kapliczkę spalono. Tak wygasła „schizma" Podbłocka".

Źródła:

1. J. Kurczewski, Biskupstwo wileńskie, s. 153.
2. Teka świsłocka M. Federowskiego. BUW. Dział rękopisów, sygn. 446 (826-914).
3. Pamiętniki Teodora Jewłaszewskiego. Wydanie 1860, s. 53.
4. Spis Synodów i Sesji Prowincjonalnych Jednoty Litewskiej. 1611-1913. Wilno 1913 r.
5. J. Łukaszewicz, Dzieje kościołów wyznania helwetyckiego na Litwie. Tom II, s. 50.
6. Teki Glinki, nr 79, s. 32.
7. M. Kosman, Protestanci i kontrreformacja. Wrocława 1978, s. 38.
8. Tygodnik Wołkowyski 1928, nr 51.